Łódź
Odgłosy
tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 40 (1384) ROK XXVII 6 PAŹDZIERNIKA 1984 ROKU CENA 15 ZŁ

■ Żołnierze—robotnicy—miasto
■ Na Harleyu jak na koniu
■ Tapeta
■ Pantograf — blues
■ Poker z Hamletem

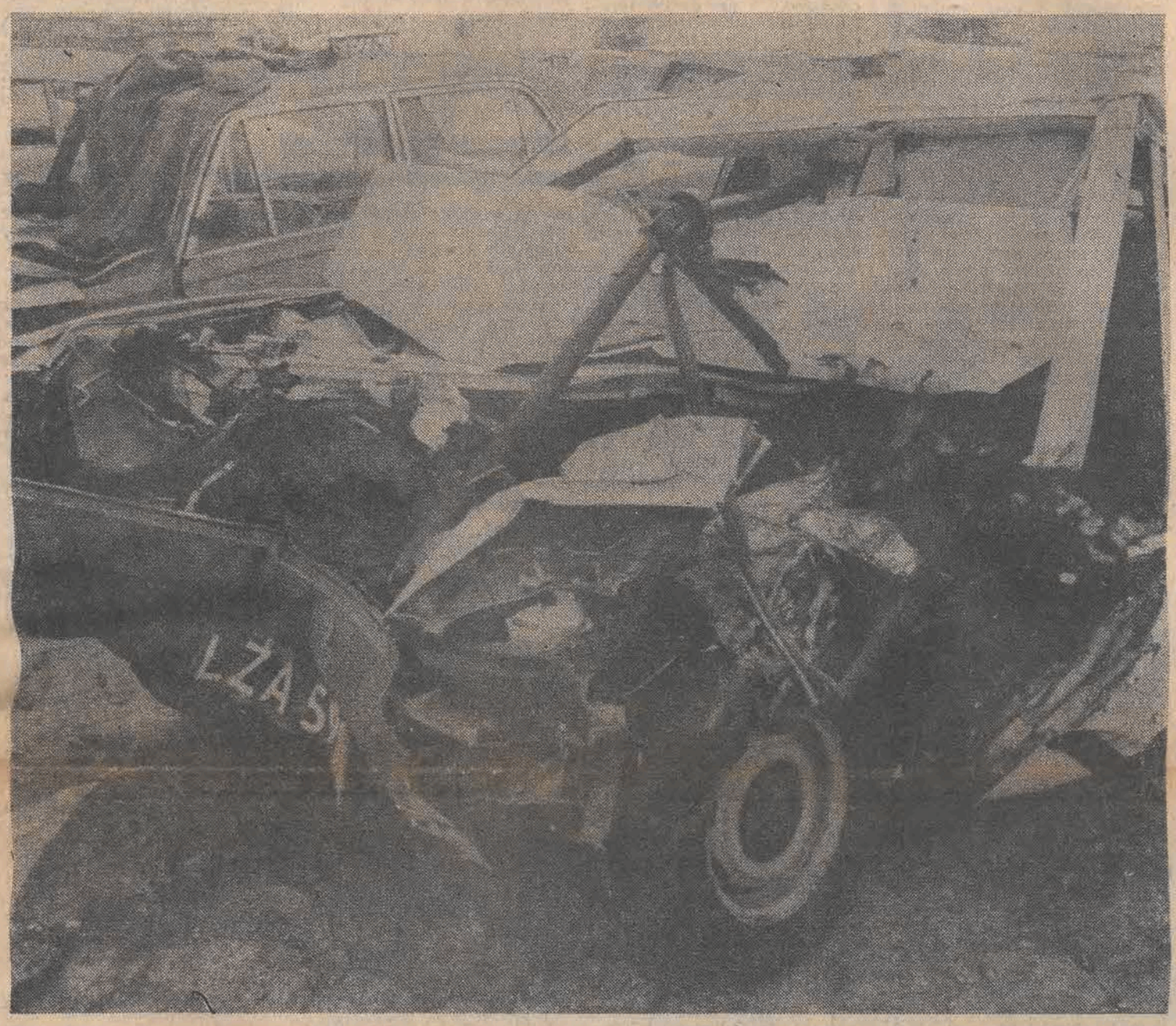

Foto: Grzegorz Gałasiński

Auto — kostnica

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Samochód był w opłakanym stanie, cały przód posadowiony na dwukołowym wózku sprawiał wrażenie, jakby jakaś potworna siła rozdarła go z jednej strony. Strzępy blachy, pourywane kable, potłuczone szyby — wszystko to dzwoniło, chrzęściło, jęczało na nierównościach drogi. Holujący zdemolowane skoda terenowy „gazik" wrzucił prawy kierunkowskaz; wiedziałem gdzie zmierzają w tempie pogrzebowego karawanu — na parking, przeznaczony dla takich jak ten rozbitków, dla wielu miejsce ostatniego postoju przed pocięciem na żyletki. Odruchowo skręciłem za nimi...

„Odprawa" przebiegała bardzo sprawnie. Starszy mężczyzna szybko wypisał papierki i wspólnie wepchnęli żelastwo w szereg podobnych samochodowych ruin. Pracownik parkingu wypytywał jeszcze chwile o jakieś szczegóły, pewnie dotyczące wypadku. Pożegnali się jak starzy znajomi. Gazik odjechał.

Minąłem wolno bramę, mając wrażenie, że przekraczam bramę cmentarza. Ze wszystkich stron przyglądały mi się oczodoły robitych reflektorów, uśmiechały w upiornym grymasie zmiażdżone, powykręcane maski, strzaskane drzwi zapraszały do wnętrza...

— Pan w jakiej sprawie? — szef tej trupiarni wyskoczył ze swej budki, wyraźnie niezadowolony, że znów ktoś mu przeszkadza. Przedstawiłem się, bąkając coś o koszmarnym wrażeniu, jakie wywołuja zgromadzone tu pozostałości pięknych niegdyś wehikułów.

— A, z prasy... — rozpogodził się kierownik „kostnicy". — Kochany, piszecie, przestrzegacie w kółko i na okrągło. I co to daje? Mam wrażenie, że nic, że prawie żadnych efektów to nie przynosi. To co pan tu widzisz to wszystko

7

TERESA JERZYKOWSKA

Próżnia złej jakości

Na tegorocznych Targach Krajowych Jesień '84 w Poznaniu tłok był tak duży, że chętnym do zaprezentowania swoich towarów i podpisania umów z klientami trzeba było ograniczać sprzedaż powierzchni — co nie zdarzało się od paru lat. Zarówno powierzchnia wystawowa, jak i liczba przedsiębiorstw zbliżyła się do rekordowego poziomu z końcowych lat minionej dekady: na 74 tys. m kwadratowych oferowało swoje wyroby ponad 1500 wystawców, wśród których najliczniej stawili się do Poznania przedstawiciele rzemiosła i spółdzielczości. Łączna wartość oferty wyniosła około 200 mld zł, tj. o 25 proc. więcej, niż na jesiennych targach w roku ubiegłym, a podpisane kontrakty jeszcze przekroczyły tę sumę.

Handlowcy, którzy przybyli do Poznania co najmniej równie licznie, jak producenci, kupowali towary na I półrocze następnego roku, dokonywali zakupów uzupełniających na IV kwartał br., a w niektórych przypadkach podpisywano także umowy na cały rok przyszły.

Choć producenci w zasadzie dopisali, a 200 mld. wydaje się kwotą ogromną — jednak stwierdzić należy, że oferta była niepełna, znacznie niższa od wartości towarów, które faktycznie trafią na rynek (podobnie było zresztą również w latach poprzednich), kupione w innym terminie, na drodze indywidualnych kontaktów handlowców z zakładami produkcyjnymi.

4

Szklanka wody — zamiast?

JOLANTA WROŃSKA

Co jakiś czas przez łamy prasy przetacza się ekspedycja karna zwolenników praw naturalnych, odwiecznych, spisanych w kodeksach moralności katolickiej. Wojują przeciwnicy Ustawy o przerywaniu ciąży, nie bacząc na czas i miejsce, wymachują sztandarem totalnego posłuszeństwa wobec zasad, których okrucieństwo i ahumanitaryzm jest wprost proporcjonalne do lichości prezentowanych argumentów. Ostatnią taką inwazję mieliśmy w środku lata, gdy rozgorzała dyskusja wokół programu medycznego Centrum Zdrowia Matki Polki, pod hasłem zakazania abortów i przykładnego karania wykonawców i uczestniczek.

Poszturchiwani zwolennicy kalendarzyków małżeńskich, prezerwatyw i spiralek, wszczynają nieśmiało i z rzadka kontrofensywę w imieniu świadomego rodzicielstwa i przezwyciężania kołtuńskiej mentalności obficie czerpiącej z pokładów ciemnoty i strachu przed katolickim piekłem.

Po czym hałas wokół sprawy zamiera, albowiem tak jedna, jak i druga strona rozbijają swe hufce o absolutną i doskonałą obojętność „środka". Przeważająca część społeczeństwa zajmuje się po prostu nadprodukcja dzieci. Obserwujemy tu zastanawiające zjawisko wybiórczego traktowania pryncypiów. I tak — hasło: „każdemu według jego potrzeb" wyparło postulat wcześniejszy „każdemu według jego pracy". W sferze prokreacyjnej mamy dubeltową mieszankę tradycji „bóg dał dzieci, bóg da i na dzieci" przeobrażonej w przekonanie, że skoro bóg dał dzieci, to socjalizm musi dać na dzieci.

Propagowany model państwowej polityki społecznej zaś, przy niesłychanym zadęciu propagandowym, ma charakter wyłącznie deklaratywny. Znaczenie, jakie się nadaje „podstawowej komórce społecznej", roli Matki—Polki, wszechobejmującej miłości do wszystkich dziatek, najspokojniej idzie w parze z totalną inercją, by nie rzec, atrofią działań dokumentujących owo deklarowane pryncypium.

Jest to typowy przykład budowania domu od dachu. Skoro jeżeli dzieci już są, to czyni się szereg posunięć finansowo-administracyjnych, starannie oplecionych usprawiedliwieniami co do ograniczonych możliwości i apelowaniem do poczucia realizmu w obliczu kryzysu. Wszystko to czyni zupełnie zasadnym przypuszczenie, iż socjalistyczne państwo ludowe, acz odmienne w założeniach ideowych od ideologii katolickiej, nie potrafi się wyzwolić z garbu myślenia obciążonego „szacunkiem" dla tradycji.

Twierdzę, że fałszywym i obłudnym jest powszechne, a błogie przeświadczenie o docenianiu problemu rodzicielstwa, opieki nad matką i dzieckiem i wychowania młodego pokolenia. Twierdzę, że w sferze potocznego myślenia obywatela mamy do czynienia z gigantycznym zakłamaniem, pruderyjną obłudą i pozorowaną aktywnością. Mit, jakobyśmy niesłychanie kochali dziatki, stoi w jaskrawej sprzeczności z przekraczającą już milion, liczbą sierot społecznych (społecznych, nie naturalnych!). Nie mówiąc o liczbie dzieci, jak się to oględnie określa, zaniedbanych wychowawczo. To znaczy takich, których istnienie jest najzupełniej obojętne ich rodzicielom, postrzegającym je jako karę za uprawianie stosunków niekoniecznie małżeńskich.

Nie mam nic przeciwko budowie pierwszorzędnego szpitala damsko-dziecięcego, zwłaszcza w takim mieście jak Łódź, gdzie baza szpitalna sypie się w zastraszającym tempie. Ale mam wszystko przeciwko „akcyjnej" budowie, która zdjęła ekipy, materiały i sprzęt z placu — i tak już umarłego śmiercia techniczną — Centrum Klinicznego Akademii Medycznej. Bo nie łudźmy się, gdzieś musiało zabraknąć w kraju krótkiej kołdry.

KRUCHY FUNDAMENT POMNIKA

Dobrym przykładem głoszonych tu bluźnierstw jest Łódź. O tym, że jest to miasto pracujących kobiet wie każdy. O tym, że jest to miasto fatalnej bazy ginekologiczno-położniczej, wie Ministerstwo Zdrowia i pacjentki. O tym, jak fatalny jest poziom oświaty zdrowotnej, wiedzą, niestety, tylko co światlejsi lekarze. Żeby było śmieszniej, właśnie w Łodzi istnieje od wielu lat znakomita, wzorcowa dla reszty kraju specjalistyczna Przychodnia Matki i Dziecka pod patronatem Towarzystwa Rozwoju Rodziny. Tu właśnie narodziła się polska koncepcja szkół rodzenia stworzona przez zespół doc. Fijałkowskiego, tu rozwinęła się szeroka koncepcja realizowania ideału człowieczego, rozumnego i zdrowego rodzicielstwa

5

Odgłosy

Adres redakcji: 90-438 Łódź, al. Mickiewicza 11.
Telefony: redaktor naczelny i sekretariat redakcji: 36-52-44, zastępca redaktora naczelnego, sekretarz redakcji: 36-80-99.
Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas
P.o. sekretarza redakcji: Grażyna Olechnowicz
Kierownik działu literackiego: Igor Sikirycki.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Karol J. Stryjski, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl, Krzysztof Drzewiecki, Grzegorz Gazda, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Zenon J. Michalski, Krystyna Namysłowska, Jerzy Panasewicz, Ewa Pankiewicz, Jerzy Wilmański.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch", 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Ruch" 90-950 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — kalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach: — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2811. E-5.

Odgłosy

Przegląd prasy

Wiele razy miałem już okazję pisać o sile i trwałości stereotypów, które rodzą się nie zawsze z racjonalnych przyczyn, a żywot mają niebywale twardy i trwały. Podobnie rzecz się dzieje z mitami i nieporozumieniami. Powstanie coś takiego i żyje, mimo że ludzie próbują przekonywać innych o ich nieprawdziwości, złudności i irracjonalności. Próbują więc niektórzy stawiać rzecz na głowie, aby mogła ona powrócić następnie na nogi. Dla powodzenia tej karkołomnej pracy potrzeba dyskusji, rozważań i nowego spojrzenia na stare niekiedy rzeczy i sprawy.

Panowało na przykład przekonanie, że „Nowe Drogi" to miesięcznik poważny, a przez to... nudny, publikujący na ogół „słuszne teksty". Wprawdzie dziś bardzo poszukiwane są te numery „Nowych Dróg", w których opublikowano stenogramy z obrad kolejnych plenarnych posiedzeń KC PZPR przed i po IX Zjeździe partii, ale to zupełnie inna sprawa. I oto mam przed sobą — spóźniony nieco — numer 8 „NOWYCH DRÓG" z sierpnia 1984 roku i muszę stwierdzić, że jest to numer zawierający kilka interesujących tekstów. A więc dyskusję redakcyjną o tym, co to znaczy być komunistą, w której wypowiada się m.in. Lucyna Nazarów — sekretarz KD PZPR Widzew w Łodzi, wypowiedź profesora Zdzisława Głowackiego z PWSSP w Łodzi na temat 40-lecia PRL, a przede wszystkim artykuł dyskusyjny Aleksandra Bocheńskiego

O POLITYCE, POMNIKACH I GOSPODARCE

Wszystkich, którzy do tej pory wspominali o tej publikacji najbardziej zbulwersował sprzeciw Aleksandra Bocheńskiego wobec budowy dwu pomników: powstania warszawskiego i poległych w obronie władzy ludowej. Autor nie kwestionuje bohaterstwa powstańców — i słusznie — ale ma poważne zastrzeżenia wobec polityków, którzy podjęli decyzję o powstaniu. Pisze on:

„Obowiązkiem żołnierza i oficera jest walczyć tak jak mu kazał dowódca, narażając się na rany i śmierć — nawet pewną, bez żadnej analizy rozumowej, czy rozkaz jest trafny, a wojna słuszna, czy też nie. Tak walczyli powstańcy i dlatego pozostaną na zawsze symbolem bohaterstwa, zasługującym na najwyższą cześć i chwałę. Ale obowiązkiem wodza jest bitwę wygrać, polityka zaś nie rozpoczynać boju wtedy, kiedy szansy zwycięstwa nie ma".

Z tego to powodu powinien być pomnik powstańców, a nie powstania. W drugim przypadku Aleksander Bocheński uważa, że uczestników wojny domowej, którzy walczyli ze swoimi błądzącymi rodakami, nie można traktować tak samo, jak tych, którzy walczyli z najeźdźcami. W tej sprawie nie zgadza się z nim Bohdan Czeszko, który też w „Nowych Drogach" pisze:

„Widziałem, co to była za wojna — ta polska wojna domowa, oglądałem ją oczyma wprawdzie reportera, a nie żołnierza. Oglądałem ją oczyma, które ją widziały, zda się wszystko co na wojnie widzieć można. To, co zobaczyłem, przerosło moje ówczesne siły pisarskie i ludzkie także. Są sprawy w dziejach narodów i są groby, nad którymi milczeć się nie godzi. Ja ten pomnik postawiłbym tym wszystkim, którzy Polskę wówczas powracali do życia o głodzie i chłodzie, w tym także, a może i po pierwsze, żołnierzom broniącym tego ledwie tlącego się życia. Skoro jednak pomyślano to tak właśnie... Niechaj już tak będzie".

I ja się do tej opinii przychylam.

Ale jest w artykule Aleksandra Bocheńskiego inna sprawa — jest ich tam zresztą kilka — która budzi moje poważne wątpliwości. Otóż Aleksander Bocheński jest przeciwny odejściu od *„polonocentryzmu"* w wychowaniu obywatelskim młodzieży, **„czyli wybijaniu na** *pierwszy plan spraw dawnej Polski i osądzania faktów w zależności od tego, jak wpłynęły one na nasze losy"* i zastępowaniu tego *„antropocentryzmem, czyli historią raczej ludzkości niż Polski".* Trudno nie zgodzić się z autorem, że *„ten konieczny (...) nacisk na sprawy ojczyste nie może być antypolski, to jest wzbudzać niechęć i pogardę do własnej historii, jak to czynił niejeden podręcznik, lecz na właściwej karcie swej winien rysować wzorce pełne chwały i zasług, godne naśladowania i możliwe do naśladowania".* Skąd więc wątpliwość?

Ano stąd, że budzenie umiłowania historii Polski nie może prowadzić do wybujałej megalomanii narodowej. A ta niestety jest faktem. Nasza historia nie dokonywała się w próżni. Nie byliśmy sami na świecie. A często jednak próbujemy tak to przedstawiać. Gdyby na przykład w dalekiej przyszłości historyk chciał na podstawie polskich filmów wyobrazić sobie układ sił w drugiej wojnie światowej, to doszedłby do mylnego wniosku, że to Armia Radziecka walczyła u boku Polaków. To prawda, że Polacy zdobyli Monte Cassino, ale prawdą jest też, że nim to się stało na stokach tej góry ginęli w walce z Niemcami żołnierze innych armii i trudno ich wkładu do tej walki nie widzieć i nie doceniać. Polska nie jest mesjaszem narodów i decyzje o losach świata nie zapadają nad Wisłą. Rzecz więc w tym, aby młodym ludziom pokazywać wszystko, co najlepsze w naszej przeszłości, a jednocześnie ustrzec ich przed popadnięciem w megalomanię, w przekonanie, że świat składa się z ...Polski i kilku tam jeszcze jakiś drobnych państw, które większej roli w świecie nie odegrały, a przeciwnie przeszkadzały nam tylko w spełnianiu misji poleconej przez Boga i Historię. Przesadzam? Świadomie. Ale, czy w tym co piszę nie ma dużej dozy racji? Dlatego uważam, że w wychowywaniu obywatelskim oddajmy Polsce co polskie, ale i światu, co do dziejów świata należy, a liczy się w naszej rodzimej historii.

We wrześniowym numerze „ZDANIA" (nr 9 z 1984) trzech: Edward Chudziński, Marek Dębowski, Andrzej Hausbrandt rozprawiają się z legendą Kazimierza Dejmka.

JAKI JEST KAZIMIERZ DEJMEK

— zadają to pytanie swojemu rozmówcy. Czy dąży do perfekcji? Kazimierz Dejmek odpowiada, że owszem, chce robić jak najlepiej, ale oceny są tu bardzo złudne. To, co dziś wydaje się wspaniałe, za jakiś czas może się okazać tylko czymś poprawnym.

„Ja programowo — powiada — *domagam się od teatralnego widza teatralnej postawy duchowej w teatrze, tymczasem widz dzisiejszy — z bezmyślności i nawyku — przychodzi do teatru z wewnętrzną postawą telewizyjną".*

Kazimierz Dejmek tej postawy nie uznaje i uważa, że inni, którzy postawę tą uznają, *„dopuszczają się zdrady teatru".* Wobec tego trzej rozmówcy Kazimierza Dejmka zarzucają mu... konserwatyzm.

„...istotą teatru europejskiego — odpowiada na to Kazimierz Dejmek — *jest aktor, który wypowiada tekst poety-autora. Dla mnie teatr musi być konserwatywny w tym sensie, że musi uszanować tę elementarną zasadę, na której opiera się sztuka teatralna naszego kręgu kulturowego".*

I dlatego Kazimierz Dejmek nie lubi wszelkich nowatorów, którzy w teatrze poszukują czegoś nowego i wszystko przewracają do góry nogami. *„Zawsze chciałem* — powiada — *robić przedstawienia dla ludzi, dobre przedstawienia dla wszystkich ludzi".* A jego rozmówcy zarzucają mu, że niektóre jego spektakle są... nudne. Reżyser temu nie przeczy, ale tym głębiej popada w zasadniczą sprzeczność. Powiada na przykład, że łódzkie przedstawienie „Żywota Józefa" Mikołaja Reja było żywiołowe, *„rozhukane i rozbrykane".* Podobało się i publiczności, i krytyce. Warszawskie *„było uroczyste, solenne i przez to chwilami nużące"* i *„mogło ono w całości zainteresować tylko znawców przedmiotu i wytrawnych smakoszy",* a o dziwo *„miało powodzenie i u tzw. zwykłej publiczności".* A przecież wypieszczone zostało dla... znawców. Więc jak jest z tą chęcią robienia teatru dla zwykłych i wszystkich ludzi? Że się ludziom podoba? Ano właśnie. Bo, co by się nie mówiło, to legenda Kazimierza Dejmka działa nadal i najsilniej. Zresztą sam Kazimierz Dejmek przyznaje, że obraz Dejmka jest *„dla różnych osób i różnych kręgów — różny".* I choć twierdzi, że nie jest politykiem, to jego sztuki odczytuje się często jako akty polityczne.

Na przykład w „ŻYCIU LITERACKIM" (nr 40 z 30 września 1984 roku) w artykule, mającym formę listu pt. *„Stabilizacja?".*

MICHAŁ MISIORNY PRZYZNAJE, ŻE CHCE CHICHOTAĆ

na widowni Teatru Polskiego.

„Powód? — pisze. — *Nigdzie w Polsce nie zobaczysz na scenie takiej jak tutaj kolekcji byłych prezesów, posłów, członków i przewodniczących, by już nie liczyć dziekanów, rektorów, profesorów, docentów, byłych dyrektorów".*

A „Wesele" Stanisława Wyspiańskiego w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Polskim?

„Zostało ono oparte — pisze Michał Misiorny — *na uderzająco podobnej zasadzie historiozoficznej, tzn. „Wesele" odbyło się bez wesela w tle, bez jednego taktu muzyki, było szare, smutne, trochę rozpaczliwe, zwolnione w rytmach i jakby konserwatywne w eksplikowanych upodobaniach (tak np. odebrałem finał napomnień Stańczyka), zaś poza tym logiczne, no i bardzo dobrze w paru rolach zagrane. Tak więc znowu ten nastrój „po" 1863, znowu ta wątpliwość, czy aby mamy prawo mieć nadzieję...".*

No, i proszę, dla Michała Misiornego Dejmkowa wersja „Wesela" też ma podteksty polityczne.

„GŁOS ROBOTNICZY" zainicjował dyskusję o tym.

CZY ŁÓDŹ JEST „ZŁYM MIASTEM" DLA KULTURY?

Nie znam poprzednich publikacji, nie było mnie w Łodzi, ale przeczytałem wypowiedź Bohdana Zajkiewicza z Pabianic pt. *„Entuzjastów znajdzie się wielu"* („GR" z 27 września 1984 roku) i muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem, o co autorowi chodzi. W każdym razie jest to przykład na trwałość stereotypów i mitów. O „złym" lub „dobrym" mieście dla kultury można dyskutować dopiero wówczas, gdy dobrze zna się i rozumie kulturalną przeszłość miasta oraz fakty dotyczące teraźniejszości. Nie można życia kulturalnego Łodzi traktować w oderwaniu od tego, co dzieje się w kraju, jak nie można dorobku Łodzi porównywać z dorobkiem Krakowa, Wrocławia, Poznania, czy innych ośrodków, bo dorobek każdego z nich miał inny rodowód i inaczej dokonywał się.

Ale w artykule Bohdana Zajkiewicza jest takie zdanie:

„Monopolista wydawniczy „Odgłosów" jedyne miejsce debiutu dla młodych, nie jest zbyt życzliwie nastawione dla amatorów".

O co tu chodzi? Do kogo pretensje i żal? *„Monopolistą wydawniczym"* jest Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch". Czy więc do ŁWP są to adresowane pretensje, że jest nieżyczliwe dla debiutantów? Jeśli tak, to są to pretensje i żale pełnie fałszywie zaadresowane. I niesprawiedliwe przez to.

Kto jest więc nieżyczliwy dla amatorów? A poza tym o „amatorów" chodzi, czy o debiuty? Bo różnica to ogromna. Nie chcę otwierać dyskusji o „amatorstwie" w kulturze, bo to rzecz sama w sobie i wcale nie jesteśmy nieprzychylnie nastawieni do kulturalnej działalności amatorskiej. To jedno. A drugie — to ilość debiutów, jakie ostatnio ukazały się na łamach „Odgłosów". Gdyby Bohdan Zajkiewicz uważnie się temu przyjrzał, gdyby policzył, to by może i zmienił zdanie. Jest wszakże jeden warunek debiutu — poziom. No, ale to też osobny temat do dyskusji.

U nas wszakże najchętniej dyskutuje się o mitach i stereotypach, posługując się wyświechtanymi banałami.

LUCJAN BOGUSZ

Minął tydzień

INAUGURACJE

niesie z sobą — jak zwykle — jesień.

— W Chełmie Lubelskim odbyła się inauguracja roku kulturalnego. Zasłużeni otrzymali odznaczenia państwowe, wmurowano akt erekcyjny pod Wojewódzką Bibliotekę Publiczną, odbyły się spotkania z mieszkańcami miasta, wystąpił — w ramach Teatru Rzeczypospolitej — Teatr na Woli z „Niemcami" Leona Kruczkowskiego.

— W Łodzi — jak w całym kraju — rozpoczął się nowy rok akademicki. W Łodzi — jako pierwsza rozpoczęła rok akademicki Wojskowa Akademia Medyczna.

— W sali WZPB 1 Maja odbyła się inauguracja szkolenia partyjnego w łódzkiej organizacji partyjnej. O aktualnych problemach pracy ideologicznej mówił Członek Biura Politycznego, I sekretarz KŁ PZPR — Tadeusz Czechowicz, wykład inauguracyjny wygłosił członek KC PZPR, prof. Zdzisław Grzelak. Wyróżniający się lektorzy, wykładowcy i seminarzyści szkolenia partyjnego otrzymali listy gratulacyjne, nagrody książkowe, medale pamiątkowe oraz Honorowe Odznaki m. Łodzi.

ŚWIĘTOWALI BUDOWLANI

jak do tej pory skromnie i cicho, jakby wstydliwie. Bo i nie było się czym chwalić. Budownictwo przeżywa ostry kryzys, który tym większe ma społeczne skutki, im silniejsze są społeczne nadzieje i oczekiwania na rozwiązanie kwestii mieszkaniowej. Był przecież taki czas, gdy w Łodzi oddawano blisko 10 tysięcy mieszkań rocznie. A dziś? W ciągu 8 miesięcy 1984 roku budowlani oddali 2900 mieszkań. Aby wykonać roczne zadania budownictwa mieszkaniowego trzeba do końca roku oddać jeszcze 2 460 mieszkań. We wrześniu — wszystko na to wskazuje — budowlani powinni byli oddać 560 mieszkań. Pozostałoby więc na trzy ostatnie miesiące 1984 roku 1900 mieszkań. Razem w 1984 roku przybędzie 5 tysięcy mieszkań. Tempo pracy w budownictwie jest ciągle jeszcze niezadowalające. Budownictwo — tak, jak i inne dziedziny naszej gospodarki — boryka się z różnorodnymi trudnościami. Poszukuje też sposobów na to, aby trudności te skutecznie przezwyciężać. O tym wszystkim mówiono przy okazji kolejnego święta budowlanych.

DLACZEGO NIE MA JAJEK

— pisze w liście do „Życia Warszawy" Stanisław Albinowski — nietrudno zgadnąć i dla nikogo, kto uważnie śledzi nasze życie gospodarcze, brak jajek nie powinien być zaskoczeniem. Nadprodukcja jajek wiosną spowodowała gwałtowny spadek cen, zahamowanie skupu i w konsekwencji wybijanie stada. Czy można było temu zaradzić? Stanisław Albinowski powiada, że można było. Ale nie przez nasilenie skupu i robienie zapasów, gdyż wymagałoby to: po pierwsze — magazynów, których nie ma, po drugie — ajentów, a to pociągnęłoby za sobą wpłaty na FAZ i „kary" za nadmierne zapasy.

Co zatem robić?

„Rozwiązanie jest proste — pisze Stanisław Albinowski — i polega na wprowadzaniu państwowych cen minimalnych, gwarantujących opłacalność produkcji przy danym poziomie kosztów... Cena minimalna może być podwyższona w każdej chwili, natomiast jej obniżenie musi być zapowiedziane z wyprzedzeniem..."

— Ale — jak wiadomo — rozwiązania najprostsze są... najtrudniejsze do wprowadzenia w życie.

WSZYSTKO JUŻ BYŁO

— jak się okazuje — był więc i... eksperyment z dozorcami. Był on w Łodzi w 1976 roku. Przeszkolono wtedy dozorców, aby mogli dokonywać prostych napraw. Dziś powraca się do tej idei w... nowym eksperymencie. Z tej okazji „Dziennik Łódzki" przypomina, że w Łodzi 641 wniosków na eksmisję dozorców ze służbowych mieszkań czeka na wykonanie. Brakuje jednak... mieszkań zastępczych. Brakuje też dozorców i kandydatów do pracy w dozorcostwie. Większość obecnych dozorców to... dozorczynie. Nie są to najlepsze kandydatki do roli „złotej rączki". Czy więc uda się kolejny eksperyment? A może źródła niechęci do pracy w dozorcostwie leżą gdzie indziej? I nic tu eksperymenty nie pomogą?

„TO NAM SIĘ NIE OPŁACA"

— powiedzieli dyrektorowi Szkoły Podstawowej nr 221 w Warszawie pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodociągów i Kanalizacji i nie zamontowali kupionych przez szkołę... sedesów. Szkoła jest remontowana przez... trzy lata. Ponieważ specjaliści od kanalizacji nie spieszyli się ze swoją robotą, bo im ciągle czegoś brakowało, władze szkolne zakupiły sedesy, ale robotnicy od kanalizacji odmówili ich zamontowania. Nie opłaca się im. Powstał więc spór o... zamontowanie sedesów w szkole. Spór trwa, a dzieci nie mają gdzie siusiać.

GDY DZIŚ PADA DESZCZ

to nie znaczy, że już jutro będą w lasach grzyby — powiedział w dyskusji o reformie gospodarczej pewien ekonomista. Chodziło mu o to, że wielu ludzi spodziewało się, iż reforma już za kilka miesięcy da nadspodziewane rezultaty, a tymczasem na jej skutki trzeba będzie poczekać jeszcze kilka, a może i kilkanaście lat. Pod warunkiem, że wszyscy będą zgodnie reformę tę realizowali.

Co do tej pory zrobiono, wyjaśnia — opublikowany nakładem „Rzeczypospolitej" — „Raport o reformie gospodarczej". Kosztuje 50 złotych i zawiera wiele interesujących informacji i wniosków. „Raport o reformie gospodarczej" leży jeszcze w kioskach „RUCH", a powinien być lekturą obowiązkową wszystkich kierujących i zarządzających gospodarką.

NAGA „LIZYSTRATA"

Arystofanesa będzie premierowym spektaklem Sekcji Teatralnej Łódzkiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Naturystycznego. Przedstawienie będzie przeznaczone tylko dla członków Towarzystwa. Artyści będą występowali nago. A widzowie?

A. B. SEKATOR

Żołnierze — robotnicy — miasto

MARIAN ANYSZ

Ważne miejsce w strukturze szkolnictwa wojskowego zajmuje Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych im. Ludwika Waryńskiego, które 28 września 1984 r. obchodzi 40 rocznice swego powstania. Ta łódzka wojskowa szkoła partyjna kontynuuje i wzbogaca chlubne tradycje Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych powstałej w lipcu 1944 r. na bratniej ziemi radzieckiej oraz sformowanej na jej bazie Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych w Lublinie — przeniesionej w kwietniu 1945 roku do Łodzi.

W okresie 40 lat istnienia szkoły wykształcono tysiące oficerów politycznych służby czynnej i rezerwy wyróżniających się wzorową postawą ideowo-moralną, głęboką wiedzą polityczną i wojskową oraz wysokimi umiejętnościami organizowania i bezpośredniego prowadzenia pracy partyjno-politycznej w wojsku. Wychowankowie szkoły zawsze znajdowali się na pierwszej linii ideowo-politycznego frontu walki, byli przykładem ideowości, głębokiego patriotyzmu i internacjonalizmu. Wielu z nich wyrosło na działaczy partyjnych wysokiej rangi. Setki absolwentów pełni kierownicze funkcje w ludowych Siłach Zbrojnych w różnych resortach gospodarki narodowej i w administracji państwowej. Dziesiątki absolwentów spotkać można w gronie wybitnych naukowców wojskowych i cywilnych, pisarzy i aktywnych działaczy organizacji społecznych.

Łódzka wojskowa partyjna uczelnia rozwijała się — podobnie jak całe LWP — wraz z Polską Ludową. Jej współczesny kształt i zadania określają program PZPR, rozkazy MON i wytyczne GZP WP oraz współczesne potrzeby kadrowe Sił Zbrojnych.

Dziś w Centrum prowadzi się Wyższe Kursy Doskonalenia Oficerów Politycznych, Kursy Przeszkolenia i Przekwalifikowania Oficerów Politycznych Służby Czynnej i Rezerwy, Szkołę Chorążych Politycznych, kursy przygotowujące specjalistów do obsługi technicznego sprzętu propagandowego. Od 1973 roku szkoli się w Centrum podchorążowie SPR — absolwenci wyższych uczelni cywilnych, którzy są przygotowywani do funkcji oficera politycznego rezerwy. Słuchacze poszczególnych kursów zdobywają wiedzę z zakresu podstaw marksizmu-leninizmu, wychowania wojskowego, teorii i praktyki pracy partyjno-politycznej, historii polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, historii wojskowości i ideowo-politycznych problemów współczesnego świata.

Szkoła rozwija systematyczną i owocną współpracę z wojskowymi i cywilnymi wyższymi uczelniami i ośrodkami naukowo-badawczymi.

W procesie dydaktyczno-wychowawczym Centrum szczególne miejsce zajmują więzy z klasą robotniczą łódzkich zakładów pracy od prawie 40 lat we wspólnej walce i pracy utrwalane. Stanowią one niezwykle cenny element patriotycznego wychowania słuchaczy oraz pogłębianie ich szacunku dla trudu i ofiarności ludzi pracy.

Serdeczne, robotniczo-żołnierskie więzi łączące kadrę, słuchaczy i żołnierzy służby zasadniczej CSOP z łódzką klasą robotniczą zapoczątkowane zostały 21 kwietnia 1945 r., a więc z chwilą przeniesienia Centralnej Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych z Lublina do Łodzi.

Już od pierwszych dni po przybyciu do Łodzi kadra i słuchacze szkoły wspólnie z robotnikami podejmują prace przy uruchamianiu zakładów pracy, szkół, przedszkoli i innych placówek użyteczności publicznej. Oficerowie i podchorążowie obok zajęć szkoleniowych organizowali razem z członkami załóg fabrycznych imprezy o charakterze propagandowo-artystycznym, wygłaszali prelekcje w świetlicach fabrycznych, na wiecach i masówkach, w kinach, teatrach i szkołach średnich.

W toku odbywanych praktyk słuchacze łódzkiej szkoły brali udział w akcjach żniwnych, w akcji zwalczania analfabetyzmu czuwali nad sprawnym przebiegiem referendum ludowego, pomagali przy zakładaniu terenowych organizacji PPR, ORMO i Samopomocy Chłopskiej. Istniała też ścisła współpraca między CSOPW a mieszczącą się także w Łodzi Centralną Szkołą PPR. Obie uczelnie łączyły swe wysiłki w działalności ideowo-politycznej i dydaktyczno-wychowawczej.

Kadra i słuchacze szkoły brali aktywny udział w walce z bandami reakcyjnego podziemia. Zorganizowani w trzy grupy operacyjne: „Warszawa", „Tatry" i „Bug" działali na terenie powiatów — Piotrków Trybunalski, Wieluń, Radomsko. W wyniku akcji przeprowadzonych przez te grupy rozbito bandy „Warszyca", „Grota", „Wojewódki", „Rudego", „Młota" i „Śmiałego". W trakcie walk o utrwalenie władzy ludowej z bandami wielu słuchaczy poniosło śmierć. Zginęli m.in.: ppor. Jan Bednarz oraz podchorążowie Bronisław Dziurgot, Julian Miceusz, Józef Mucha, Romuald Gawin, Edward Kurak, Walenty Grodzki.

Szczególnymi wyrazami uznania łódzkich robotników za ofiarną służbę, pracę i walkę oraz najbardziej wymownym symbolem robotniczo-żołnierskich więzi było ufundowanie dla CSOPW sztandaru przez ZPB im. Juliana Marchlewskiego. Inicjatorami byli robotnicy, między innymi Zofia Patorowa i Władysław Gruszczyński, którzy zostali jednocześnie rodzicami chrzestnymi sztandaru. Uroczystość wręczenia sztandaru odbyła się 26 października 1945 r. z okazji promocji dokonanej przez Marszałka Polski Michała Rolę-Żymierskiego.

W „Polsce Zbrojnej" z 27 października 1945 r. w reportażu z tej uroczystości czytamy m.in.:

„Jest w tym głęboki symbol, że Szkole Oficerów Politycznych ofiarowali sztandar robotnicy. Jest to symbol zbratania i jedności klasy robotniczej z wojskiem".

I dalej reporter „Polski Zbrojnej" zanotował:

„Mam nadzieję — mówi Marszałek Żymierski — że sztandar, który Wam ofiaruje klasa robotnicza nieść będziecie wysoko i godnie, że dochowacie wierności Polsce demokratycznej i pod tym sztandarem pracować będziecie dla jej wielkości i potęgi".

Słowa wówczas wypowiedziane przez Marszałka Żymierskiego potwierdzane są do dziś czynem — ofiarną pracą i służbą dla socjalistycznej ojczyzny dziesiątek tysięcy oficerów politycznych — absolwentów CSOPW i jej kontynuatora CSOP. Wyrazem uznania dla kadry i słuchaczy Centrum za ofiarną służbę było odznaczenie szkoły w 35 rocznicę jej powstania Orderem Sztandaru Pracy II klasy oraz ufundowanie nowego sztandaru, ponownie przez ZPB im. Juliana Marchlewskiego.

Serdeczne więzi kadry i słuchaczy CSOPW z robotnikami zapoczątkowane i utrwalane we wspólnej walce i pracy w pierwszych latach powojennych są systematycznie umacniane i zacieśniane. Mają one dziś wielopłaszczyznowy charakter.

W kształtowaniu postaw ideowych naszych słuchaczy sięgamy głęboko do bogatych tradycji łódzkiej klasy robotniczej, zajmują one ważne miejsce w programach kształcenia i wychowania. Ujęta jest w nich problematyka walki proletariatu łódzkiego o narodowe i społeczne wyzwolenie wyeksponowane są czołowe postacie polskiego ruchu robotniczego. Ważną rolę w kształceniu i wychowaniu naszych słuchaczy — a zwłaszcza w kształtowaniu patriotycznych i internacjonalistycznych postaw — odgrywa Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego. Prowadzone tam zajęcia ze słuchaczami wzbogacają i aktualizują humanistyczne wartości polskiej historii i skuteczniej oddziałują na ich postawy.

Z inicjatywy aktywu partyjnego i młodzieżowego słuchaczy CSOP od wielu już lat zapraszani są do udziału w procesie dydaktyczno-wychowawczym z podchorążymi SPR i kadetami szkoły chorążych weterani ruchu robotniczego, kombatanci wojny narodowo-wyzwoleńczej, a także Budowniczowie Polski Ludowej. Są oni dla tych młodych ludzi wzorem patriotyzmu, hartu ideowego, oddania sprawie socjalizmu i żywą lekcją historii. Spotkania z Ludwikiem Spruchem, Wandą Gościmińską, Stanisławą Świderską, Zofią Patorową pozostawiają w pamięci słuchaczy trwałe ślady, stanowią niezwykle cenny element wychowania patriotycznego i obywatelskiego. Celowi temu służą także sesje popularnonaukowe oraz podróże wojskowo-historyczne do miejsc uświęconych bohaterską walką klasy robotniczej na ziemi łódzkiej.

Szczególną wartość w wychowaniu i kształtowaniu naszych słuchaczy stanowi ścisła współpraca Centrum z organizacjami partyjnymi, młodzieżowymi i robotnikami łódzkich zakładów pracy. Do zakładów, z którymi nasze kontakty mają charakter najbardziej konkretny, roboczy i owocny należą: ZPB im. Juliana Marchlewskiego, WZPB 1 Maja, ŁZPB im. Obrońców Pokoju, Dywilan, Kombinat Budowlany Łódź-Śródmieście.

Co roku kadra i słuchacze CSOP odbywają 300—500 spotkań z robotnikami w zakładach pracy, wygłaszają prelekcje podczas zebrań partyjnych i młodzieżowych, udzielają pomocy w szkoleniu partyjnym. W czasie spotkań z robotnikami podejmowana jest problematyka ideologiczna, polityczno-militarna, społeczno-gospodarcza i patriotyczno-obronna. Bezpośrednie rozmowy i spotkania z robotnikami są dobrą szkołą partyjnego myślenia i działania.

Ze szczególną ofiarnością pracowała kadra i słuchacze po IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, a także po wprowadzeniu stanu wojennego. Wielu oficerów pracowało ofiarnie w charakterze komisarzy w zakładach pracy i instytucjach państwowych. Wspólnie z robotnikami skutecznie przeciwdziałaliśmy wrogiej działalności i braliśmy aktywny udział w ideowym i organizacyjnym umacnianiu organizacji partyjnych.

W okresie nasilenia wrogiej działalności, skierowanej przeciwko partii i socjalistycznemu państwu, robotniczo-żołnierskie więzi nie uległy osłabieniu, wręcz przeciwnie utrwaliły się i umocniły. Wzorowa postawa wojska — naszej kadry i słuchaczy — zyskała uznanie i zdobyła jeszcze większy autorytet wśród łódzkiej klasy robotniczej. Dzięki właściwej postawie zdecydowanej większości robotników łódzkich zakładów pracy, zakładowych i podstawowych organizacji partyjnych nie udało się wrogom socjalizmu zanarchizować życia w mieście i pozbawić wpływu partii klasy robotniczej na całokształt życia politycznego oraz społeczno-gospodarczego w mieście i województwie.

W bezpośrednich roboczych kontaktach z ludźmi pracy kadra i słuchacze rozwijają swoje umiejętności i wzbogacają doświadczenia w działalności partyjnej i społecznej, które owocują dobrą pracą ideowo-wychowawczą w jednostkach. Niezwykle cenną formą współpracy CSOP z klasą robotniczą Łodzi, zwłaszcza w okresie ostatnich dwóch lat jest aktywne uczestnictwo kadry i słuchaczy w szkoleniu partyjnym członków i kandydatów partii ZPB im. Juliana Marchlewskiego i Kombinatu Budowlanego Łódź — Śródmieście budującego Szpital — Pomnik Matki Polki. Działalność ta — jak wykazują dotychczasowe doświadczenia — dobrze służy pogłębianiu wiedzy ideowo-politycznej aktywu robotniczego oraz podnosi autorytet naszej partyjnej uczelni wśród aktywu robotniczego. Dużym uznaniem w środowisku kadry i słuchaczy cieszą się spotkania członków Komitetu Zakładowego PZPR w ZPB im. J. Marchlewskiego ze słuchaczami, a zwłaszcza podchorążymi SPR.

Z inicjatywy I Sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR w CSOP, płk mgr Józefa Lelity i I Sekretarza KZ PZPR, Pawła Zawadzkiego utrwaliła się zapoczątkowana już w 1982 r. wymiana doświadczeń i ścisła współpraca między obu komitetami i egzekutywami organizacji partyjnych. Jak wykazuje dotychczasowa praktyka, spotkania członków obu egzekutyw i wspólne posiedzenia komitetów są bardzo pożyteczne. Pozwalają one na bieżąco ocenić stan współpracy oraz wzbogacić formy i metody działalności partyjnej obu organizacji. CSOP udostępnia swoją bazę szkoleniową i środki techniczne do prowadzenia zajęć z aktywem partyjnym zakładów. Prowadzimy także — wykorzystując naszą bazę — instruktaże dla wykładowców szkolenia partyjnego. Ściśle współdziałamy w tym zakresie z dzielnicowymi organizacjami partyjnymi i Międzywojewódzką Szkołą Partyjną w Łodzi.

Umacnianiu serdecznych więzi kadry i słuchaczy z łódzką klasą robotniczą dobrze służą również podejmowane i realizowane czyny społeczne, wspólne imprezy polityczno-propagandowe, sportowe i kulturalno-rozrywkowe. Szczególnym uznaniem wśród robotników łódzkich zakładów pracy cieszą się czyny społeczne żołnierzy przy budowie Szpitala — Pomnika Matki Polki. Z dużym uznaniem spotykają się także wpłaty pieniężne na książeczki mieszkaniowe dla sierot Państwowych Domów Dziecka oraz inne świadczenia społeczne. I tak np. tylko w latach 1982—1984 kadra i słuchacze ufundowali 10 książeczek, wpłacili na budowę Szpitala—Pomnika Matki Polki i Fundusz Ochrony Zdrowia około 200 tys. zł. Ponadto kadra i słuchacze oddali w tym samym czasie honorowo ponad 300 l krwi.

Wszechstronne jest również oddziaływanie ideowe kadry i słuchaczy CSOP na młodzież robotniczą, a szczególnie szkół średnich i podstawowych. Obecnie CSOP współpracuje z 12 szkołami średnimi i 3 zasadniczymi szkołami zawodowymi w dzielnicy Bałuty. Podobnie jak z klasą robotniczą, współpraca z młodzieżą ma również charakter wielopłaszczyznowy i jest systematycznie rozwijana.

Kadra i słuchacze świadczą konkretną pomoc nauczycielom, a także prowadzą zajęcia bezpośrednio z młodzieżą na tematy patriotyczno-obronne, organizują liczne konkursy wiedzy społeczno-politycznej oraz organizują wspólne imprezy kulturalne i masowo-sportowe. W umacnianiu więzi z klasą robotniczą — a nade wszystko z młodzieżą robotniczą i szkolną — znaczącą rolę odgrywa Sala Tradycji Centrum Szkolenia Oficerów Politycznych. Stanowi ona nieocenioną pomoc w wychowaniu patriotyczno-obronnym i kształtowaniu zaangażowanych postaw obywatelskich młodzieży.

Są to tylko niektóre przykłady współdziałania i zacieśniania serdecznych robotniczo-żołnierskich więzi, które utrwalane we wspólnej walce i pracy dobrze służyły, służą i służyć będą robotniczemu miastu i jego mieszkańcom.

Foto: WAF

Płk mgr Marian Anysz jest Komendantem CSOP, członkiem Egzekutywy KŁ PZPR.

Dokończenie ze strony 1

Uwagi te odnoszą się zwłaszcza do towarów zaprezentowanych przez przemysł kluczowy — odzieżowy, dziewiarski, meblowy — bowiem zarówno rzemiosło jak i spółdzielczość zaprezentowała swój potencjał i możliwości produkcyjne w znacznie szerszym zakresie.

W halach, gdzie pokazywali swój towar przedstawiciele tych dwóch sektorów panowała zresztą zupełnie inna atmosfera, o wiele bliższa temu pożądanemu modelowi kontaktów na linii handel-przemysł, jaki chcemy osiągnąć, m.in. poprzez realizację założeń reformy gospodarczej. Nie należały do rzadkości przypadki, gdy rzemieślnik lub przedstawiciel spółdzielni po prostu zaczepiał przechodzące osoby, proponując im bliższe zapoznanie się ze swoją ofertą. Jeśli okazywało się, że zaczepiony nie jest akurat handlowcem, lecz dajmy na to dziennikarzem lub po prostu zwiedzającym — gorliwy przedstawiciel drobnej wytwórczości i tak prezentował swój towar, często z komentarzem: jak się spodoba, będzie pani wiedziała, czego domagać się w sklepach.

Co dziwniejsze, postępowali tak nie tylko ci producenci, których towar nie cieszył się większym zainteresowaniem (niekiedy niesłusznie), lecz również ci, do których ustawiała się kolejka kupujących. Handel w tych pawilonach był faktycznie tym, czym być powinien, na zapleczach stoisk odbywały się rzetelne negocjacje, dotyczące zarówno ilości i asortymentu towarów, jak również... cen. Tym sposobem określenie „ceny umowne" zyskało wreszcie takie znaczenie, jakie mieć powinno.

Niestety, rzemiosło i spółdzielczość, nawet z pomocą firm zagranicznych, które również dość licznie przybyły do Poznania, nie zapewnia nam równowagi rynkowej. Braki rozmaitych, produkowanych w tych sektorach drobnych i większych towarów mogą oczywiście bardzo irytować, ale o tym, czy generalnie rynek jest zrównoważony, czy też panują na nim prawa dżungli decyduje przede wszystkim przemysł kluczowy. Tymczasem towary, jakie zaoferowali przedstawiciele „klucza" stanowiły zaledwie 40 proc. łącznej wartości targowej oferty. W pawilonach przemysłowych gigantów nie było mowy o zachęcaniu handlowców do dokładniejszego obejrzenia ekspozycji, proponowaniu zgodnych z ich życzeniami zmian asortymentowych czy też prawdziwych negocjacjach cenowych. Przed boksami ustawiały się karne i pokorne kolejki przedstawicieli WPHW, Społem i innych przedsiębiorstw handlowych. Chciałoby się powiedzieć: dobrze im tak, za nasze, wielogodzinne oczekiwanie w sklepach, gdyby nie fakt, że niektórzy z oczekujących odchodzili z kwitkiem. A więc i my, klienci, również z kwitkiem odejdziemy ze sklepów.

O pewnej poprawie sytuacji rynkowej i umiarkowanie pomyślnych prognozach na przyszłość świadczyć może jednak fakt, że głęboki zawód spotkał tych producentów, którzy przyjechali do Poznania przekonani, iż sprzeda się wszystko, na każdych warunkach i usiłowali upchnąć towary złej jakości.

Handel tym razem podjął próbę zajęcia jednomyślnego stanowiska i przeciwstawienia się zalewowi bubli, trafiających na rynek. Resort wydał w tym roku już 66 decyzji zakazujących zakupów towarów, które w żadnym razie nie powinny znaleźć się na rynku. Wiele z nich dotyczyło wyrobów przemysłu elektromaszynowego, zagrażających zdrowiu potencjalnych użytkowników.

Reaktywowano również — po kilkuletniej przerwie — działalność Komisji Kontrolno-Weryfikacyjnej, zajmującej się oceną jakościową prezentowanych towarów. O tym, jak małe znaczenie do jakości przywiązuje przemysł, świadczy chociażby fakt, że już w I dniu targów na 300 zaprezentowanych wzorów dziewiarstwa komisja zakwestionowała aż 60 wzorów, które następnie zostały wycofane z ekspozycji, lub też, w niektórych przypadkach trafiły do innego pawilonu, w którym redakcja tygodnika „Veto" i telewizyjnego magazynu „Kram" przygotowała wystawę bubli.

Batalia o jakość, jaką energicznie rozpoczęło w tym roku MHWiU nie rozgrywa się oczywiście tylko na terenach targowych. Obecna w Poznaniu minister Anna Kędzierska na konferencji prasowej zapowiedziała dalszy rozwój handlowych służb odbioru jakościowego, a także wyposażenie handlu w odpowiednie środki prawne i materialne, które mają stanowić swego rodzaju sito, chroniące rynek przed tandetą. Decyzje wydają się słuszne, jednak ich skuteczność będzie prawdopodobnie niższa od oczekiwanej.

Nawet gdyby kontrolerów jakości było tylu, ilu sprzedawców — co oczywiście jest nierealne i bezsensowne — i tak jakiś procent towarów złych znajdzie się na półkach. Jak dotąd bowiem brak odpowiednich instrumentów, zmuszających autorów bubli do podniesienia jakości produkcji. Obligatoryjne kary umowne, jakimi handel obciąża nierzetelnych producentów nie są środkiem zbyt dolegliwym.

Jakość nie była jedynym zagadnieniem, jakim zajmowała się Komisja Kontrolno-Weryfikacyjna. Miała ona ponadto czuwać nad wiarygodnością i autentycznością oferty oraz sprawdzać prawidłowość umów, eliminując z nich, dość powszechnie umieszczane na ubiegłorocznych targach jesiennych i tegorocznych wiosennych giełdach rozmaite klauzule, sprawiające, że zamiast tego, co handlowiec widział i myślał, że kupuje przedsiębiorstwo handlowe otrzymywało coś całkiem innego, w innym terminie, a wszystko... zgodnie z umową.

Inicjatywa powołania komisji jest niewątpliwie ważna i potrzebna, stanowi ważny krok w porządkowaniu rynku towarowego, ale i w tym zakresie działalności komisji nie można oczekiwać zbyt wielkich efektów. Zakaz umieszczania rozmaitych klauzul w umowach nie oznacza przecież, że nie sformułowano ich w rzeczywistości. Sytuacja taka trwać będzie aż do chwili, gdy w sposób istotny wzrośnie podaż towarów, a handlowcy z petentów, jakimi nadal są wobec przemysłu, przekształcą się w prawdziwych kupców.

Wydaje się jednak, że na przeszkodzie temu stoi nie tylko, choć przede wszystkim, brak towarów, ale i niektóre decyzje resortowe, preferujące złą jakość pracy handlowców, jak ma to miejsce np. w przypadku mebli.

Ekspozycja mebli prezentowała się nader ubogo, choć do Poznania przybyły niemal wszystkie zakłady państwowe tej branży. Prezentowane wzory sprawiały jednak wrażenie, że pochodzą z jednego zakładu, który od wielu lat nie zmieniał wzornictwa. Odbiegały one nie tylko od tego, co nasz przemysł meblowy potrafi zrobić (a co można było zobaczyć na proeksportowej wystawie Polskie Meble w maju), lecz nawet od tego, co faktycznie produkuje na rynek krajowy. Być może nie opłacało się do Poznania przywozić atrakcyjniejszych wzorów, bo handel meblami odbywał się tu w warunkach zupełnie nienormalnych — i w tym przypadku nie przemysł zawinił, lecz handel. Podpisywano umowy na IV kwartał br. — lecz nie wszyscy mieli możliwość zakupów, a tylko ci, którzy przez cały rok siedzieli z założonymi rękami.

Od 1982 r. meble są towarem objętym rozdzielnictwem. Dotychczas około 50 proc. produkcji można było jednak kontraktować dowolnie.

Niedawno resort wyznaczył przedsiębiorstwom handlowym limity, i nagle okazało się, że ci handlowcy, którzy od początku roku pracowali aktywnie i efektywnie nie mogą kupić już nic, bowiem wyczerpali limit, przypadający na ich przedsiębiorstwo. C_1 natomiast, którzy nie robili nic, narzekając jedynie na trudności — i tak dostaną meble. To właśnie oni przede wszystkim podpisywali tym razem umowy z przemysłem. Takie działanie stanowi antybodziec reformy i — preferując bylejakość pracy służb zaopatrzeniowych — oddala czas, gdy centralne sterowanie towarami stanie się niepotrzebne.

Tym, którzy wyczerpali limit, pozostały zakupy uzupełniające w sektorze nieuspołecznionym. Spółdzielnie, rzemieślnicy i firmy zagraniczne pokazały nieliczne, ale często bardzo udane meble (na szczególną uwagę zasłużyły moim zdaniem niezwykłej urody komplety kuchenne z litego drewna firmy Prodex i stanowiące nowość wzorniczą na polskim rynku meble firmy Amepol, choć te ostatnie nadają się przede wszystkim na wyposażenie instytucji).

Wart podkreślenia jest fakt, że ceny tych mebli były często niższe, niż podobnych z przemysłu kluczowego. Mimo to jednak wielu handlowców nadal bardzo ostrożnie i nieufnie nawiązywało kontakty z przedstawicielami handlu nieuspołecznionego, nie tylko zresztą w przypadku mebli, ale także innych grup towarowych. Tym sposobem wiele pożytecznych drobiazgów po prostu nie trafi na nasze półki.

Skoro już jesteśmy przy drobiazgach — kilku producentom takich właśnie niewielkich, lecz poszukiwanych towarów zadałam pytanie, jak przedstawiają się prognozy na najbliższą przyszłość. Jednym z nich była spółdzielnia Wkra, nieomal monopolista na naszym rynku w produkcji termosów.

Przedstawiciele spółdzielni stosowali wobec handlowców własną politykę sprzedaży, wyrażającą się zdaniem „każdemu po trochu". Już w południe pierwszego dnia imprezy na boksie wisiała kartka „termosy sprzedane". Najbardziej cierpliwi po paru godzinach doczekali się jednak jej zdjęcia — i mogli kupić termosy, choć nie w takiej ilości, jaka jest potrzebna. Podobną operację powtarzano kilka razy. Sytuacja zaopatrzeniowa ma się poprawić dopiero w 1986 r., gdy ruszy nowa linia produkcji wkładów do termosów. Niestety, już teraz wiadomo, że wkłady, produkowane na niej nie będą miały — używając fachowego określenia — dobrej próżni, a więc termosy będą raczej pojemnikami do przechowywania płynów, niż do utrzymywania ich przez dłuższy czas w niezmienionej temperaturze.

Następnym drobiazgiem, który jest jednocześnie artykułem pierwszej potrzeby, a którego bezskutecznie od wielu tygodni poszukujemy w sklepach, jest pasta do zębów. W tym przypadku prognozy są optymistyczne. Pollena-Lechia uporała się z trudnościami, które spowodowały brak pasty na rynku, z zaległości obiecuje wywiązać się do końca października. Podpisywane na pierwsze półrocze przyszłego roku umowy gwarantują ilość wystarczającą na pokrycie potrzeb rynku. Jednocześnie Społem zapowiedziało import sporej ilości pasty z Bułgarii. A więc po okresie wzmożonego wykupu, jaki zawsze następuje, gdy jakikolwiek towar pojawia się na rynku po przerwie, z pastą kłopotów nie będzie. Już w styczniu powinniśmy kupować ją tak, jak trzeba — tzn. w każdym sklepie bez kolejki.

Nieco gorzej wygląda perspektywa zaopatrzenia w szampony. W tym miejscu warto przypomnieć historię tego produktu, który cyklicznie pojawia się w dużej obfitości lub znika zupełnie. W 1982 r. główny producent szamponów Pollena-Ewa osiągnął rekord produkcji. Jednocześnie, wraz ze zniesieniem reglamentacji mydła i proszków zdecydowanie spadł popyt na szampony (używane poprzednio także do prania). W szybkim tempie zapełniły się magazyny, handel nie chciał odbierać kolejnych dostaw. Zakład więc, mimo dobrego zaopatrzenia w surowce, ograniczył produkcję o połowę. W połowie marca, w słynny „maślany poniedziałek", gdy powrócono do reglamentacji tłuszczów, ludzie obawiali się, że powrócą także kartki na inne wyroby. Popyt wzrósł gwałtownie, magazyny opustoszały. Jednocześnie wzrosła produkcja, ale straty były nie do odrobienia. Od stycznia przyszłego roku szampon objęty będzie zamówieniami rządowymi. Produkcja będzie duża, można przypuszczać, że po początkowym okresie wykupu rynek wkrótce ustabilizuje się i... za rok lub dwa cały cykl się powtórzy.

Odwiedzanie kolejnych producentów i dokładne rozpytywanie ich o plany i możliwości produkcyjne na rok przyszły były właściwie jedyną możliwością przedstawienia realnych prognoz zaopatrzenia na przyszły rok. Prognoz, które nie znalazły odbicia w podpisywanych umowach, obejmujących — a i to w sposób wycinkowy — jedynie pierwsze półrocze, a często również nie pokrywających się z informacją resortu HWiU, opartą na założeniach CPR. Dla jasności dodajmy, że prognozy resortu są znacznie bardziej optymistyczne, niż to, co deklarują producenci jako szczyt swoich możliwości. Miejmy nadzieję, że sytuacja zmieni się na korzyść po zakończeniu giełd surowcowych i materiałowych, jakie odbędą się jesienią.

Jest to zresztą kolejny paradoks. Zdrowy rozsądek sugeruje organizowanie takich giełd w terminie wcześniejszym, tak, aby producenci rynkowych wyrobów finalnych, podpisując z handlem umowy wiedzieli już dokładnie „na czym stoją". Dopiero wtedy rygorystyczny zakaz braku rozmaitych klauzul przy umowach miałby jakiś sens. Tymczasem praktyka jest taka, jak z ironią mówili niektórzy przedstawiciele przemysłu, że zaopatrzenie na rok przyszły będzie znane dokładnie w grudniu 85.

W obecnej sytuacji, targi, mimo iż przybywa na nie coraz więcej przedstawicieli przemysłu dają jedynie bardzo fragmentaryczny obraz zaopatrzenia w nadchodzącym roku. Oczywiście, trudno oczekiwać, aby, nawet po wygrzebaniu się z gospodarczego dołka, w którym nadal tkwimy, po uzyskaniu równowagi pieniężno-rynkowej i pewnej stabilizacji sytuacji w przemyśle i w handlu jedynie w Poznaniu decydowano o tym, co znajdzie się w sklepach ze szczegółami i do końca. Może to jednak — i powinna — być impreza o większym niż w latach ostatnich praktycznym znaczeniu.

Próżnia złej jakości

TERESA JERZYKOWSKA

Pantograf blues

EDWARD BRYL

Wypadki drogowe to żelazny temat w okresie lata. Bierze się stąd, iż kto tylko ma możliwość, chwyta za kółko i pędzi na złamanie karku, na dzień, dwa, na urlop, aby tylko zdążyć. A, że z pojazdem najczęściej na co dzień nie ma do czynienia, należy go przestrzec przed brawurą własną i innych. I słusznie, bo jest przed czym. Zagrożenie na drogach wzrastał W tym roku od stycznia do 31 lipca tylko na terenie województwa miejskiego łódzkiego zatrzymano 1621 kierowców w stanie nietrzeźwym, w analogicznym okresie roku 1983 — 1221, a w 82 — tylko 898. Liczby mówią same za siebie. Jesteśmy coraz bardziej pewni, zadufani we własną „nieograniczoną sprawność". Rzeczywistość okazuje się jednak twarda. Oto wypadki z ofiarami w ludziach spowodowane przez kierujących pojazdami: rok 1982 — 92, 1983 — 101, 1984 — 86. Ta liczba, oczywiście, zmniejsza się, bo nietrzeźwy za kierownicą zostaje w porę zatrzymany. Jednak amatorów „mocnych wrażeń" nie odstraszają wysokie kary, kolegia, bezapelacyjne zatrzymanie prawa jazdy...

Na bezmyślność, głupotę twardogłowych nie ma żadnej rady. Zastanawiające jest jednak to, że dzielnie sekundują im kierowcy i motorniczy MPK, którzy przecież zasiadają do prowadzenia pojazdów trzeźwi, a ilość wypadków, kolizji wywołana przez nich jest zastraszająca. Sięgam po nią zmobilizowany dwoma faktami. Piętnastego sierpnia 1984 r. bezskutecznie poszukiwałem w pracy swojej znajomej. Okazało się, że miała po drodze wypadek. Tramwaj linii nr 10 uderzył bez żadnych, na oko widocznych przyczyn w stojący przed nim tramwaj linii 16. Kobieta poobijana jak przysłowiowe jabłko, a inni? Rano warunki jazdy dobre, szyny i stojący na nich pojazd jak na dłoni. Więc co? Ponoć wada układu hamulcowego! Ostatnio zbyt dużo tych wad, usterek...

Przypomniałem sobie posiedzenie egzekutywy KZ PZPR MPK w Łodzi, w którym uczestniczyłem oddelegowany przez naczelnego, gdyż rzekomo wszyscy pracownicy tejże instytucji poczuli się głęboko urażeni felietonem mojego kolegi po piórze, krytykującym ostro chamstwo kontrolerów MPK. Odgrażali się nawet, że 7 tysięcy pracowników nie pójdzie głosować — działo się to tuż przed wyborami do rad narodowych, bo ta krytyka to „działalność" celowa podżegacza, robota podziemia godząca w ustrój. Autora postawią przed sądem, naczelnego rozliczą i odwołają.

O święta ludzka głupoto! Uważam, iż felieton piętnował to, co powinien i dopisuję do niego swoje uwagi, iż kontrolerzy są nie tylko źle wychowani, ale często i bez wyobraźni. Na przykład ten, który w dniu 28 lipca br. o godzinie 10.50 na ulicy Aleksandrowskiej zatrzymał tramwaj linii 5/4 między przystankami, drugi 44/4 jadący tuż za nim uderzył całą siłą. Efekt 9 osób rannych, z tego trzy poniosły ciężkie obrażenia — pęknięcie czaszki, złamanie kości udowej. — Nadgorliwiec — powiedział mi oficer Wydziału Ruchu Drogowego — relacjonujący wydarzenie. Decyzja była zupełnie niesłuszna, niepotrzebna, w rozmowie z motorniczym funkcjonariusz MO usłyszał „kontroler doszedł do mnie, szturchnął w plecy i wydał polecenie — natychmiast zatrzymać wóz!" Tramwaje nagminnie ignorują sygnalizację świetlną, wymuszają pierwszeństwo, „co na torach to wróg" — ulubione powiedzonko motorniczych — kontynuował inspektor ruchu.

I faktycznie jeżdżą tak ostro, że rozbijają sami siebie, nie mówiąc już o innych pojazdach, którym na nieszczęście zdarza się utknąć na torach tramwajowych. W dniu 3 sierpnia 84 na ulicy Promińskiego tuż przy 8 Marca, tramwaj linii Nr 29/2 najechał na tył 22/2. Godzina 7.15, ludzie spieszą do pracy, największy tłok. Nie było mgły, idealna widoczność. Znów układ hamulcowy? Rannych 29 osób, w tym sześcioro bardzo poważnie, 10 osób przewieziono do szpitala... Łódzkie tramwaje w okresie od stycznia do 31 lipca 1984 spowodowały 10 wypadków, w których były ranne 24 osoby, a jedna zginęła na miejscu. I dwadzieścia dziewięć kolizji! Według opinii Wydziału Ruchu Drogowego w Łodzi najczęstszymi przyczynami tych wypadków są nieuwaga, nieostrożność, niezachowanie bezpiecznej odległości, niedostosowanie prędkości do sytuacji w ruchu, opóźnione hamowanie — krótkowzroczność, wielka brawura i całkowity brak wyobraźni, dotyczy to oczywiście także autobusów. MPK. W ubiegłym roku ich kierowcy spowodowali 94 wypadki i kolizje w ruchu drogowym, w tym 21 z ofiarami w ludziach. Nie przestrzegają pierwszeństwa przejazdu, znaków drogowych i sygnałów, zajeżdżają drogę, prowadzą z niebezpieczną szybkością, a także nieprawidłowo przejeżdżają przez przejścia dla pieszych. Do 9 sierpnia 84 kierowcy łódzkich autobusów spowodowali 12 wypadków, w których rannych było aż 29 osób, w tym jedna zmarła w szpitalu. Kolizji 32!

Wniosek nasuwa się sam. Szkolenia dla kierowców, motorniczych muszą być prowadzone cyklicznie.

A tak w ogóle, to chyba ktoś mądry i odpowiedzialny wymyślił przepis, że kierowcą, motorniczym może być tylko człowiek nie karany, nie nadużywający alkoholu, ale tego się nie przestrzega. Dzisiaj do pracy w MPK przyjmuje się wszystkich, także karanych i notowanych w izbie wytrzeźwień. Dlaczego? Ludzie lekkomyślni, a takimi są przecież ci wyżej wymienieni, nie będą się zbytnio przejmować zdrowiem, życiem innych. Co prawda własne też narażają na szwank, ale w końcu siedzą dość dobrze zabezpieczeni, wysoko, co im tam „maluch", czy jakaś „syrenka" na drodze, a już nie daj Boże kruchy jak szklanka pieszy. Autobus, tramwaj musi mieć własną siłę przebicia. Na przykład taki jak ten 23 lipca 1984 o godzinie 15.45 przy skrzyżowaniu alei Włókniarzy i Drewnowskiej. Kierowca autobusu 73/3 nie zachował należytej ostrożności przy skręcie w lewo, nie ustąpił pierwszeństwa dla tramwaju 26/8 i spowodował z nim zderzenie. W wyniku tego wypadku 19 osób doznało obrażeń, cztery pozostały w szpitalu w stanie ciężkim. Straty materialne duże — półtora miliona złotych. To tylko w tym jednym, ostatnio wymienionym wypadku, a w pozostałych? Ile strat ponosi z tytułu wypadków MPK rocznie? Czyżby sprzętu było za dużo? A ludzie się nie liczą? Faktem jest, że tam, gdzie wkracza motoryzacja nie obejdzie się nigdy bez wypadków, ale jeśli ich przyczyną jest lekkomyślność, nie można przejść nad nimi do porządku dziennego. Jest tyle innych zawodów, w których ludzie wymagający resocjalizacji, rehabilitacji mogą być zatrudniani. Czy należy od razu powierzać im zdrowie i życie innych. Każdy obywatel ma chyba prawo korzystać z bezpiecznych środków komunikacji państwowej, bo przecież nauczyliśmy się wierzyć, że takimi są tramwaje, autobusy. I jeszcze nie tak dawno cieszyły się dobrą sławą. Wypadki tu należały naprawdę do rzadkości. Dzisiaj pojazdy te też objął „postęp motoryzacji" oczywiście w złym tego słowa znaczeniu. Pora się ocknąć, nie obrażać, tylko poszukać przyczyny, dlaczego jest tak źle, gdy jest tak dobrze, usunąć ją.

Przy okazji zająć się też lepiej stanem technicznym pojazdów, zwłaszcza autobusów — dymią jak kominy. W Łodzi powietrze jest i tak już dość zanieczyszczone, a MPK przyczynia się do tego jednoznacznie. Czyżby wyregulowanie kopcących autobusów przekraczało możliwości, jest przecież nowoczesne zaplecze choćby zajezdni autobusowej przy Limanowskiego. Nikt tego zrobić nie potrafi, czy nie chce?

Szklanka wody — zamiast?

Dokończenie ze strony 1

stwa. I byłoby pięknie... ale nie jest.

Przychodnia przy Sieradzkiej ma znakomite warunki lokalowe, przyzwoite wyposażenie w sprzęt, lśniące czystością wnętrza, pierwszorzędny personel i... puste poczekalnie. Tak pustej przychodni nie znajdzie się w całej Łodzi. Żeby było już zupełnie wesoło, jest to jedyna tego typu przychodnia w rejonie pięciu!!! województw.

Program opieki medycznej przychodni obejmuje poradnictwo przedmałżeńskie, seksuologiczne, antykoncepcyjne. Pracuje poradnia ciąży zagrożonej, ginekologii dziecięcej i młodzieżowej, jest szkoła rodzenia, szeroki program współpracy z różnymi instytucjami i środowiskami społecznymi i... jest przedziwna próżnia wokół wysiłków tych, którym zależy na tym, by — jak powiada stara kobieta w czepku położnej — człowiek czymś się różnił od zwierzęcia.

Stara kobieta wie lepiej niż ktokolwiek, czym jest macierzyństwo. Sama ma dziesięcioro rodzeństwa, miała już dwadzieścia trzy lata, gdy jej, udręczona wiecznymi ciążami, matka rodziła swe dziesiąte dziecko. Własnych wychowała troje i wie, co to jest ogłupiający strach przed potępieniem z wiejskiej ambony, za sprzeciw wobec „naturalnych praw boskich". Ona widziała także wykwity ciemnoty okrucieństwa i obłudy, że dziś bez emocji kwituje już kolejną odsuchę na przykład — na krem „Proven" do kapturków antykoncepcyjnych. Stara położna zaczynała swą pracę w czasach, gdy pierwsza izba porodowa we wsi budziła zajadłą wściekłość dewotów, a nierzadko i kamienie ciskane z ciemnych ogłotków.

— „Świnia też potrafi mieć małe. A człowiek tym się różni od zwierzęcia, że ma półtora kilograma mózgu — i obowiązek czynienia zeń użytku". Stara kobieta nie bawi się w subtelności, wie, że to brutalne, ale jeszcze bardziej brutalna jest rzeczywistość.

Przychodnia przy Sieradzkiej walczy o rozumne rodzicielstwo, przebijając się z uporem przez inercję i wieczną niemoc zbiurokratyzowanych struktur, powołanych, jak na ironię, do szerzenia naukowego światopoglądu.

Jedna z takich prób obejmowała obowiązkowe poradnictwo przedmałżeńskie dla kandydatów do ożenku. Wraz ze złożeniem dokumentów w Urzędzie Stanu Cywilnego narzeczeni trafiali w krąg zainteresowań Towarzystwa Rozwoju Rodziny. Urządzane na miejscu, w USC, dyskusje, prelekcje i lekcje z udziałem psychologa, seksuologa, położnej — umarły na skutek mikrego zainteresowania adresatów. Mała frekwencja nie ostudziła zapału i działacze TRR zaczęli poszukiwać innych płaszczyzn swego oddziaływania. Zaproponowano przeniesienie szkoleń, wraz ze wzbogaceniem ich formy, na teren przychodni, w wygodnych godzinach popołudniowych i wieczornych. I to — owszem, spotkało się z żywą reakcją młodych ludzi, ale — jest kroplą w morzu. Tu nasuwa się refleksja, że Kościół wymaga obowiązkowego uczestnictwa w szkoleniu od przyszłych małżonków i bez otrzymania stosownego poświadczenia uczestnictwa w szkółkach małżeńskich nie otrzyma się ślubu kościelnego. Tymczasem świeckie, propagujące naukowy światopogląd państwo, puszcza tę sprawę na żywioł. Nie ma prawa zmuszającego do poddania się badaniom lekarskim, potwierdzającym zdolność do posiadania zdrowego potomstwa, a nawet gdyby było, nie ma po temu materialnych możliwości. Nikt nie wymaga od zapaleńców stanu małżeńskiego legitymowania się przynajmniej niekompromitującym poziomem wiedzy o „tych sprawach".

Zadanie elementarnego pytania o motywacje posiadania dzieci, wzbudza w najlepszym razie zdumienie. Dla osiemdziesięciu spośród stu zapytanych rzecz była tak oczywista jak konstrukcja cepa. Nad czym się tu zastanawiać, przecież tak każe natura „odwieczny mus podtrzymania gatunku" itp. A na wymiar pojedynczego, konkretnego człowieka — bo wypada, bo brak dzieci mógłby narazić na podejrzenie o niemoc seksualną, bo wreszcie „nigdy się nad tym nie zastanawiałem". Wszystkie te mętne spekulacje każą przypuszczać, że sprawą rządzi „wypadek przy pracy", bezmyślność i brak odpowiedzialności.

Świadome rodzicielstwo nie oznacza chłodnej, wypranej z emocji kalkulacji kiedy, z kim, jak i po co, lecz świadomość odpowiedzialności jaką się bierze na siebie dając życie nowemu człowiekowi. Dając życie, które już od chwili narodzin jest całym światem.

Świadome rodzicielstwo nie ma nic wspólnego z aseksualnym i ponurym spełnianiem „powinności małżeńskiej" postulowanym przez kręgi dewocyjno-impotenckie. Jeśli ma mieć to wymiar ludzki, piękny, niechże będzie radością, a nie piekłem niechcianych ciąż, nie kochanych dzieci.

PO KOCICH ŁBACH

Znamiennym faktem jest iż podstawowa w Łodzi grupa społeczna — klasa robotnicza jest jednocześnie najsłabiej penetrowana przez działaczy Towarzystwa Rozwoju Rodziny. Najsłabsze jest tam właśnie oddziaływanie wysiłków zmierzających do objęcia skuteczną kontrolą medyczną. Próby szły w kilku kierunkach. Po pierwsze — same kobiety trafia do lekarza (jakby nie patrzeć, kończy się wiek XX) — rachuby zawiodły. Po drugie, kobiety pracujące, powinny być otoczone opieką medyczną w trakcie całej ciąży — a więc pomysł oddziałów pracy chronionej w fabrykach. Ich utworzenie w kilkunastu zakładach pracy pozwoliło ogarnąć medyczną kontrolą wszystkie kobiety w wieku rozrodczym. We współpracy z przemysłową służbą zdrowia — rozpoczęły pracę położne, a gdzie było to możliwe także lekarze, prowadzący całą profilaktykę. Od wstępnych badań poprzez podstawową informację, do opieki nad ciężarną, skłonienia do uczęszczania do szkoły rodzenia, po opiekę nad matką i niemowlęciem. Idea, nie powiem, znalazła pewien oddźwięk w kołach gospodarczych, ale też z wielkim trudem toruje sobie drogę. Barierą okazała się... przedobrzona pomoc. Wiele kontrolowanych oddziałów pracy chronionej — z normalnych miejsc efektywnej pracy, tyle, że zorganizowanej zgodnie z zaleceniami ginekologów — przemieniło się w oazy — wybaczcie — świętych krów. Toż nie chodzi o to, by ciężarne legły w nieróbstwie obciążając budżet socjalny firmy, lecz by pracowały w warunkach możliwie najkorzystniejszych. Tam, gdzie nie można było powołać takich oddziałów, a przy tym charakter pracy nie pozwala przynieść istotnego polepszenia warunków dla ciężarnych — jak np. w handlu, pozostaje jedynie współpraca z przemysłową służbą zdrowia. I tu następna bariera. Spory kompetencyjne, zadrażnienia ambicjonalne i preferowany profil zainteresowań, skazał ideę na fiasko. Z oczywistą stratą dla kobiet.

A przecież na dobrą sprawę tylko w ten sposób można dotrzeć do środowisk robotniczych (o wiejskich w ogóle mówić nie sposób, bo tu poziom i zakres opieki nad kobietą i dzieckiem sytuuje nas w średniowieczu). Ani próby wejścia ze szkoleniami praktyczno-teoretycznymi do zakładów pracy, ani zmianowy system pracy przychodni z Sieradzkiej — nie przynoszą spodziewanych efektów. Lekarze marzą, by choć 70 procent kobiet z tych środowisk udało się objąć stałą opieką. Nie pomijając wszystkich innych utrudnień, trzeba wyraźnie powiedzieć, że najpoważniejszą barierą jest myślenie.

Daje ono o sobie znać w stosunku wielu środowisk do tematyki seksualno-prokreacyjnej stosunku bezmyślnym lub wyraźnie niechętnym. Z tych też środowisk „rekrutuje" się najliczniejsza grupa ciężarnych i położnic. Tu się rodzi najwięcej dzieci i tu, o czym nie sposób milczeć — w efekcie pokoleniowych zaniedbań, rodzi się najwyższy procent dzieci niepełnosprawnych.

Wreszcie, co dodatkowo utrudnia jakiś manewr — nie bez znaczenia jest też sytuacja gospodarcza kraju. W tym sensie ma ona wpływ na sytuację i stan zdrowotny kobiet, że o ile kiedyś ciężarna w rodzinie chroniono, mniej lub bardziej ale jednak oszczędzając jej zdrowie, o tyle teraz nierzadko spotyka się „instrumentalny" stosunek do kobiety ciężarnej. To one stają się głównymi zaopatrzeniowcami rodzin (ciąża daje pewne preferencje kolejkowe); kobiety pracujące w handlu czy usługach nie chcą dobrowolnie pozbawiać się możliwości zaopatrzeniowych poprzez przejście na czas ciąży do innego rodzaju pracy. A zresztą możliwości organizacyjno-techniczne w tym względzie są ograniczone.

Lepiej, acz równie daleko od ideału, wygląda sytuacja w środowiskach inteligenckich. Kobiety z tych środowisk na ogół trafiają na regularne kontrole lekarskie. Ich ciąża jest na ogół prowadzona w całym przebiegu. Z tych środowisk pochodzi najwięcej uczennic szkół rodzenia i zwolenniczek kontrolowanej prokreacji.

Towarzystwo Rozwoju Rodziny stara się wejść w kontakt ze szkołami, by już tam kształtować świadomość młodych pokoleń. Tymczasem główny opór stawia — wyjątkowo konserwatywna struktura systemu oświaty. Od lat budzi namiętne dyskusje sprawa sformalizowanego kształcenia seksualnego co zawiera się w szerokiej formule „przygotowania do życia w rodzinie". Dotąd nie ma ani wypracowanego modelu, ani kadr, ani... na szczęście — możliwości zlekceważenia problemu, choć właśnie w tym kierunku idzie najwięcej wysiłku. Kulejąca oświata w szkolnictwie podstawowym staje się zalążkiem nieszczęść i niepotrzebnych doświadczeń — na poziomie szkół średnich. Tu lekceważenie uświadomienia życiowego za kilka lat da o sobie znać przedwczesnymi porodami młodziutkich dziewcząt, tragediami w rodzinach, a wreszcie szeregiem kłopotów całkiem już materialnych (pomoc finansowa, mieszkania, zasiłki etc). Wiedza o tym wszyscy — i nie dzieje się nic. Próby nawiązania kontaktów z uczelniami wyższymi spotkały się z dość przyjaznym przyjęciem władz. Sporo studentów płci obojga znalazło się w zasięgu opieki i kontroli TRR. W ramach obowiązkowego studium wojskowego można było choć w części odrobić to, co latami zaniedbywała — praktycznie zresztą nie istniejąca — szkolna służba medyczna. Ciekawostką jest fakt, że wszystkie łódzkie uczelnie objęte zostały tego rodzaju opieką obowiązkowo, poza... Akademią Medyczną, która wyprosiła sobie „ingerencję" konkurencji, ale też we własnym zakresie nie podjęła żadnych działań.

CZARNA DZIURA MENTALNOŚCI

Problem propagowania nowoczesnego, rozumnego stosunku „do stosunków" w młodym pokoleniu prowadzi do następnej kwestii, tj. do systemu propagandy i wychowania. Stan wydawnictw medycznych, łatwo dostępnych w każdym kiosku, księgarni, paradni „K", tanich i co najważniejsze — na wysokim poziomie merytorycznym, leży u nas jak długi. Fikcyjny (bo na kretyńskie kalendarze z gołymi panienkami papier się jakoś znajduje) brak papieru, słaba siła przebicia tematu, wreszcie brak własnych zasobów finansowych, eliminują Towarzystwo Rozwoju Rodziny z kręgu liczących się wydawców. Najlepszy dowód, jaką rewolucję wywołała Wisłocka, jak ciężko przebija się literatura dla dzieci najmłodszych i młodzieży.

A wszystko to w kraju, który pozwala sobie budować pomnik Matki-Polki.

Młodzież zdobywa więc swoją wiedzę o życiu w sposób często kaleczący jej wrażliwość, narażający na tragiczne następstwa niewiedzy albo wypróbowaną metodą dziadków — prób i błędów. Najpotężniejsze imperium oddziaływania na umysły — telewizja — tu akurat ma dziwnie mało do powiedzenia. Twierdzę, że to nie jest żaden przypadek ani przeoczenie, lecz zupełnie świadoma strusia polityka. O korzyściach najgłębszego zakresu czasoprzestrzennego wychowywania, jakie dałoby się osiągnąć przy pomocy telewizji, nie trzeba nikogo przekonywać. Tam, gdzie nie dotrze lekarz z prelekcją, tam dotrze telewizor. Mądre poradnictwo praktyczno-teoretyczne — a znakomitych fachowców i propagatorów nam nie brak — mogłoby spowodować zbawienne przeoranie zajeżdżonej pruderii i społecznego myślenia o sprawach seksu i rozmnażania. Jest niepojętym oddawaniem pola ciemnocie i nietolerancji, to milczenie państwowego, jakby nie było, a więc materialistycznego światopoglądowo, środka kształtowania postaw i poglądów społeczeństwa.

Nie uważam też za przypadek lub wynik biedy materialnej kwestii, którą określiłabym jako „problem opłacalności". Obniżający się poziom studiów medycznych, dziadowskie płace w służbie zdrowia, postawione na głowie preferencje i priorytety skutkują postępującym brakiem wysoko wyspecjalizowanych kadr medycznych, których brakuje na wsi i w szkołach, w poradniach i szpitalach. Nie ma się co łudzić, że wśród lekarzy znajdują się sami hobbiści, którym będzie się opłacało pracować w niskopłatnej poradni, tylko dlatego, że patronuje jej mądra idea. Będą odchodzić pielęgniarki i położne, będzie brakować andrologów i pediatrów, uciekać będą ze szkół lekarze — bo to się zwyczajnie nie opłaca. I nie można potępiać za merkantylny stosunek do pracy. Wina leży w konstrukcji systemu służby zdrowia. Zawsze będzie tak kompromitująco wyglądać poziom naszej świadomości „alkowianej" jeśli nie będzie manewru reorientacji.

MODEL

Antykoncepcja to my hobby. Ośmielam się niniejszym głosić pochwałę wolnej miłości jak najbardziej pościelowej — w dodatku bez kary ustanowionej w cenniku pruderii. Bez stałego zagrożenia niechcianą ciążą. Nie mam zupełnie nic przeciwko dzieciom, nawet własnym. Z tym tylko, że to ja i wyłącznie ja będę decydować kiedy i ile będzie tych pociech. Tak pojmuję zadanie antykoncepcji. Tak też powinna ona wyglądać w nowoczesnym społeczeństwie. Ale nie wygląda. Jest rzeczą zastanawiającą, że państwo, o tak rozwiniętym potencjale produkcyjnym, tak licznej i fachowej kadrze, nie jest w stanie uporać się z trywialnym kłopotem — pardon — spiralki domacicznej czy kapturka, nie mówiąc już o finezji skutecznych środków farmakologicznych. Wrocławski ośrodek ginekologiczny od lat projektował, udoskonalał rozmaite wersje mechanicznych środków antykoncepcyjnych. Trwały, prowadzone przez hobbistów badania nad rodzimymi środkami doustnymi. Morze ludzkiej pracy diabli wzięli. Osamotniona firma „Securitas" produkuje za mało, przestarzałe typy i w ogóle to jest chałupnictwo. Współczesna Polka, by nabyć ten artykuł pierwszej potrzeby, musi się upokarzać prywatnymi znajomościami w świecie lekarskim, być właścicielką waluty wymienialnej lub otrzymywać paczki ze zrzutów. Epoka masowych zrzutów zagranicznych w niewielkim stopniu poprawiła sytuację. Nieco środków antykoncepcyjnych trafiło do specjalistycznych przychodni, ale ściska się je trwożnie na wypadek oczywistych wskazań lekarskich. Dla wszystkich chętnych zabrakuje. Trochę środków trafiło kanałami kościelnymi, ale żadne przychodnie nie mają kontroli nad dystrybucją. Nie ma rozeznania potrzeb — choć wiadomo, że ogromne — nie ma ludzkiej siły, by przeskoczyć stan nieskończonych „prób technicznych". Nie ma możności przeprowadzenia śledztwa, kto, dlaczego i jak blokuje masową produkcję.

Trudno doprawdy uważać za przypadek, że na całą aglomerację łódzką, tylko jedna apteka (Kościuszki 48) prowadzi sprzedaż tych detali. Może kilka poradni, własnymi kanałami coś tam jeszcze zgromadziło — i to już wszystko. Nie, jeszcze jedno. Kiedyś temu, kto wytłumaczy brak kremu „Proven". Jak Boga kocham, czy to jest naprawdę taka filozofia? Czyż nie jest uwłaczający fakt, że w PEWEXACH spiralki można kupić, a za złotówki nie? Czy nie jest ciężka kompromitacją polityki społecznej tchórzliwe milczenie na temat przyczyn tego stanu? Czy już naprawdę trzeba walić na odlew, żeby zmusić do reakcji tych, którzy biorą państwowe pensje za to, żeby miliony kobiet nie czuło się oszukanych? Pomnik Matki stawiamy, a na spiralki nas nie stać! Już nie mówię o takim problemie jak antykoncepcja u młodzieży niepełnoletniej formalnie, acz wkraczającej w wiek inicjacji seksualnej. Jak przeskoczyć prawną barierę, według której zabieg lekarski (a jest nim założenie kapturka) u młodej dziewczyny wymaga zgody jej rodziców, jeśli dziecko jest niepełnoletnie. A gdzie tajemnica lekarska? Mikrotabletka antykoncepcyjna — to jest coś, o czym się czyta w zachodnich pismach medycznych, ale u nas?...

Wszystko to także da się zaliczyć do kręgu spraw, mających swe źródło w świadomości. Model rozumnego korzystania z radości seksu, model świadomego rodzicielstwa, zapobieganie niechcianym ciążom, o to idzie batalia. O przebudowę myślenia.

Jeszcze jeden problem wyłania się w związku z tym. Model propagowanej — i istniejącej realnie — rodziny. Tak się złożyło, że do zrobienia dziecka trzeba dwojga i do normalnego jego wychowania także trzeba dwojga. Samotne matki, rodziny niepełne — to jest smutny mus, ale na pewno nie to, o co chodzi. Stąd proponowany przez TRR program „reedukacji" tatusiów. I najwyższa pora. Specjaliści z Sieradzkiej mogą godzinami opowiadać, jak nieprawdopodobnym kłębem bzdur, uprzedzeń i zakłamania, znamionuje się myślenie przeciętnego mężczyzny o sprawach seksu i prokreacji. Wymysł, jakoby dziecku potrzebna była przede wszystkim matka (chytre przeniesienie akcentu) nie zaś oboje rodzice — to fundament tych mitów męskich. Dlatego z uporem, mimo przeszkód, rozwija się szkolenie idące w kierunku: rodzicielstwo to sprawa obojga. Macierzyństwo to nie tylko babska rzecz. Mit stuprocentowego samca ma niewiele wspólnego z pojęciem dojrzałego psychicznie mężczyzny — męża i ojca. Co jednak należy odnotować, mężczyznę przekonać jest trudno, ale przekonany, staje się pojętnym i chętnym uczniem w... szkołach rodziców. Bo i takie pracują pod patronatem TRR w Łodzi. Myśli się nawet o powołaniu szkoły babć — dla łagodzenia konfliktów wychowawczych w rodzinach wielopokoleniowych.

Na koniec — zdaję sobie dobrze sprawę jak bardzo „kontrowersyjny", by nie rzec blaźnierczy tekst przedstawiam czytelnikom. Ale... jeśli rozwiązaniem sprawy nie mają się stać masowe aborty, jeśli nie chcemy krzywdy tysięcy kobiet i tysięcy niechcianych, samotnych dzieci, budujmy ten Pomnik Matki-Polki od spraw elementarnych. Od myślenia, od kultury i oświaty. Taniej nas wszystkich to wyniesie. Jeśli bowiem — zgodnie z ideałem ustroju — chcemy kształtować człowieka jako wartość najwyższą, nie możemy ulegać bezmyślności jednej z najważniejszych sfer życia ludzkiego.

Nie jest prawdą, że kochamy dzieci i wszystko dla ich dobra czynimy. Nie jest prawdą, że szanujemy matkę i doceniamy jej rolę.

Uroczyście i z zadęciem obchodzimy szerokim łukiem Dzień Dziecka i Dzień Matki. Toczy się batalia o dzieci nie narodzone, wyzwalają się gejzery zaciekłości i obskurantyzmu. Może lepiej walczmy o te istnienia, które już są i nie mogą się bronić, (patrz casus dr. Marii Łopatkowej i jej idée fix). Bo — jak pisał tygodnik „Tu i Teraz": „Dzień Dziecka i Dzień Matki to nie zabaweczki i kwiateczki, ale próba uświadomienia znakomitej większości matek i ojców jak strasznie głupio i okrutnie postępują z własnymi dziećmi. Jak znikome jest ich poczucie jakiejkolwiek społecznej i rodzinnej odpowiedzialności. Jak bardzo złymi są rodzicami".

Być mądrym rodzicem, to wielka sztuka... i temat na zupełnie inne opowiadanie.

JOLANTA WROŃSKA

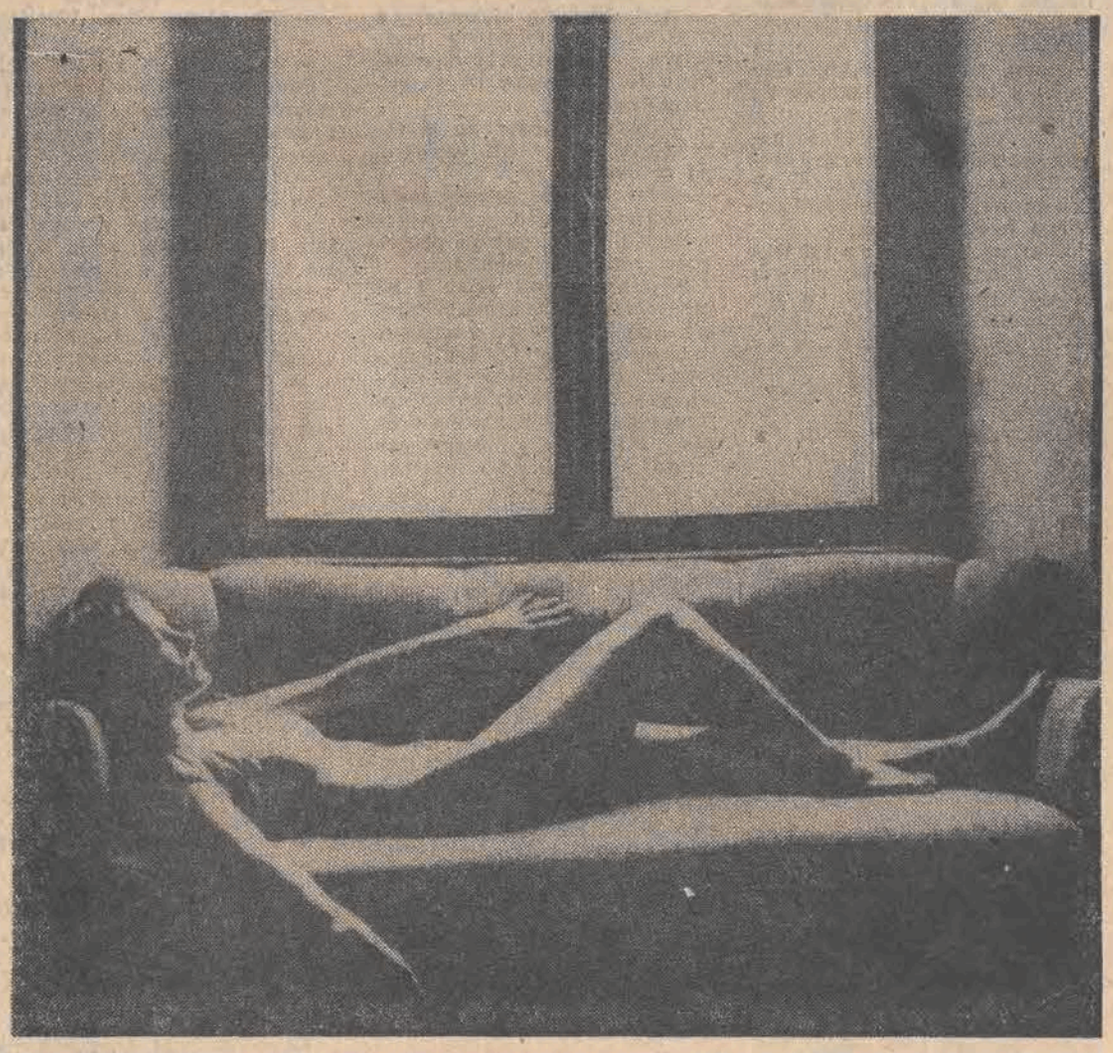

Foto: Stefan Kosiński

Foto: G. Gałasiński

Wólczańska 49

(2)

ROMAN KUBIAK

Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miejskiego. Ciepły letni poranek. Poniedziałek, środa, piątek — „dni mężczyzn".

Podczas gdy na piętrze pokornie czekają „umysłowi", a na dziedzińcu fachowcy spod znaku kielni odprawiają z kwitkiem kolejnego skąpego kadrowca, przed bramą czatują „skoczkowie". „Skoczek" reflektuje tylko na pracę dorywczą. Raz, dwa razy w tygodniu najmuje się do zajęć okazjonalnych. A takowych nie brakuje.

Wólczańską wolno jedzie zielony tarpan. Zatrzymuje się. Pierwsza grupa „skoczków" już oblega samochód.

— Co jest? Za ile? Gdzie?

Kierowca prowadzi pertraktacje nie opuszczając wozu. Uchyla tylko drzwi i wskazuje palcem:

— Trzech — tych trzech. Sto pięćdziesiąt za godzinę. Pracy starczy na cztery dni...

Wybrańcy wskakują pod plandekę. Reszta wraca na posterunki, czujnie wypatrując kolejnej okazji.

Po dziesięciu minutach podjeżdża taksówka. Pasażer życzy sobie spawacza. Spawacze są w cenie, więc propozycja stu dwudziestu złotych za godzinę wywołuje powszechną wesołość.

— Chyba się pan nie myłeś — kwituje spawacz którego zawodowa duma została urażona.

— Sto pięćdziesiąt — mięknie pracodawca.

— I jeszcze pięćdziesiąt, a zastanowię się — fachowiec określa swoje warunki.

Pani z poloneza potrzebuje dwóch malarzy. Plantator skorzysta z usług czterech ochotników. Właściciele domków w budowie „wypożyczą" kilku do murarki. Badylarz ma pilną robotę dla trzech z tęgą krzepą. Dama w bieli zabrała do skody dwóch stojących na skraju mężczyzn. Samochód ruszył z fasonem, lecz ostro zahamował po przejechaniu kilkudziesięciu metrów. Zapiszczały opony i skoda dała całą wstecz.

— Wysiadać! — dama w bieli nie znosi sprzeciwu.

— Co się stało — usłużni panowie spieszą słabej płci na ratunek.

— Wzięłam ich do roboty, a oni cholera jasna, chcieli przenocować. Włóczęgów mi nie potrzeba. No już — dwóch do robienia pustaków!

Dwóch do robienia pustaków delikatnie trzaska drzwiami. Jadą.

Kwadrans po ósmej pojawia się osobowa nysa. Jak na komendę większość czatujących rzuca się w jej kierunku.

— Zadusza go — próbuje żartować ktoś ze spóźnialskich.

Tłum wokół nysy gęstnieje tak, że nie da rady usłyszeć choćby fragmentów rozmowy. Widać tylko, jak tęgawy jegomość monarszym gestem odtrąca nadmiar służby, której dziś nie obdarzy swą łaską. Pan i władca zabiera sześciu wybrańców i ostro rusza. Ma dobre notowania u „bezrobotnych". Nigdy nie targuje się, dlatego jest postacią oczekiwaną. W poniedziałek ma przyjechać ponownie.

„Najemnicy" odjeżdżają w niewiadomym kierunku. Co dzieje się potem? Jak traktowani są przez pracodawców? Będę usiłował odpowiedzieć na te pytania doświadczając na własnej skórze.

Trzymam się blisko najaktywniejszej grupy „skoczków". Oni pierwsi rozpoznają przyjeżdżających „menedżerów" i pierwsi oblegają tych sprawdzonych, tych którzy najlepiej płacą.

Dwie próby przedarcia się przed oblicza panów badylarzy kończą się fiaskiem. Po prostu nie potrafię tak sprawnie jak inni operować łokciami. Trzecia próba jest udana. Fakt, że osobnik, który przyjmuje mnie do pracy musiał kiedyś nawalić, bo stare wygi z Wólczańskiej zupełnie zignorowały jego przyjazd.

— Robota jest w szklarniach. Półtora tysiąca dniówki — sucho wygłasza pryncypał.

Ma możliwość wyboru pracownika, z czego oczywiście skwapliwie korzysta. Selekcjonuje siłę roboczą, w oparciu o warunki fizyczne: „Ten za mizerny, tamten kurdupel — trzeba zdrowego chłopa". Klepie po plecach wątłego facecika o skacowanym obliczu i pociesza go:

— Nie mam dla ciebie roboty. Złamiesz się, jak wiatr powieje. Najmij się do zbierania porzeczek.

Szczęściem nie zagląda ludziom w zęby...

Pojedzie pięciu wybranych. Pojedziemy daleko za miasto do „królestwa" naszego jednodniowego szefa. Będziemy wywozić ziemię z wielkiej jak hala sportowa szklarni. Będziemy ociekać potem i giąć się pod ciężarem szufli. Będziemy stale pod czujnym okiem wyrostka, któremu tatuś powierzył rozkazywanie robolom. Zobaczymy naszego pryncypała, kiedy leżakuje na tarasie popijając drinka z lodem. Zobaczymy nastoletnią córeczkę bossa, kiedy wyjeżdża na spacer białą ładą i kiedy spogląda na nas ze współczuciem i litością. Zobaczymy podwieczorek w ogrodzie, kiedy zjadą się sobie podobni ludzie szerokiej inicjatywy. Będziemy prosić o coś do picia i po godzinie wystawią za próg domu wiadro wody i aluminiowy garnuszek. Będziemy żreć niedojrzałe jabłka, bo przerwy na posiłek nie zarządzono. Będziemy trzepać pański dywan i zamiatać pańskie podwórko, bo tak nam kazano. Będziemy otwierać i zamykać pańską bramę na każdy klakson samochodu pana i jego gości, bo tak nam kazano. Będziemy tyrać godzin osiem, a potem dowiemy się, że urządzamy kpinę, bo do zmroku jeszcze daleko. Więc zostaniemy do zmroku, żeby pan zechciał wypłacić obiecane pieniądze, bo jeśli nam się nie podoba, to możemy iść skąd przyszliśmy i możemy też wybić sobie z głowy półtora tysiąca. Zostaniemy obdarowani trzema pięćsetkami z pańskiego portfela, a jeden z nas to dostanie tylko tysiąc, bo trzy razy samowolnie robił przerwę na papierosa. Zostaniemy też obszukani skrupulatnie, czy nikt nie ukradł drogich pomidorów z pańskiej szklarni. Zostaniemy w końcu odstawieni do granic miasta, a dalej mamy już sobie radzić, bo pan nasz i tak miał z nami tylko kłopot...

W poniedziałek zaczęli zjeżdżać chłopi. Żniwa — jak to się mówi — wkroczyły w decydującą fazę. Do żniw potrzebni są ludzie. Synowie gospodarzy — teraz rdzeń oudowlanki, pewnie gonią plan na osiedlu w Łodzi, trzeba więc sięgnąć po rezerwową armię pracy. Ludzi na Wólczańskiej dość, a robota w polu nie może czekać.

Z gospodarzami jest trochę inaczej. Są zwykle onieśmieleni i gęsto tłumaczą się ze swego tutaj przyjazdu. A to, że kombajn nie zbierze, bo żyto legło, a to że syna zabrali do wojska...

Ten, który podjechał tarpanem prosi do pomocy cztery osoby. Praca ponoć lekka i jak dobrze pójdzie, do obiadu powinna być skończona.

Włazimy w trójkę na tył tarpana. Dla jednego jest miejsce w szoferce. Gospodarz starannie sznuruje plandekę, żeby jakiś patrol nie przyczepił się do nas i nie sypnął mandatu za wożenie ludzi półciężarówką do transportu kartofli. Przez miasto i podmiejską szosą jedzie się jako tako, ale na wiejskich wertepach dokładnie zapoznaliśmy się z twardymi dechami, praktycznego skądinąd tarpana.

Nareszcie wjeżdżamy na chłopskie podwórze. I tu niespodzianka. Żona gospodarza zaprasza na śniadanie — chyba z pół wiadra dymiącej jajecznicy na boczku. Gospodarz przeprasza i tłumaczy:

— Najpierw tak, na sucho. Ja wiem: człowiek nie wielbłąd, napić się musi. Ale z rana niedobrze pić gorzałę. Po robocie smakuje lepiej. Wstawiłem bańeczkę samogonu do studni, coby się chłodził w wodzie...

Zaraz po śniadaniu wychodzimy w pole. Kosiarka skończyła żąć. My mamy zbierać zboże i wiązać je w snopki. Chłop gotów jest instruować każdego z osobna, ale miastowym, jak raz taka robota nie jest obca. Praca idzie piorunem — nawet gospodarz z zadowoleniem kręci głową. Zanim jeszcze słońce stanie w zenicie, na rżysku wyrosną cztery rzędy mendelków — wszystkiego niecałe trzy godziny pracy.

I znowu siadamy do obficie zastawionego stołu. Jest wiejska kiełbasa ciepła kaszanka i gruby salceson. Tytułem żniw jakaś świnka niechybnie poszła pod nóż.

— Jedzcie panowie — jedzcie na zdrowie — gospodyni zachęca do konsumpcji wiejskich delicji. — Wszystkuchno świeżutkie. Swojska robota, nie żadna tam miastowa papranina...

Nasz pracodawca dyskretnie przywołuje żonę na poufną rozmowę. Krótką chwilę wymieniają uwagi, po czym chłop odlicza po sześćset złotych każdemu ze swych pracowników.

— Tak chyba nie będzie krzywda...

Na stół wędruje banieczka samogonu. Gospodarz osobiście napełnia szklanki. Sam nie będzie pił — musi przecież zasiąść za kierownicę. Pierwszy toast należy wznieść za pomyślne żniwa. Następny — już wszystko jedno za co.

Mimo usilnych starań z naszej strony, nie udaje się zjeść nawet połowy apetycznych przetworów. W bańce też daleko jeszcze do dna. Czas żegnać się z gościnnymi wieśniakami. Chłop zapuszcza silnik tarpana.

— Niech się pan nie fatyguje. Sami wrócimy do Łodzi — proponujemy uczynnemu gospodarzowi.

— O, nie — dla mnie to żadna subiekcja. Przywiozłem, to i odwiozę.

Wracamy na Wólczańską.

W środę oferowali same małe fuchy. Najpierw jakiś właściciel szklarni przyjechał po ludzi do rozładunku koksu. Ale nie podjechał, tak jak wszyscy pod bramę pośredniaka, lecz zaparkował wóz gdzies w bocznej ulicy. Nie wiem dlaczego wybrał właśnie mnie.

— Kolego, można zarobić przy koksie...

— Ile można zarobić?

No proszę, jak szybko uczę się tutejszych obyczajów — pomyślałem niemal automatycznie rzuciwszy sakramentalne pytanie.

— Zobaczymy... Do sądu nie pójdziemy...

Nagle czyjaś dłoń legła na moim ramieniu. Za mną stał krępy trzydziestolatek z plastrem na brodzie.

— *Daj se spokój.* Ten oszwabi cię aż miło. Dusigrosz cholerny.

I po chwili do zlęknionego badylarza:

— Mówiłem ci k...., żebyś tu nie zaglądał. Za te pięć stów z wypłaty do końca życia masz prze...

Badylarz niezręcznie wycofuje się.

— Uważaj na takich co cichaczem podchodzą — poucza mnie demaskator pazernego prywaciarza.

— Dzięki.

— Dobra. Jesteś tu nowy, wszystkich jeszcze nie znasz...

Potem miałem propozycję wtargania mebli na trzecie piętro bez pomocy windy. Tragarzy potrzebował pan w szarym garniturku. Odmówiłem. Foszło dwóch nastolatków.

Przed dziesiątą zeskoczył z bagażówki wysportowany mężczyzna. Ten nie przywiązywał wagi do warunków fizycznych „skoczków".

— Dwóch panów do stania w kolejce — powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

— Ja! — zdecydowałem się.

— Jeszcze jeden.

Zgłosił się chłopak po pierwszym roku politechniki.

Pojedziemy pod sklep i od razu staniemy w krótkim jeszcze ogonku. Nasz „pracodawca" stanie za nami. Nasz „pracodawca" jest dobrze poinformowany. On wie na pewno, że „rzucą" lodówki. Będziemy czekać i lodówki rzeczywiście „rzucą". Dobrze poinformowany odliczy każdemu po jedenaście banknotów z portretem Chopina, bo towar nazywa się mińsk i kosztuje 55 tysięcy. Dobrze poinformowany weźmie w zastaw nasze osobiste dowody, żeby nie przyszło nam do głowy ulotnić się z forsą. Dobrze poinformowany odbierze paragony i odda dokumenty z zatkniętymi weń pięćsetkami — na tyle wycenił nasz udział w akcji „lodówki". Dobrze poinformowany odprawi nas pośpiesznie, a sam zajmie się załadunkiem lodówek na bagażówkę. Będzie transportował je kolejno — żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Wracamy na Wólczańską....

Tapeta

RYSZARD BINKOWSKI

O godzinie piętnastej trzydzieści Kazimierz Śmiech zarządził fajerant. Wziął utarg w wysokości, powiedzmy, pięćdziesiąt kawałków i opuścił tatowy zakład, gdzie zatrudniał się jako przykręcacz. Przykręcał śrubę dwóm wynajętym szwaczkom od tzw. konfekcji lekkiej. W kieszeni oprócz tauzenów miał papierosy i złoty zegarek po dziadku bez paska, a w głowie same troskliwe synowskie myśli. Zbliżały się imieniny Grzegorza, postanowił więc kupić staremu tacie w prezencie skrzynkę jakiejś lepszej wódki.

Przeraziły go szpalery do monopolu. Były mniej więcej takie, jak trzy kolejki do najlepszego uzdrowiciela na bioprąd. Ale nic dziwnego, seanse z tym i tamtym czyniły cuda. Czekał przeto cierpliwie, albowiem ani na chwilę nie opuszczała go myśl o szczęściu ojca. Imieniny raz do roku, a więc raz, a dobrze.

Nagle na samym końcu węża, który wił się w mękach pragnienia do źródła niespełnionej firmy „Ponal", ujrzał swego kolegę z dziecięcego podwórka, Marka Stefaniaka. Był to wielce zażyły kumpel, z którym przeskoczyli kiedyś pewną nie uświadomioną rolniczkę, co to chciała zbadać, jak się w mieście robi sztuczne unasienianie, i oni jej to zademonstrowali na poligonie doświadczalnym u Stefaniaka. Po zakończeniu ćwiczeń rolniczka przeciągnęła się, ziewnęła i oznajmiła, że w mieście pełno prelegentów i telewizji, ale ciemnota straszniejsza niźli w chlewie bez specjalizacji.

Stefaniak był w berecie i w drelichu zaklajstrowanym tak pięknie, jakby służył za modela, na którym przedszkole ćwiczy wyklejankę i gnioty w plastelinie. Miał cierpiącą twarz biczownika, któremu koniec harapa wbił się w skórę na plecach i nie chce wyleźć. Ale gdy Marek zobaczył Śmiecha na szpicy spragnionych, bicz boży oderwał się łagodnie od jego znękanego pokutą ciała.

— Rany gorzkie! Cud, że cię widzę — wyszeptał głosem zmartwychwstańca.

— Ja też. Nie robisz już w spółdzielni?

— Czemu nie? Zasuwam w tapecie.

— Ho! ho! I puszczają cię w kolejki?

— Bo ja robię bez kapa! Osobiście lecę po zleceniach. Weźmiesz mi metr?

— Biorę skrzynkę lepszej.

— Takiej nie ma! Jest dostawa żaglówki, dlatego ta cała pielgrzymka.

Śmiech wyraził zgodę, gdyż był już blisko źródła, więc nie warto było odstępować. Marek podał mu dyskretnie tauzena w jednym kawałku i poszedł się odpryskać, albowiem z braku surowca rozmiękczał tapetę piwem. Kazio na dobry początek nabył dla tatusia flaszkę żubrówki, a dla kumpla wziął dwie bałtyckie, dopłaciwszy z własnej kieszeni sto szesnaście złotych.

— Nie skoczyłbyś ze mną na plan? — zagadnął Marek.

— Daleko?

— Za drugą przecznicą. Tapetuję takiego jednego, któremu nie chce się wyklejać ścian banknotami. Za szybko płowieją.

— To masz tam dobrze, co?

— Aha. Mam pomocnika. Jak go zobaczysz, to będziesz chciał zaraz oddać skarpety do pralni.

— Ze śmiechu?

— Zobaczysz!

Zaintrygowany Śmiech, zawsze skory do śmiechu, udał się z kolegą na miejsce spółdzielczego zlecenia. Dom stał pusty. Prezentował się niby najpiękniejszy pomnik walki ze spekulacją. W zalepionym do połowy pokoju, po którym mogła krążyć na pełnym gazie pani Dykiel na hondzie, na zachlapanym parapecie tkwiła niczym symbol utraconej nadziei smutna, pusta butelka. Pod ścianą leżał zwój kolorowej tapety. Kazimierz Śmiech przetarł z wrażenia oczy, albowiem wydało mu się, iż tapeta coś jakby faluje i wydaje łagodne pomruki.

— Ty, co to? — wymamrotał.

— To? Mój wspólnik, bracie.

— Ho, ho! Oszczędzasz go — wyraził uznanie Kazio.

— Z konieczności.

Marek nalał po musztardówie ze swojej flachy i wyciągnęli duszkiem.

— Co jemu się stało? — wychrypiał Kazik, bo mu wstrzymało dech w piersiach.

— Wyszedłem za swoją potrzebą, a tu się wdarło dwóch napalonych i chcieli gwałcić...

— Pedały, kurwancja!

— No, niezupełnie. Wróciłem w porę, nie zdążyli rozebrać.

— I co?

— Spieprzyli razem z ubraniem.

Śmiech zaniemówił z przejęcia, po czym napełnił obie musztardówki. Strzelili w milczeniu za gwałt i butelka zrobiła się prawie pusta. Kazio podszedł do zwoju tapety.

— Chcesz rozpakować?

— Jak nie zobaczę, nie uwierzę.

— Dobra! Postawisz szkło, to się napatrzysz.

— Śmiech drżąc z podniecenia rozwinął tapetę. W środku leżała żywa, ciepła, naga kobieta. Miała anielsko jasne włosy, piersi dziewicy w rozkwicie żądzy i twarz zgorzkniałej maturzystki, z którą pan fizyk zrobił doświadczenie na rozszerzanie się ciała stałego pod wpływem ciepła.

— Nowy gwałtownik? — wrzasnęła nagle zdartym basem zleconej tapetówki. — Precz! Mam dość chętniaków po zbójnicku.

— Cichoj, Dora, to mój kumpel — uspokoił ją Stefaniak.

— Aha! Kumpel mojego szefa jest moim kumplem — wygłosiła sentencję ukutą przez pioniera kolektywizacji branży szewskiej. — Do takiego to się mogę jawnie przytulić. Ale nie za darmo, a ku-ku!...

Śmiech wypił kolejną musztardówkę z drugiej flachy kolegi Marka. Z nadmiaru wrażeń trochę go przyćmiło, ale trzymał się jeszcze dzielnie. Dorota też się napiła, bo pod tapetą zrobiło się jej zimno.

— Ty! — rzuciła ze złością do Marka. — A ten bogol kiedy tu przyjdzie?

— Jak załatwi interesy.

— Ze mną też musi załatwić. Wybuli odszkodowanie! W jego chacie uległam wypadkowi przy pracy na zlecenie.

— Taaa, ale za to odpowiada spółdzielnia.

Dorota pogłaskała czule Kazika po lewym nadgarstku.

— Jeśli ty mi nie pomożesz, to ja się go nie doczekam — westchnęła. — Która godzina?

Śmiech wysuplał z kieszeni kwadratowy złoty zegarek po dziadku.

— Za pięć siódma — wyszeptał prawie miłośnie.

— Ten bogol — warknęła Dora — musi dać tysiąc na klej! Bez kleju nie skończymy...

— Da ci, da! — łagodził Stefaniak. — Powiem mu, żeby ci przywiózł jakieś łachy.

— Po co ciuchy? Ja chcę ją całą w naturze! — załkał Kazimierz Śmiech.

— Aha! Jak stanie! — ryknęła Dorota. — Jak stanie butelka jakiejś łyski, to mnie masz.

Kazio zacisnął kurczowo palce na rączkach swej butikowej torby.

— Ależ to dla tatusia! — wychlipał z oburzeniem.

Natychmiast Dora zdarła z siebie tapetę i Kazio oniemiał. A Marek wyrwał mu torbę, odkapslował i rozlał żubra do musztardówek. Dora napiła się z rozkoszą. Śmiech także wypił, lecz nie czuł nawet smaku trunku, albowiem wszelkie zmysły miał wbite lubieżnie w łono Dory.

— Ha! Teraz mnie bierz, zbójniku! — zachichotała tapetówka.

Śmiech bardzo tego pragnął, lecz naraz po wpływem rosnącego pożądania i odurzenia alkoholem zrobiło mu się byle jak.

— Oj, oj, nie mogę... Ja... ja chcę do domu — wystękał wielce zawstydzony.

— Też mi sztywniak! — rzuciła pogardliwie. Dora — Jeszcze nie zaczął, a już mu zmiękła rura.

Marek Stefaniak miał jednak czulsze serce.

— Chodź, kolego — rzekł z troską — odprowadzę cię na przystanek.

Jednakże w drodze Śmiechowi zaczęły się plątać nogi. Marek postanowił ukryć przyjaciela w jakimś bezpiecznym miejscu, żeby go nie zwinęli. Wyprowadził go przez dziurę w płocie do ogrodu, posadził na ławce i wrócił do roboty.

Śmiech najpierw popadł w półomdlenie. Potem ukazał mu się obraz ciała ograbionej Doroty i natychmiast chciał lecieć ze skarpetkami do pralni. Ale nie mógł się ruszyć. Wykonawszy kilka gwałtownych ruchów samobójczych, doznał ulgi...

Potem usłyszał z tyłu jakieś kroki, ale się nie odwrócił. Ktoś go pchnął w plecy. Spadł z ławki. Jakaś dziewczyna w dżinsach i w czarnym sweterku zaczęła wrzeszczeć jak opętana: „Milicja, milicja!" Śmiech zaczął krzyczeć donośnie: „Ratunku! ratunku" i dziewczyna uciekła. A jakiś mężczyzna zaczął się dobierać do kieszeni Śmiecha. Kazio bronił jak lew dostępu do własnych spodni, lecz tamten trzasnął go dwa razy pięścią w twarz, po czym kopnął go w nos. Śmiech skapitulował. Napastnik wyjął mu z kieszeni złoty zegarek oraz prawie pięćdziesiąt tysięcy, zostawiając drobne na autobus, po czym jął gonić tę dziewczynę, co wzywała milicję.

Gonili się tak po całym mieście, aż zapędził nieszczęśliwą do kawiarni „Szarotka". Rabuś dopadł ją przy stoliku. Postawił trzy razy po szklance wina marki „Siarkopol" i po bigosie „Bella Crizis" — dwa skwarki w beczce kapuchy. Przy trzeciej szklance musiano rozliczyć pół setki tauzenów, ponieważ dziewczynie zrobiło się słabo. Ruszyła chwiejnie na postój taxi, a rozbójnik degustował dalej.

Kazio natomiast ocknąwszy się z letargu wrócił na ławkę i zaczął medytować, kto go tak przemalował. Potem dowlókł się do domu w stanie krańcowego wyczerpania, tatuś położył go do łóżka i Kazio zasnął. W nocy przyśniło mu się coś takiego, że rano mimo bólu i kaca pognał w te pędy do RUSW, jakby wykrył szpiega na zapleczu prywatnej masarni.

Najpierw stanął przed lekarzem medycyny sądowej, ponieważ miał na twarzy ślady pazurów kocicy, która się marcowała na zardzewiałym dachu. Lekarz stwierdził, że Śmiech doznał stłuczenia nosa i obu warg oraz licznych otarć naskórka na twarzy i lewym podudziu. Obrażenia nie spowodowały wprawdzie naruszenia czynności ciała na okres czasu powyżej siedmiu dni, ale Śmiech opowiedział swój sen sierżantowi Kurzawie.

Sierżant poszedł do Stefaniaka, jednak drzwi zastał zamknięte. W spółdzielni „Przyjaźń" Stefaniak figurował na liście płac, ale żadnej dziewczyny o imieniu Dorota, ani Stefaniaka nie było w pracy.

Na drugi dzień sierżant Kurzawa miał więcej szczęścia — zastał żonę Stefaniaka.

— Nie wie pani, gdzie mogę znaleźć męża? — zadał pytanie.

— Mojego?

— Aha. Ja się nie żenię...

— Ja myślę. A mój pewnie siedzi u matki.

— Hm... A *jak się wam układa pożycie?*

— *Średnio. Raz dobrze, raz źle.*

— Teraz chyba źle?

— Dlaczego? Nie powiem, pensję mi oddaje w całości.

— To czemu siedzi u matki?

— A, *bo co drugi dzień wraca pijany.*

— *Taa... To skąd ma forsę na wódkę?*

— *Taaa, tego to nie wiem.*

Kurzawa znalazł Stefaniaka u matki. Słowo w słowo i pan Marek przyznał się do kupowania wódki do spółki ze Śmiechem.

— Z kim piliście?

— Właściwie to sami. Ale w obecności mojej pomocnicy, Janiny Sabeli.

— Gdzie?

— W domu Maliniaka. Tapetowałem tam ściany. Wódka była po fajerancie.

— A czemu pomocnica była naga?

— Nie odpowiem na to pytanie. Mam głupią żonę...

Starszy sierżant Kurzawa pokiwał wyrozumiale głową.

— Naga wódka po fajerancie to jeszcze nie kodeks. Ważne coście zrobili ze Śmiechem — powiedział.

— Zaprowadziłem go do ogrodu. Był kompletnie pijany...

— Mhm. Dobry z was kolega, Stefaniak.

— Taką już mam naturę. Po skończonej robocie poszedłem do ogrodu, ale Śmiecha już nie było...

— O której żeście skończyli pracę?

— Było parę minut po ósmej.

Kurzawa zajrzał do swoich notatek, pokiwał głową, po czym oświadczył prosto z mostu:

— Głupia sprawa, Stefaniak. Ten Śmiech twierdzi, że zaraz po siódmej wyście go pobili i obrabowali.

— Ja? — zdumiał się Marek. — Ja go po odprowadzce do ogrodu w ogóle już nie widziałem. Po ósmej pożegnałem się z Jaśką i poszedłem do „Szarotki"...

— Pomocnica miała się w co ubrać?

— Miała. Myśmy tylko tak grepsowali, żeby Kaziu się nie połapał, że my z sobą tentego...

— Uhm. O której byliście w „Szarotce"?

— Chyba o pół do dziewiątej.

Sierżant wzruszył ramionami.

— No, dobra. Nie rozumiem tylko, czemuście tę Sabelę nazywali Dorotą?

— Aaa, bo ona jest z prowincji. Przybrała sobie takie artystyczne pseudo „Dora", żeby się lepiej czuć.

— Teraz gdzieś występuje?

— Nie, teraz jest na zwolnieniu lekarskim.

Sierżant poszedł prosto do kawiarni. Dowiedział się, że Stefaniak siedział przy stoliku z jasnowłosą dziewczyną już o pół do ósmej. Dziewczyna wyszła wcześniej, ponieważ była pijana. Stefaniak siedział aż do zamknięcia lokalu. Zabrał ze sobą torbę z teksasu, która zostawiła jego towarzyszka.

Kurzawa udał się tedy do Stefaniakowej.

— Proszę pani — zaczął taktownie — ja jeszcze nie mam nakazu przeszukiwania, ale zaraz będę go miał. Chyba, że pani sama pokaże mi to, co nie jest waszą osobistą własnością.

— Ależ panie władzo! — rzuciła z oburzeniem. — Tutaj nie mieszkają złodzieje!

— Kto wie... Pani nie wygląda mi na szefową gangu. Ale na pewno mieszka tu dziwkarz, który dla swojej lali obrobiłby nawet bank.

— Wiedziałam! — wrzasnęła Stefaniakowa głosem zdradzonej Penelopy. — Wiedziałam, że on ma kurwę!

Po czym wyjęła spod szafy torbę z niebieskiego teksasu. W torbie była damska parasolka śrubokręt, gumowe rękawiczki tubka kleju i kosmetyczka z wyszytym wewnątrz monogramem „J.S".

Sierżant natychmiast pojechał radiowozem do wsi pod Aleksandrowem. W łóżku obłożnie chorej Janiny Sabeli znalazł kwadratowy złoty zegarek i niewielki zwitek banknotów.

Teraz para tancerzy spłaca pożyczkę w wysokich ratach, ponieważ sąd doliczył im procenty na miarę inflacji.

■

Dokończenie ze strony 1

przykłady ludzkiej głupoty, bezmyślności, brawury, braku wyobraźni. Ja o prawie każdym z tych wraków wiem wszystko i o wielu kierowcach — świeć Panie, nad ich duszami — też sporo. Ileż to tragedii...

Stanęła mi przed oczami poważna twarz majora Chyla z warszawskiej „drogówki" przypominającego o zatłoczonych weekendowych trasach, przestrzegającego, upominającego, wręcz proszącego o rozwagę, ostrożną jazdę, kulturę na drodze. Cykliczne audycje w radio jakby spowszedniały, straciły na ostrości, fachowcy z „Radia kierowców" też głównie opowiadają gdzie deszcz, gdzie śnieg i komu ukradziono samochód. W szalonym kieracie codziennego żywota większość kierowców reaguje na relacje o wypadkach wzruszeniem ramion: „Przecież to nie mnie dotyczy..." Czasem jeszcze widok rozbitego pojazdu sprawia, że na sekundę ujma nieco „gazu", ale tylko na chwilę. Każdy ma co najmniej setkę większych problemów, by przejmować się jakimś pechowcem, nieudacznikiem.

— Niech mi pan opowie o tych nieszczęśnikach... — zaproponowałem, właściwie nie bardzo wiedząc, czemu taki pomysł przyszedł mi do głowy. Mieczysław Majchrzak przyjrzał mi się uważnie.

— Chce pan, naprawdę? To nie będą radosne opowiastki do poduszki. — W wielu z tych wozów jeszcze czuje się zimny podmuch śmierci. — Ale proszę bardzo — wolno ruszyliśmy wzdłuż rzędu pogruchotanych pojazdów.

— O proszę, choćby ten polonez — wskazał na skręcony jakby w paroksyźmie bólu samochód. Bez szyb, cała lewa strona zniszczona, strzępy blach z drzwi i błotnika sterczą na miejscu kierowcy. — Młody chłopak, dostał od rodziców auto na wakacje. — Nad morzem, chyba koło Ustki wjechał pod ciężarówkę. Zginął na miejscu, te blaszyska go zmiażdżyły.

— Tu skutki nie były tak tragiczne — przewodnik zatrzymał się przed niebieską wołgą. — Facet pokłócił się z żoną, wypił co nieco i trochę jak durne dziecko, „na złość mamie odmroże sobie uszy", wyrżnął w drzewo. — Kabina wytrzymała, to nie to co „maluch" ale i tak gość się poharatał; o, tu na rozbitej szybie wiszą jeszcze jego włosy...

Mijamy pięknego kiedyś, srebrnego volkswagena scirocco. Przód auta przesunięty w kierunku siedzeń chyba o metr. Obok zielony mercedes, nawet niespecjalnie rozbity.

— To osobny problem — tłumaczy pan Mieczysław — samochody obcokrajowców, również studentów. Sprowadzają wozy, nie szanują, często — gęsto nawet bez prawa jazdy u nas jeżdżą. Potem Arab jeden z drugim budę rozbije i — porzuca. Na drodze, albo na parking wstawi i więcej się nie zgłosi. Powiem panu szczerze, nawet mamy teraz zakaz przyjmowania samochodów od „wschodnich" gości, a wyczuwamy takich cwaniaków na odległość. Ten mercedes to bardziej wyrafinowana forma podrzucenia „kukułczego jaja": Arab oddał go do remontu i zniknął jak kamfora. Wóz został do nas ściągnięty od rzemieślnika, który nie wie czy kiedykolwiek odzyska swoje, w remont zainwestowane pieniądze. O, to stare, czerwone audi — to samo. Ponad dwa miesiące stało na parkingu przed hotelem „Centrum", właściciel przepadł. Ale że to reprezentacyjny punkt miasta, to i wóz na nasze złomowisko w końcu trafił.

Jeszcze stary passat — czołowe zderzenie na zakręcie. Jadące nim małżeństwo wyszło z życiem z kraksy, ale wóz ma zupełnie zniszczony przód. Po dłuższej chwili w stercie poskręcanych blach rozpoznaję jacie. Kierowca żyje, choć może mówić o nieprawdopodobnym szczęściu: samochód wpadł z tyłu pod potężnego kamaza.

— Teraz niech się pan trzyma — ostrzega Majchrzak. — Pokażę panu co zostaje po poważnym wypadku z fiata 126p: to samochód lekki, mały, zręczny wszędzie się wśliźnie. Nie daje niestety, żadnej gwarancji przeżycia w drogowym karambolu.

Naprawdę trudno opisać to co pozostało z czerwonego malucha, jest to jedynie strzęp wozu; prawa strona kompletnie zmiażdżona, samochód przypomina zgniecioną ręką olbrzyma blaszaną zabawkę.

— Jechało nim trzech młodych mężczyzn — opowiada wręcz grobowym głosem kierownik — rozbawieni, rozmawiali, nie zwracając większej uwagi na drogę. — Gdy przed nimi pojawił się po prawej stronie tramwaj, przerażony pasażer złapał za kierownicę. Szynowy pojazd dosłownie ich rozjechał. Dwóch zginęło na miejscu, trzeci w bardzo ciężkim stanie trafił do szpitala. Tam, w tym poskręcanym dachu zostały jeszcze włosy, był i mózg, ale mamy tu koty...

Stoję zesztywniały, przez moment nie dociera do mnie sucha, monotonna relacja pracownika samochodowego cmentarzyska, którego w tej branży już chyba nic nie zdziwi.

— Strasznie pan blady, no, no, to jeszcze nie wszystko. — O, ten „maluch" to dziwny przypadek. Zginął w nim mężczyzna, który wyrwał się na randkę z domu, na zakręcie wypadli z drogi. On zginął na miejscu, dziewczyna, ciężko ranna, trafiła do szpitala. Parę dni później przyszła do nas żona nieżyjącego, chciała obejrzeć wóz. Był przykryty plandeką. Szanując jej tragedię, zostawiliśmy kobietę samą. Pół godziny po wyjściu wdowy rozbity samochód zaczął się palić. Spłonął doszczętnie. I pięć stojących obok również.

— Tu mamy taki sektor nieboszczyków — głos niemal zawodowego żałobnika nie kontrastuje bynajmniej z widokiem zmiażdżonych, pogruchotanych wozów. Z jasnej skody nikt już nie „wyklepie" samochodu, jest porozrywana na strzępy. Jak przez mgłę dociera do mnie sucha, podawana w telegraficznym skrócie relacja. — Tak, te bure plamy i zacieki — to krew. Młody chłopak. Na prostej drodze ziechał, nie wiadomo dlaczego, na lewą stronę i czołowo zderzył się z żukiem czy nysą. Zginął, bok skody praktycznie wszedł do wnętrza, musiało mu rozerwać głowę, bo dach był cały we krwi.

Za resztkami skody, oparte o płot, coś, co jeszcze niedawno musiało być motocyklem marki „MZ". Rozbity, połamany, z rozdartą na całej długości kanapą, znów te bure plamy. Pan Mieczysław wraca na sekundę.

— A tak, mamy i kilka motocykli. Przy większych szybkościach to na złamanych nogach niestety, się nie kończy. Tą „MZ"-tkę ukradziono, nawet nie wiadomo komu, bo była bez numerów. Złodziej wjechał na skrzyżowanie przy czerwonym świetle. Wpadł na fiata. Zginął na miejscu. Ale niech pan idzie dalej, pokażę kilka dużych fiatów.

— Ten błękitny — to pół biedy. Skradziony przez pijanych młodzieńców rozwalił jeszcze kilka innych samochodów, ale złodzieje przeżyli. Ci z tego seledynowego też uszli z życiem, choć trafili czołowo w poloneza. Połamane ręce, nogi, ale wyjdą z tego. Pewnie w sam raz na sprawę w sądzie...

— Niech pan zobaczy... — granatowy fiat jak uderzony w dach gigantycznym młotem rozpłaszczył się na betonie. Jakby rozszedł się w szwach. — Dwóch chłopaków ukradło go i pojechali na spacer, z dziewczynami — słyszę z tyłu. — Odwieźli je do domu i wracali. — Jechali bez świateł, zauważył ich radiowóz, zaczęli uciekać. Za miastem wpadli w las, w drzewa, samochód zaczął koziołkować. Kierowcy kolumna kierownicy dosłownie zerwała głowę, zmasakrowany pasażer zmarł w szpitalu...

— Prowadzący tego fiata też nie mógł przeżyć — staję przed sąsiednim wozem tej samej marki, złamanym wpół na wysokości przednich foteli. — Szybko, za szybko jechał, na zakręcie samochód stanął bokiem i walnął w drzewo. — Nie było jak go ratować, miejsce kierowcy zniknęło, wgniecione w podłogę.

Mam dosyć. Wyciągam papierosy, odchodzę parę kroków na bok. Ręce mi latają, nie mogę skrzesać ognia. Majchrzak sięga po zapalniczkę, przyglądając mi się nieco ironicznie. Kurzymy przez chwilę w milczeniu. Nie chcę już oglądać niemych świadków ludzkich tragedii, jak makabryczne memento pozostawionych tu ku przestrodze innym.

— Ja wiem, tu trzeba mieć czasem mocne nerwy, przecież wiele z tych aut trafia do nas wprost z miejsca wypadku — mój przewodnik kiwa głową ze zrozumieniem, gdy proszę by na dziś oszczędził mi dalszych opowieści. Zmierzamy powoli do ich budki, czyli „akwarium". Kątem oka rejestruje jakąś rozerwaną na pół syrenę, zmiażdżoną do połowy mazdę, ale o szczegóły nie chcę pytać. Jednak pan Kazimierz znów przystaje i mrozi mnie kolejną, zarzeka się że ostatnią, opowieścią:

— Mówiłem o małych fiatach; niech pan zobaczy, czy to co z niego zostało zajmuje więcej jak metr kwadratowy? Chyba nie, ale resztki przedniego zderzaka weszły prawie do przednich siedzeń. — Jechało nim młode małżeństwo. Na łuku drogi wpadł na nich mirafiori, prowadzony przez pijanego uczestnika wesela. Ściął zakręt, tylko tyle i trzy osoby zginęły na miejscu...

Na szczęście jesteśmy już przy ich strażniczej budce. Zerwał się wiatr i w szybko gęstniejącym, wrześniowym mroku dobiega mnie z tyłu nieprzyjemne zgrzytanie rozerwanych blach, skrzyp osypującego się gdzieś szkła. To na pewno blachy i wiatr w porozbijanych wozach tak wyje, bo cóż by innego, ale...

— Niezbyt to sympatyczne odgłosy — śmieje się Majchrzak — zaraz zapalimy lampy na placu, to zrobi się nam raźniej. Na zakończenie powiem panu przygodę, która omal nie przyprawiła mnie o zawał. Kiedyś nocą chłopaki z pomocy drogowej przyholowali lekko rozbitą granadę, takiego dużego forda, po dachowaniu. Dwóch Arabów spowodowało wypadek, zabrała ich milicja, a wóz trafił do nas. Po północy było, idę na obchód placu. Jestem w pobliżu tej granady i wyraźnie widzę, że z samochodu wyłania się jakaś biała postać i zmierza w moją stronę. Wie pan jak to jest, gdy człowieka zamuruje? No więc stoję jak ta żona Lota, oczy wybałuszam i nie mogę kroku zrobić. Postać podchodzi i... pyta: — Czy milicja już odjechała?... Okazało się, że Araby wiozły panienkę, która w czasie kraksy, choć nic się jej nie stało, straciła przytomność. W szoku była. Zakopała się przerażona w kocach, które leżały w samochodzie i ocknęła dopiero na parkingu.

Gdy żegnam się z pracownikami spółdzielni inwalidów, sprawującymi pieczę nad tym specyficznym parkingiem jest już ciemno. Do domu raptem kilka przecznic, ale jedzie mi się kiepsko. Naszpikowany makabrycznymi opowieściami, wciąż pod wrażeniem zakrwawionych wraków, prowadzę jak bym pierwszy raz siedział za kierownicą. Wypatruję nietrzeźwych przechodniów, z przerażeniem obserwuję ostrą jazdę tramwajarzy, hamuję przed skrzyżowaniami, gdzie jeszcze dwie godziny wcześniej nawet bym nogi „z gazu" nie zdjął. To była niezła lekcja...

Pod światłami wściekły taksówkarz rzuca mi grzeczną uwagę: — Jak jedziesz dziadu jeden! Nalep sobie listek, albo najlepiej zapierdalaj na pieszo!...

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

■

PS. Nie jest to może pomysł na miarę Nobla, ale być może uchroni parę istnień ludzkich. Czy nie warto świeżo upieczonym kierowcom zafundować wizyty na samochodowych cmentarzyskach? Można je znaleźć w każdym wojewódzkim mieście. Zanim młodzieniec szesnastoletni otrzyma upragniony dokument i wyruszy na swą pierwszą samodzielną eskapadę niechże obejrzy parę wraków, wysłucha makabrycznych danych. Najpierw obowiązkowa „lekcja", dopiero potem — prawo jazdy do ręki. Zaręczam, że wizyta na cmentarzysku wstrząśnie każdym. Nawet jeśli przewodnicy oszczędzą zwiedzającym opowieści o kotach...

D. D.

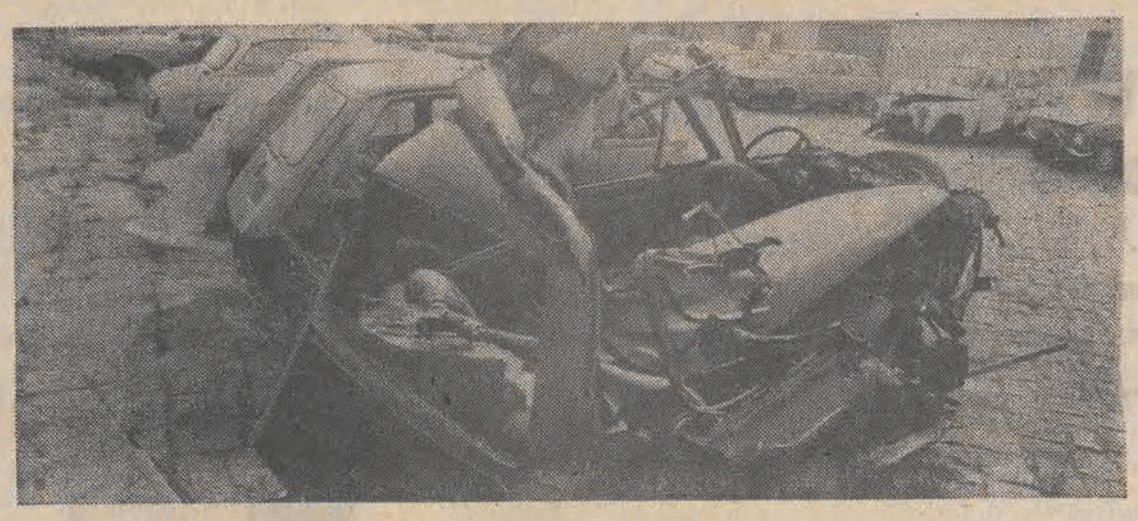

Foto: G. Gałasiński

Auto — kostnica

Wirydarz poetycki

Zdzisław Drzewiecki

★ ☆ ★

stary wuj Tomasz przez całe swoje życie
wierzył że zbuduje ogromną łódź zabierze
nas wszystkich i uwolni przed cięciwą czasu
wychodząc przed dom wpatrywał się w niebo
mówił że wygląda sprzyjających wiatrów bardzo
chciał być kapitanem Noe oprócz marzeń miał wuj
jeszcze jedną pasję — gołębie osobiście je dokarmiał
i nawet ciotka Agata miała surowo zakazane doglądania
ptactwa przez całe lato w cieniu ogrodowej jabłoni
grał wuj w karty z bednarzem z sąsiedztwa co jakiś czas
spoglądając dyskretnie w niebo uśmiechał się przy tym
tajemniczo i chyba tylko ciotka potrafiła dostrzec
w jego oczach blask taki jak w czasach gdy przynosił
jej pierwsze kwiaty i wydeptywali sobie tylko znane ścieżki
na wiosennych łąkach wieczorami wuj sprawiał wrażenie
jakby się modlił ale chyba nie wierzył w Chrystusa
lecz bardzo chciał być kapitanem Noe
któregoś dnia dłużej niż zwykle wpatrywał się w niebo
już pora rzekł i nim słońce ugrzęzło za lasem odpłynął
bez nas

★ ☆ ★

jak smutno dopala się ta gwiazda
w łupinie twych spracowanych dłoni
psy obłażą z sierści choć w oczach
las się wilczy lichwiarze kupczą szczęściem
w rozszalały orszak rzucają ciepłą monetą
żaden pies nie oszczekuje karawany
w dusznych kuchniach owoc dojrzały na wino
przerabiają

pamiętam ten dzień kładł się odkrojoną
pajdą chleba na stole
kobiety od rana napęczniałe krzyżem
przykładały ręce do świeżej ziemi
to dobra ziemia mówiły na takiej ziemi
lekko się umiera

★ ☆ ★

smutna przyjacielu to cisza i złowroga
opuszczone semafory jak zmęczone dłonie
Leopolda który jeszcze przychodzi tu grywać zagubionym
idźmy więc do winnic szerokich ale przedtem
domowe konfitury i słowo matki na podróże dalsze
ażyl to bowiem doskonały
roztrwoniliśmy zbyt wiele słońca wschodów i zachodów
niewspółmiernie kuszących
opowiadaj o swoich kobietach i trwajmy
śmierć przyjacielu to tylko mała
ćma bijąca nerwowo w nasze lustra

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Wacław Krakowski

Spod dzwonnicy

Każdy do sznurów dojść może
i pociągnąć
ale się nie waży.
to w jedną
to w drugą stronę
miasto kołysać
dzwonnie

więc wiszą sznury
i milczy Łask
w cieniu własnym
schowany

Fascynacja

W białe szaty przydziany
strojnie
podczas podniesienia
nieustającego
krzyż wysoko wznosi
Giewont

i jak
oddech czując kapłana
na kolana nie paść nabożnie
z Doliną Strążyską
razem

Foto: Chwalisław Zieliński

Sukces jest konieczny

— mówi SŁAWOMIR PIETRAS, dyrektor Teatru Wielkiego.

Gdy z odbywanej przed dwoma przeszło laty pierwszej dla „Odgłosów" rozmowy ze Sławomirem Pietrasem — świeżo mianowanym wtedy dyrektorem naszej operowej sceny — odprowadzana przez niego wychodziłam z Teatru Wielkiego, jego gmach stał pusty, ciemny i cichy. Nowy dyrektor pałał optymizmem, a ja przy całej dla niego życzliwości nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że nadrabia nieco miną. Jego dobre chęci były dla mnie oczywiste także dlatego, że nie deklarował ich w ów nieznośnie deklamacyjny sposób, w jaki czynią to inni, a fakt, iż o wszystkim, o czym rozmawialiśmy wtedy mówił z namysłem, rozwagą i nie bez obaw o własne siły dowodził głębokiej świadomości ciężaru zadań, jakie przed sobą postawił.

Na tę pierwszą rozmowę niełatwo było go namówić. Oboje mieliśmy świadomość, że najwspanialsze wizje i projekty nie wyjdą z dyrektorskiego biurka, jeśli nie uda się przekonać do nich innych. Oboje wiedzieliśmy, że to przekonywanie będzie trudne, że wiele trzeba cierpliwości i wzajemnego do siebie zaufania dyrektora i powierzonego mu zespołu, by rozedrgany emocjami poprzednich sezonów żywy organizm Teatru Wielkiego zaczął funkcjonować nie tylko sprawnie, ale i twórczo. Nie tylko ku swojej satysfakcji, ale przede wszystkim ku zadowoleniu, a może i dumie łódzkiej publiczności, która gorącą dla sztuki operowej sympatią i pamięcią niedawnej a wspaniałej przeszłości tego teatru słusznie broniła swego prawa do posiadania najlepszej sceny operowej w kraju. Z dyrektorem Pietrasem trudno było mówić o sukcesach, bo te aczkolwiek pojawiły się szybko, jednak zdawały się potęgować jego obawy o trwałość tego, co już udało się zdziałać.

Wzbraniał się więc siódmy dyrektor łódzkiej sceny operowej przed mówieniem o efektach jego pracy w kategoriach sukcesu czy osobistego zwycięstwa. Każdy sukces, gdy tylko się stał, był dla niego przeszłością, bo już czekały następne zadania. Każdy był i — jak się zdaje — każdy zawsze już będzie sukcesem zespołu. Pietras niechętnie mówi o swoim udziale w tych coraz liczniejszych zdobyczach, ale tak chętnie dzieli ze „swoimi" artystami radość z ich osiągnięć, tak się nimi cieszy, że do kolejnej wypowiedzi dla „Odgłosów" nie musiałam go namawiać. Udział w krynickim Festiwalu i Konkursie Wokalnym im. Jana Kiepury przyniósł solistom i orkiestrze Teatru Wielkiego tyle laurów, że jego dyrektor nie mógł oprzeć się pokusie opowiedzenia o nich naszym czytelnikom, że sam zaproponował nam tę rozmowę.

I wtedy właśnie, idąc na nią pomyślałam sobie, że może tym razem uda mi się złapać go na gorącym uczynku podkreślania własnych zasług w. obecnej, znakomitej kondycji Teatru Wielkiego, że chociaż raz zamiast „my" — a wielu, wiedząc jak wiele w każdym teatrze zależy od dyrektora, posądza już Pietrasa o kokieterię lub co najmniej przesadną skromność — usłyszę: „ja", zwłaszcza, że z inicjatywą tej rozmowy wyszedł on.

Co pan chciał powiedzieć?

Chciałem poinformować czytelników „Odgłosów" o udziale „naszych" w festiwalu krynickim oraz o naszych planach repertuarowych, których zapowiedzią były galowe koncerty. O mnie chyba znowu nie będziemy rozmawiać. Prywatnie mogę pani powiedzieć, że te osiem dni urlopu, które miałem tego lata, także nie były wolne od troski o ludzi teatru i że tego urlopu było jednak trochę mało, ale naprawdę tylko to mogę powiedzieć o sobie samym. Już wtedy, gdy prosiła mnie pani o wypowiedź dla miesięcznika „Teatr", mówiłem, że jedynym moim sukcesem jest sukces teatru. A zasługi? Jakież ja mogę mieć zasługi w tym, że np. w Krynicy tak znakomicie zaprezentowała się nasza orkiestra prowadzona przez Tadeusza Kozłowskiego, że tak bardzo podobała się nasza „Sonata Belzebuba", że wspaniałymi głosami urzekali nasi soliści (Delfina Ambroziak, Hanna Rumowska-Machnikowska, Krystyna Rorbach, Tadeusz Kopacki, Romuald Tesarowicz). Jaką mogę mieć zasługę w tym, że Delfina Ambroziak śpiewa tak pięknie, że podbiła serca festiwalowej publiczności wykonując dla niej cykle pieśni polskich i obcych, że Barbara Rusin wyśpiewała Grand-Prix, Marek Torzewski drugą, a Jolanta Bibel trzecią nagrodę konkursu, którego jury wyróżniło także Krzysztofa Bednarka. W trzyetapowym konkursie wzięło udział dziewięćdziesięciu dwóch śpiewaków, a ja... odmówiłem wzięcia udziału w pracach jury tego konkursu, choć wielkość nazwisk jurorów czyniła propozycję wejścia w skład sądu konkursowego niezwykle dla mnie zaszczytną. Ale zrobiłem to dlatego, by sukces „naszych", którego byłem pewien, był dla nich tym większy, by radości ich zwycięstwa nie umniejszył cień podejrzenia o jeden choćby subiektywny głos. By ich sukces był pełny.

Ja jestem po to by stwarzać artystom naszego teatru możliwie najlepsze warunki dla ich rozwoju, by ich talentami, stałym rozwojem i wysoce artystycznymi efektami ich pracy cieszyła się publiczność. Mój psychiczny luksus polega na tym, że nie jestem konkurencją dla twórców, śpiewaków, instrumentalistów, tancerzy, dyrygentów, reżyserów, scenografów. W naszym teatrze liczą się tylko i c h przedstawienia. Sukcesy są nam potrzebne. My — a „my" to znaczy teatr — musimy je zdobywać. Mamy obowiązek je zdobywać. Sukces to uznanie widzów, to akceptacja naszej działalności. Tylko o ten sukces walczymy, tylko ten jest dla nas ważny.

W jaki sposób się to osiąga?

Cierpliwością i pracą. Jak w porzekadle. I zaufaniem. I wiarą w sens tego, co robimy wszyscy razem. Znajdujemy to w sobie. Wierzymy sobie i w siebie. To, poza wszystkim innym, stwarza właściwą atmosferę, właściwy klimat. Zadania mamy przed sobą ogromne, więc tych psychicznych i charakterologicznych „surowców" potrzebne są całe pokłady. Muszą to być wartości stałe, a raczej rosnące. Bo nie można zatrzymać się w jakimś efektownym punkcie rozwoju i powiedzieć sobie: wszystko już mamy, nic nam więcej nie trzeba. Wtedy stracimy wszystko, by nie stracić niczego z posiadanego już dorobku artystycznego, trzeba zdobywać więcej. Chwila nieuwagi grozi katastrofą.

Ma pani rację: bardzo się boję, żeby z jakiejś drobnej lub dużej przyczyny nie stracić tego, co już udało się nam osiągnąć. To jest właściwie jedyny lęk, jaki mi towarzyszy. Ale — wiem to od współpracowników — czasem każdemu z nas śni się, że to jest nasz własny teatr, że jest on naszą osobistą własnością, co jest pewnie senną projekcją wzmożonego poczucia odpowiedzialności, bo nikomu z nas — daję słowo — nie marzy się reprywatyzacja teatrów, i ten sen-symbol będący miarą odpowiedzialności za teatr jak za coś najbliższego, jak za dom, towarzyszy nam na jawie.

My strasznie dużo m u s i m y. My musimy o nasz teatr, o jego rangę walczyć, bo walczyć musimy o sztukę operową, o jej miejsce w kulturze kraju, o wykształcenie potrzeby kontaktu z nią najszerszej rzeszy społeczeństwa. Musimy tę walkę prowadzić mądrze, z namysłem, taktycznie, silną bronią. By zwiększyły się nasze szeregi, szeregi miłośników opery, ta walka nie może być zimna, musi być w niej element szaleństwa, wręcz opętania. Opera jest tego warta. Tu czasem jeden człowiek może zdziałać cuda, rozbudzić już nie tylko zainteresowanie, ale operową pasję. Tak wspaniale operą i dla opery „opętany" jest Bogusław Kaczyński. Ten człowiek więcej dla niej czyni niż niejedna instytucja. Proszę zwrócić uwagę jaki odzew mają jego felietony w „Lecie z radiem", jak zainteresował całe rzesze ludzi Łańcutem czy Krynicą. To wciąga. Szeregi rosną. Zdobywamy je i my. Cieszymy się, że nasz teatr cieszy się takim zainteresowaniem publiczności. Że akceptuje ona nasz program, w którym każdy znajdzie coś dla siebie.

Program kierowanego przez pana teatru zdecydowanie wyróżnia go spośród innych scen operowych w kraju.

Tak i nie. Sięgamy często po te pozycje, które nie znajdują miejsca na afiszach innych scen, ale są to pozycje z wielu zapewne indywidualnych powodów zaniechane u nas w kraju, podczas gdy właściwie należą one do wielkiej klasyki operowej i pozostają w żelaznym repertuarze największych scen operowych świata. Na całym świecie grywa się „Fidelia", „Walkirię", „Mefistofelesa". W Polsce z dziełami tymi można się spotkać tylko u nas. Szczycimy się tym, bo jest to miarą naszych możliwości wykonawczych. Wszak nie są to dzieła łatwe.

W obecnym sezonie dzięki naszej scenie powrócą do życia dzieła kompozytorów polskich.

Spotkała je wielka niesprawiedliwość, na którą niczym nie zasłużyły. Myślę tu przede wszystkim o „Manru" Ignacego Paderewskiego i „Goplanie" Władysława Żeleńskiego, bowiem „Halka" ma u nas stałe obywatelstwo, ale „Pan Twardowski" Sonenfelda (a nie Różyckiego) już go nie posiada, a „Casanova" Różyckiego też niezwykle rzadko gości na naszych scenach. Problem stosunku naszych teatrów do tych dzieł kompozytorów polskich jest bardzo złożony: kompleksy, snobizmy, niewiara... Nie chciałbym się w to wgłębiać i wolałbym zjawiska niechęci dla wymienionych tu przeze mnie utworów nie komentować, gdyby mnie jednak do skomentowania tego zmuszono, powiedziałbym, że jest ono co najmniej lekkomyślnością. Teraz właśnie, bo mamy te tytuły w próbach, łódzcy artyści odkrywają je dla siebie i widzę jak urzeka ich neoromantyczna poetyka muzyki Paderewskiego, ile dla siebie, a myślę, że i dla publiczności odkrywają bogactwa w muzyce Żeleńskiego.

Jestem pewien powodzenia tych przedsięwzięć repertuarowych. Nie mówimy tu o wszystkich tytułach rozpoczętego właśnie sezonu, ale obiecuję, że dołożymy wszelkich starań, by nie zawieść naszej, łódzkiej publiczności. Także tej, której pasją jest balet. Oprócz baletowych premier czeka nas przecież w tym sezonie kolejne, wielodniowe święto tańca, jakim są Spotkania Baletowe. Trzy tygodnie z Terpsychorą, a w ciągu tych trzech tygodni między innymi Balet XX wieku Maurice Bejarta, Nederlands Dans Theater, Balet Portugalski i wiele innych zespołów. Już dziś serdecznie zapraszam na to majowe święto, które w tym roku łączyć się będzie także z pięknym jubileuszem dwustulecia baletu polskiego. „Pana Twardowskiego" Sonenfelda przygotowujemy właśnie dla uczczenia tego jubileuszu.

Słyszałem, że jeden z teatrów pracuje nad spektaklem opowiadającym o tym, jak przed dwustu laty powstawał polski balet. W naszym teatrze doszliśmy do wniosku, że o historii baletu należy pisać, wygłaszać odczyty, być może nakręcać filmy. Czcić tak wielkie jego święto naszym zdaniem można tylko przez prezentację dzieł stanowiących kamienie milowe tej historii. Balet Sonenfelda, o którym już wspomniałem, na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku utrzymywał się na afiszu warszawskiej sceny przez czterdzieści lat. To jest cały, olbrzymi rozdział historii naszej Terpsychory. Sądzimy, że warto go poznać. Mamy w tym sezonie już stuosobowy zespół baletowy, czekają go wielkie zadania. Wszyscy pełni są zapału, więc z całą pewnością realizacja tych planów jest możliwa w interesującym kształcie scenicznym.

Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak życzyć sukcesów.

Raz jeszcze pragnę podkreślić, że sukcesem, o który zabiegamy jest uznanie publiczności. Tylko wtedy przecież możliwe, gdy nasza praca w pełni ją satysfakcjonuje. Dziękuję za życzenia. Oby się spełniły.

Rozmawiała:
EWA PANKIEWICZ

Bigos hultajski

MIESZANKA FIRMOWA LITERACKO — OBYCZAJOWA

JAK ZĘBEM POHAŃCA USTRZELIĆ

Opowiada o tym wydarzeniu Kazimierz Władysław Wójcicki w życiorysie kasztelana Modlibowskiego (Encyklopedia Orgelbranda. T. 18. Warszawa 1864):

Modlibowski Bartłomiej, kasztelan bracławski, mąż słynny (...) za czasów Jana Kazimierza, pędząc uchodzących Tatarów, otoczony od nich, długo się bronił dzielnie. Gdy mu kul nie stało, rękojeścią szabli wybił ząb sobie, a przybiwszy nim w rusznicy nabój prochowy, wycelował do najbliżej nacierającego murzy i trupem go położył. Smierć przywodcy pohańców taki postrach na cały ich hufiec rzuciła, że w popłochu uciekli, a Modlibowski z garstką swoich szczęśliwie się wycofał. O tym czynie nieustraszonego kasztelana współcześni z podziwem wspominają.

O MODACH NIEWIEŚCICH

Niejednokrotnie parafrazowany „Hymn do miłości Ojczyzny" Ignacego Krasickiego (1774) doczekał się przed laty („Czas", 2. VIII. 1867) podobnej przeróbki, o tyle wartej przypomnienia, że do dziś nie traci na aktualności:

Święta miłości ukochanej mody!
Wielbią cię młodzież, starcy i kobiety.
Berłu twojemu posłuszne narody
Brały fryzury, peruki, werżety.
Skinęłaś, a młódź zapuściła brody,
Pleć piękna męskie przybrała żylety.
Rzeknij, a świat się przewróci na nice:
Żonom da majtki, a mężom spódnice.

Żylety, to oczywiście nie żyletki, lecz kamizelki, kaftany (z fr.), a poza tym dziś kobiece i męskie spodnie zyskały pełne równouprawnienie, z tymi spódnicami dla mężów tylko nie za bardzo, wyjąwszy tradycjonalistów Szkotów.

Za to w kilka dziesiątek lat później również w Krakowie wychodzący „Diabeł" (1919, nr 32) użalał się na coraz większą swobodę obyczajową damskiej mody:

Panie, panny i panięta
Precz zrzucają z siebie pęta
Konwenansu i skromności
W dążeniu do wszechnagości.
Były dawniej nagoduszki,
Były potem bosostópki,
Dzisiaj mamy gołonóżki,
Nagoszyjki, goło... rączki.
Zwiększa nagość się u góry
I u dołu też się mnoży,
Aż obronne padną mury
I całość się goła złoży.

I złożyła się, złożyła, panie dobrodzieju, w ostatniej ćwiartce naszego stulecia dzięki inicjatywom sympatycznego czasopisma „Veto", propagującego uroki naturyzmu.

NIEZGRABIASZ

Służący w domu hrabstwa Tyszkiewiczów był strasznie niezgrabny i zwykle coś stłukł lub zepsuł, za co go odpowiednio karano. Z czasem spychano na niego wszystko zło jakie się w domu wydarzyło.

Gdy hrabina powiła córkę i niebezpiecznie zachorowała, chwycił się za głowę i zawołał z rozpaczą:

— Masz tobie! Pewniusieńko powiedzą, że ja temu winien.

Encyklopedia humoru (A. Orłowskiego). W-wa 1914.

KRONIKA TOWARZYSKA

Poznański „Tygodnik Literacki" podał 22 czerwca 1840 r. wiadomość z ostatniej chwili:

Nasz Chopin wyjeżdża i tego roku z panią Dudevant (bardziej znana pod literackim pseudonimem George Sand — przyp. A. K.) do Hiszpanii. Trudno by było wyrzec, czy Chopinowi p. Dudevant, czy pani Dudevant Chopina pozazdrościć.

Właściwie trudno odmówić dociekliwości niegdysiejszych żurnalistów.

WYSOCKA W ROLI HAMLETA

Świetna tragiczka Stanisława Wysocka w r. 1914 we Lwowie pokusiła się po raz pierwszy o odtworzenie roli szekspirowskiego Hamleta. Przedstawienie to wywołało wielką artystyczną sensację. Dowcipny jak zawsze Kornel Makuszyński, przesłał wówczas Wysockiej wieniec z napisem na szarfie: „Hamletowi, który oszczędził cnotę Ofelii!".

„Kurier Literacko-Naukowy" 1933, nr 13.

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

2 — co było dalej

WASYL KOCZNOW

Po zaproszeniu na jarzębiak

Z łodzianami spotykałem się teraz częściej — to w kawiarni na lodach, to znów na ulicy lub w sklepie. Trudno im było przyzwyczaić się do Iwanowa. Miasto — nie miasto, wieś to — nie wieś. Miastu, nawet bardzo młodemu potrzebna jest tradycja. W przeciwnym razie zamiast miasta powstanie obozowisko. W Iwanowo trzeba wrastać przez dłuższy czas, aby zobaczyć w nim miasto.

— Dużo tu pomników. Na ulicach często spotykamy orszaki weselnych samochodów. Dlaczego młodzi po wyjściu z Pałacu Ślubów składają kwiaty właśnie pod tym pomnikiem? — pytali łodzianie, gdy przechodziliśmy przez plac Rewolucji.

Musiałem zacząć z daleka. Czas nie eliminuje formy, lecz ją transformuje. Forma nie jest drobnostką, przesądem. W niej zawarte jest samo życie, historia i tradycja. Kto pierwszy dał kobiecie przy powitaniu bukiet kwiatów? Kto pierwszy przyniósł je zmarłym? Nie wiemy jaka odległość czasu jest w tym zamknięta. Pogaństwo, krew ofiar ozdobionych kwiatami? Nam pozostały kwiaty. Bez nich życie byłoby jeszcze bardziej szare i ubogie. A już szczególnie są one potrzebne nowożeńcom. Od Pałacu Ślubów do stołu weselnego i wspólnego łoża powinny im towarzyszyć kwiaty. To jakby wzajemne składanie siebie w ofierze w imię wspólnego życia, w imię przyszłości i kontynuacji w dzieciach. To jest również kwestia dziedziczności, atawizmu, kodu genetycznego. Nie ma u nas ołtarzy, na których można by złożyć kwiaty. Nowożeńcom wręcza się tylko świadectwo ślubu, i jak widać jest to zbyt skromne w tak uroczystej chwili. Kwiaty zmusiły do szukania nowych ołtarzy. I ma je każde miasto. W Iwanowie jest to plac Rewolucji, gdzie stoi pomnik poległych w 1905 roku. Przedstawiono na nim fragment pochodu. Robotnik niosący sztandar pada, ugodzony kulą, lecz sztandar podchwytuje inny robotnik, młodszy od tamtego. Scena wyraża ideę kontynuowania życia, dlatego nowożeńcy wybrali właśnie ten, a nie inny pomnik na swój ołtarz. Miejsce składania weselnych kwiatów bywa nieraz bardzo dziwne. Na przykład w miejscowości Torżek miejscem tym jest cmentarz. Wesele i cmentarz W pierwszej chwili wydaje się, że tylko szaleńcy mogli coś takiego wymyślić. Ale nie ma tu nic z szaleństwa. Kwiaty składane są na marmurowej płycie grobu Anny Kern — najpiękniejszej Rosjanki XIX wieku. Co prawda, zbyt banalne to wyjaśnienie dla człowieka, który nie zna jej historii. Na pewno były kobiety ładniejsze od Anny Kern, lecz mogiły ich zostały zapomniane. A na grobie Anny Kern przez cały rok leżą świeże kwiaty składane tu przez nowożeńców. Dlaczego? To po prostu dar losu Na płycie widnieją wersy znanego wiersza A. Puszkina do Anny Kern „Pamiętam cudną chwilę". Najlepszego wiersza lirycznego, jaki kiedykolwiek powstał w języku rosyjskim. Poeta zachwyca się nieprzemijającym pięknem i urokiem kobiety. Żaden przekład nie jest w stanie przekazać uczuć wyrażonych nie tyle w słowach wiersza, co w intonacji, w melodii, w rytmie. Właściwie jest to modlitwa do Piękna i Kobiecości, a modlitwa może być ekstazą i płomieniem tylko w tym języku, w którym sam twórca zwraca się do bóstwa. Do tego grobu z wierszem Puszkina na płycie podchodzą trzymając się za ręce nowożeńcy. Mężczyzna przyklęka na kolano i milcząc osypuje grób kwiatami. Tu nie są potrzebne słowa o miłości i wierności — one są wykute w marmurze.

Pamiętam, jak zostałem zaproszony do jednego z łódzkich kościołów na ślub kolegi. Palce i serce organisty musiały być przepełnione uczuciem, które zmusza do padnięcia na kolana i modlitwy do Wieczności i Piękna. Tak samo rzecz się ma z wierszem do Anny Kern. Aby go odczuć i przeżyć potrzebna jest pewna gotowość psychiczna i odświętność sytuacji. Wywiera on wtedy głębsze wrażenie, niż gdyby deklamował go wielki artysta, za którego mistrzostwem kryją się dziesiątki godzin ćwiczeń i przygotowań. Wiedział o tym taki znawca i interpretator puszkinowskiego wiersza, jak Julian Tuwim. Wiersza poświęconego Annie Kern nie włączył on do swego zbiorku „Lutnia Puszkina", który sam wybrał i przełożył. Już 150 lat powtarzany jest on w różnych językach świata, lecz każda wersja przekładu jest tylko mniej lub bardziej udanym przybliżeniem oryginału. Nie rozumiemy się wzajemnie. Nasz świat — to biblijna wieża Babel. Języki nas dzielą, a my dalej ciągniemy budowlę i nikt nie chce wierzyć, że ona runie, jeśli się nie dogadamy.

Jednak czas już złożyć rewizytę na ul. Riabininej w akademiku, gdzie mieszkają moi „rodacy" z Łodzi. Przyszedłem trochę nie w porę. Przeprowadzali się właśnie do innych pokojów, gdzie mieli mieszkać bez pluskiew i prusaków, stałych sublokatorów akademików studenckich. „Prusak — to prawie przyjaciel, za to pluskwa — to prawdziwy bandyta i agresor", — żartuje Piotr Orzechowski pokazując mi jakby podziobane przez ptaki ręce. — „Nikogo tak nie pokąsały, jak mnie. Za jakie ciężkie grzechy?".

Piotr zaprosił mnie do nowego pokoju, w którym zdążył się już rozlokować. Zmartwiłem go, że jeśli tak smakuje pluskwom, to ratunku przed nimi nie będzie, znajdą go i w nowym pokoju. Trzeba koniecznie zgłosić ten przypadek do inspekcji sanitarnej.

Na ten raz ja zasiedziałem się do późna. Piotr Orzechowski niewysoki młodzian, zrównoważony i skupiony jak Sokrates, z brodą, nad którą tylko oczy błyszczą jest bardzo interesującym rozmówcą. Studiuje na IV roku, ma żonę i dwoje dzieci, kocha przyrodę, marzy o jakimś kawałku ziemi, gdzie po studiach mógłby osiąść i zbudować sobie własny kącik. Takie jest źródło, stąd zaczyna się człowiek.

Zapomniałem, że nie jestem w Łodzi, o której przegadaliśmy prawie 2 godziny. Dopiero, gdy dzień przeszedł nagle w noc, ocknąłem się. Dzień w Iwanowie jest dłuższy niż w Łodzi, lecz noc następuje w mgnieniu oka. Jasne okno, przed którym siedzieliśmy z Piotrem przy herbacie, momentalnie poszarzało i zrobiło się czarne. Czas już wracać do swego „pogranicza", a wracać nie miałem ochoty, zaprosiłem więc Piotra na spacer po nocnym Iwanowie. Żegnając się z pozostałymi umówiłem się, że spotkamy się nazajutrz na budowie, dokąd zostałem zaproszony jeszcze podczas wizyty na Chlebnikowa. Łódzcy studenci budowali w Iwanowie przechowalnię jarzyn i owoców. Odzież roboczą można dostać na miejscu. Byłem ciekaw, jak wygląda współzawodnictwo między polską a radziecką brygadą budowlaną, chciałem popracować razem z nimi. Kilka dni wcześniej mówiono mi w redakcji „Raboczego Kraju", że łodzianie pracują „z żarem", jak to się mówi „nie pokładając rąk", i zrobiło mi się głupio, że podczas wizyty u mnie powtórzyłem głupi żart, który słyszałem kiedyś w Polsce: „Co robią Polacy po pracy? — Wyjmują ręce z kieszeni".

Właściwie to od razu zacząłem żałować, że powiedziałem to, bo znana polska uprzejmość nie pozwoliła im odpowiedzieć takąż złośliwością, a ja byłem przecież gospodarzem. Wtedy właśnie zaprosili mnie do siebie na budowę Tłumaczyłem sobie, iż być może to zaproszenie spowodował mój wyskok, a więc nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Żart moim zdaniem, ponieważ powstał w Polsce, nie jest obraźliwy, świadczy raczej o samokrytycznym spojrzeniu na siebie, o zdrowiu psychicznym. Mimo to czułem się fatalnie, a uprzejmość gości była dla mnie nauczką.

Na budowie pracowało 20 łodzian. Większość — to studenci Politechniki Łódzkiej. Tylko Stanisław Błasiak jest już absolwentem PŁ, a Iwona Igielska studiuje filologię rosyjską na UŁ.

„Nasza tłumaczka", przedstawili mi ją studenci na uroczystościach poświęconych Świętu Odrodzenia Polski, które w przeddzień 22 lipca odbywały się w Iwanowie. Iwona Igielska w imieniu całej łódzkiej grupy wystąpiła po rosyjsku przed społecznością zaprzyjaźnionego miasta w sali posiedzeń Muzeum Pierwszej Rady.

Wszyscy studenci nieźle dają sobie radę z językiem. Słyszałem jak swobodnie rozmawiali z robotnikami na budowie Stanisław Grondys, Lech Klimczak, Andrzej Domański, Cezary Miłosz, Stanisław Nastarowicz, którzy ze Stanisławem Błasiakiem na czele, tworzyli brygadę betoniarzy-ładowaczy, pracującą przy agregacie betoniarskim tzw. „betonomieszalce". Ładowali do niej piasek i żwir w takim tempie, że sześciu chłopaków uznano za najlepszych na budowie. Współzawodnicząca z nimi brygada radzieckich studentów potrzebowała na załadowanie 25—30 minut, gdy Polacy załadowywali agregat w ciągu 16—20 minut.

— Jak to robicie? — zapytałem Stanisława Błasiaka — szefa.

— Sposób jest prosty — odpowiedział. — Rosjanie pracują pod „Wołgę-Wołgę", a Polacy pod „kózaczka".

Dokoła zagrzmiał śmiech.

Nie udało mi się jednak popracować z Polakami. Coś, gdzieś się popsuło i „betonomieszałka" stanęła. Siedzieliśmy, czekając na naprawę, żartowaliśmy, opowiadali anegdoty. Niektórzy w pobliskiej brzezince zbierali grzyby. Przechowalnia budowana jest u granic miasta, prawie w lesie. Powietrze było wspaniałe, rześko pachniało poranną rosą, trawą i sosnami. To stwarzało wyjątkowo pogodny nastrój, tym bardziej, że w brygadzie często pojawiały się uśmiechnięte łodzianki — Dorota Słota, Hanna Sima i Danuta Nisiewicz — szefowa brygady malarskiej, złożonej z sześciu dziewcząt. Przyszedł też do nas komisarz całego zespołu budowlanych Aleksander Kowalewski, którego z początku wziąłem za Polaka i zwróciłem się do niego po polsku.

— Po polsku, być może, mówili moi przodkowie — powiedział do mnie — zresztą dokładnie nie wiem, mogę się tylko domyślać, sądząc po nazwisku.

Sasza (zdrobnienie od Aleksandra) z zawodu jest inżynierem-automatykiem. Ukończył politechnikę w Iwanowie, a obecnie doktoryzuje się na niej.

— Bardzo koleżeński, z nim można o wszystkim porozmawiać — charakteryzują go łodzianie. — Jest ulubieńcem całej naszej ekipy i chyba całej budowy — potwierdzają łodzianki.

Ach tak, przecież, gdy jechaliśmy rano na budowę zauważyłem na parkanach i na murach duże i ładnie wymalowane napisy: „Kochamy Saszę", „Czekamy na Saszę", „Nie możemy bez Saszy" itp.

— Nasze dziewczyny się postarały — śmiali się studenci. Chciały to później zamalować, ale wasi robotnicy się sprzeciwili. Mówią, że tak jest przyjemniej pracować. A zresztą, chcą mieć po nas pamiątkę.

Sześć łodzianek, jedna ładniejsza od drugiej, rzeczywiście wniosły na budowę iskrę wesołości i młodzieńczej werwy. W ich obecności każdy się podciągał, starał się lepiej pracować, a może nawet chciał się podobać. Cieszę się, że mają taki dobroczynny wpływ na moich ziomków.

Siedzieć na betonowych płytach i czekać na naprawę agregatu nie miało sensu, poszliśmy więc do lasu, na trawkę, pod brzozy. Zrobiło się gorąco. Gdy przyszły dziewczęta, nie wiadomo skąd znalazły się butelki napoju „Bajkał", który piliśmy po kolei z jednej szklanki.

Człowieka, jeśli ma coś do powiedzenia, można poznać od razu. Nie jest potrzebny żaden przysłowiowy pud soli. Zaraz widać „czym chata bogata". Teraz po tym leśnym „posiedzeniu" poczułem do moich łodzian jeszcze większą sympatię. Jakże niesprawiedliwie oskarża się młodzież o różne grzechy, ale przecież i nas kiedyś tak oskarżano.

Szklanka „Bajkału" to nie szklanka wódki, choć język się po nim też rozwiązuje.

— Gdzie go kupujecie? — zapytałem patrząc na zegarek. Była dopiero 9, a podobne napoje sprzedaje się dopiero od 11.

— A rośnie tu pod brzozami jak grzyby — wyjaśnił Klimczak i wyjął z trawy następną butelkę. Znów grzmotnął śmiech.

Co można robić, jeśli „technika" stoi? Obsługa zaczęła drzemać. Na sen jeszcze nikt nie umarł, nawet nie zachorował, lecz nasza grupa zamiast snu, zdecydowała się na intelektualne dysputy. Czekamy. Ile godzin przegadaliśmy? Studenci szykowali się już na obiad. Okazało się, że jadąc rano autobusem na budowę wzięli i dla mnie talon obiadowy. Pani rozprowadzająca talony nazwana przez łodzian „Malczyki-tałończyki" nie spytała nawet, co za gościa będą mieli. Starała się im dogodzić i ciągle jęczała, że Polacy nie mają apetytu, szczególnie na baraninę, dyżurne danie rosyjskich stołówek. Nie broniłem baraniny, choć na przykład szaszłyk tylko z baraniny jest smaczny i „prawdziwy". Nie wiem dlaczego w restauracjach podaje się szaszłyki z innych mięs. Nie odpowiada to nawet nazwie tego popularnego kaukaskiego dania, gdyż szaszłyk w przekładzie z języka awarskiego znaczy „pieczona baranina". Nie powinna więc ta baranina być z cielęciny czy wieprzowiny. Szaszłyk przygotowuje się nie na rożnie w piecyku kuchennym, lecz na świeżej gałązce drzewa orzechowego nad ogniskiem. Dopiero wtedy jest to prawdziwy szaszłyk.

Z obiadu zrezygnowałem. Nie chciałem dłużej krępować młodzieży swoją obecnością. Na pożegnanie opowiedziałem im o swoich szaszłykowych przygodach tego lata. W końcu maja znalazłem się w Domu Pracy Twórczej w Malejewce pod Moskwą. Moimi sąsiadami z lewa, z prawa i na wprost okazali się pisarze z Dagestanu. Spędzałem z nimi całe popołudnia, bo akurat rytm dobowy mieliśmy jednakowy. Od rana pisanie, zaś po obiedzie dyskusje panelowe. Temat dowolny, choć oczywiście dominowała poezja. Wieczory spędzaliśmy w lesie. W dołku na polanie — malutkie ognisko z suchych sosnowych gałęzi, nad nim na cienkich orzechowych gałązkach piecze się szaszłyk, a na serwetkach wokół — buteleki koniaku i chleb. Kaukaskim zwyczajem przewodzi takim „uroczystościom" tamada, do którego obowiązków należy wygłaszanie toastów lub też wyznaczanie, kto ma je wygłosić. Bez długich kwiecistopoetyckich toastów nie wolno wypić ani łyka koniaku. Oczywiście za toast może służyć wiersz. Gdy po kilku wystąpieniach poetyckich w gardłowym języku awarskim przychodziła moja kolej — recytowałem wiersze po rosyjsku i po polsku. Napięta uwaga na twarzach Dagestańczyków świadczyła o chęci zrozumienia polskiej poezji, odczucia jej rytmu i melodii. Szczególnie oczarowały ich wszystkie „prze" i „przy". Mówili, że to brzmi jak szum lasu. Pamiętam, jak zaniemówili z wrażenia usłyszawszy po raz pierwszy wiersze po polsku. Długo musiałem wyjaśniać, skąd znam tyle polskich wierszy na pamięć. Sprawa jest właściwie prosta — sporo tłumaczyłem z polskiego na rosyjski, zarówno klasykę, jak i moich łódzkich kolegów po piórze, a gdy się pracuje nad przekładem, to oryginał sam zapada w pamięć.

Żałuję, że wiadomość o strasznym huraganie, który wyrządził wiele szkód w Iwanowie i w całym obwodzie, w tym ofiary w ludziach, zmusiła mnie do przedwczesnego opuszczenia Malejewki. Mój dom, na szczęście, nie ucierpiał.

Nie wiem, czy swoim opowiadaniem wzbudziłem u łodzian apetyt na baraninę, ale nie skarżyli się więcej na jadłospis i radośnie uśmiechali się do pani „Malczyki — tałończyki". Słyszałem później, że zamiast baraniny podawano częściej ryby, lecz i na ryby nie każdy jest amator.

Z łodzianami się już więcej w Iwanowie nie spotkałem. Zresztą, już czas było zbierać się do Łodzi.

Gdy w Moskwie wsiadałem do warszawskiego „Poloneza", cały peron rozbrzmiewał gwarem polskiego języka i polskimi piosenkami. To harcerze polscy wracali z obozów w ZSRR. Z ich zresztą powodu pociąg odszedł z pewnym opóźnieniem, gdyż organizatorzy gdzieś tam nawalili z transportem i jedna z grup nie dojechała na czas do Moskwy. Spoglądając na peron nagle ujrzałem Stanisława Biasiaka. Cała łódzka ekipa jechała do domu w sąsiednim wagonie. Znów do późnego wieczora siedzieliśmy przy kolacji w wagonie restauracyjnym, jedliśmy pieczoną baraninę, pili piwo i gadali o wszystkim, jak tylko Słowianie to potrafią.

Na Harleyu jak na koniu

STEFAN JÓŹWIAK

Młody człowiek podchodzi do przechodnia:

— Niech mi pan pomoże zapalić Harleya!

— Ależ proszę, oto zapałki — powiada przechodzień.

— Kilkanaście lat temu taki stosunek do starych motocykli był powszechny — mówi Zbyszek zwany Kotletem. — Ale od czasu, kiedy powstały w Polsce kluby harleyowców, zaczęło się to zmieniać. Kluby okrzepły, nawiązały kontakty, zaczęły organizować zloty. Więc i my zorganizowaliśmy w Pabianicach Widlak 84 czyli II Ogólnopolski Zlot Motocykli Widlastych. My — to znaczy Koło Motocykli Zabytkowych „No 1" przy Automobilklubie Łódzkim

NA BUGAJU

Dotarcie na Bugaj sprawiło mi trochę kłopotów. Objazd na objeździe. Ale widać zmotoryzowani mają chyba jakiś dodatkowy zmysł, bo ledwie minęło południe (piątek — 3 sierpnia 1984 r., oficjalny termin rozpoczęcia), a już na placu stało kilkanaście maszyn. Z całej Polski. Dwie urocze recepcjonistki w kąpielowych kostiumach — Małgosia i Teresa — starały się jak najszybciej obsłużyć przybyłych gości. Nie było to łatwe. Upał zatykał oddech. Zresztą wszyscy, zanim jeszcze załatwili formalności wjazdowe, brali przykład z dziewcząt, pozbywając się odzienia (oczywiście w granicach przyzwoitości). W kąt poszły wszystkie efektowne kaski, skóry i wysokie buty.

Kto zostawił motocykl na oficjalnym parkingu, pracowicie przygotowanym przez organizatorów, po pięciu minutach nie mógł go nawet dotknąć. Parzyły nawet części wykonane ze skóry. Toteż prawie wszystkie maszyny troskliwi właściciele przestawili w cień drzew lub namiotów. Sami zaś, zgodnie z programem imprezy, do słońca wystawili swe blade (na razie) ciała.

Skąpe stroje nie pozwalają służbie porządkowej odróżnić zlotowicza od zwykłego gapia, bo jak tu do slipek przykręcić sobie ciężki, metalowy znaczek? Dzięki temu na odgrodzony od reszty kąpieliska teren zlotu przenikają tłumy ciekawskich. Raz po raz Przemek, pod którego opieką jest sprzęt nagłaśniający, krzyczy przez mikrofon: osoby postronne proszone są o opuszczenie terenu! Krzyk pomaga, ale na krótko. Po kilku minutach sytuacja powtarza się.

Nie dziwię się specjalnie. Takich motocykli w sklepie się nie kupi. Szczególne zainteresowanie wywołała maszyna rodzimej produkcji, znakomicie zachowana i utrzymana w idealnym stanie. Czarny lakier, białe boki zbiornika i czerwono-złoty napis: Sokół 1000. Jego właściciel, Jurek Jaworski z Warszawy mówi:

— On ma już ponad 50 lat, ale pojeździ drugie tyle. Nie zamienię go na żaden inny. To były takie dobre motocykle, że właściwie szkoda, że po wojnie nie podjęto ich produkcji.

Obok stoją inne maszyny. Czerwony Indianin. Nie wiadomo dlaczego, pomalowany na zielono polski CWS, upodobniony przez to do Harleyów z lat II wojny światowej. Tych z kolei jest najwięcej. Harley-Davidson to motocykl niejako sztandarowy. Wiele klubów ma tę markę w nazwie. Przyjęło się również, że wszystkich członków klubów motocykli weteranów nazywa się harleyowcami.

— Co daje napędowi silnik widlasty? — zagaduję Piotra Czecha, przewodniczącego łódzkiego koła. Koledzy wołają na niego krócej — Besa.

— Przede wszystkim większą moc silnika bez zajmowania większej powierzchni w ramie motocykla. Bardziej równomierną pracę silnika. I jeszcze wiele innych rzeczy, ale uchwytnych jedynie dla fachowców.

Rozmowę przerywa nam basowy głos silnika zza ogrodzenia. Podnosimy głowy i nagle kilkadziesiąt rąk unosi się w radosnym geście powitania, kilkadziesiąt gardeł wykrzykuje:

— ANDRZEJ PRZYJECHAŁ!

Za chwilę Andrzej wpada w ramiona przyjaciół, a raczej odwrotnie. Jest to wysoki, potężny mężczyzna, więc każdy po prostu ginie w jego objęciach. Nie ma tu takich, co nie znają Andrzeja Oleszczuka z Milejowa. A jeśli znalazł się ktoś, w jednej sekundzie, uściśnięty i poklepany po plecach dłonią, jak bochen chleba, staje się przyjacielem, wielbicielem tego zawsze uśmiechniętego nestora polskich harleyowców. Nestora, bo Andrzej ma około 60 lat. Ale niewielu dorównuje mu żywotnością, dowcipem i radością życia. Smutny jest zlot, który go nie gości. Ale niewiele się takich odbyło. Wszyscy go więc znają, wszyscy mówią mu po imieniu. Inaczej zresztą nie wypada.

Po chwili Andrzej na czele sporej grupki wyrusza na przegląd motocykli. Jest to czynność dla każdego uczestnika tak ważna, jak samo przybycie na zlot. Koniecznie trzeba zobaczyć, kto przyjechał, czym, jakie nowe maszyny pojawiły się w klubach. Będzie później temat do pogawędek. Szczególnie, gdy się obejrzy taki egzemplarz, jak Wanderer z 1907 roku. Wygląda jak rower młodzieżowy starego typu. Dwa chudziutkie cylinderki, płaski zbiornik. Nie ma sprzęgła, a zamiast łańcucha ma gumowy pas. Z przodu, na sprężynowym zawieszeniu dynda sobie mosiężna latarka karbidowa. Podobno jest to jedyny w Polsce egzemplarz. Muzeum Techniki w Warszawie posiada tylko silnik od takiego modelu, a i to tylko wypożyczony. Toteż Mirek Stefańczyk z Sosnowca, który go przywiózł (nie przyjechał, bo to sztuka zbyt cenna, by narażać ją na trudy dalekiej drogi) prezentuje go wszystkim, którzy chcą oglądać, z zasłużoną dumą. Kilkakrotnie też robi przejażdżki wokół namiotów, by przekonać niedowiarków o kondycji swego antyku. Zdumione spojrzenia kolegów i gapiów są chyba najlepszą zapłatą za trud doprowadzenia go do stanu używalności.

Po tym zaimprowizowanym pokazie grupa idzie oglądać inne motocykle. Maszyny, będące przedmiotem westchnień wyrostków, symbolem Zachodu i niczym nie skrępowanej swobody

TO CHOPPERY

maszyny z wysuniętym mocno do przodu kołem. Na podobnych jeździli bohaterowie filmów „Easy Rider" i „Znikający punkt". Rzeczywiście, prezentują się efektownie. Ale niektórzy kręcą nosem. Z początku nie pojmuję. Wyjaśniają mi w kilku słowach:

— To samodziały — mówią. — Motory robione w domu. Z Harleya to tu właściwie jest tylko silnik. Rama, kierownica, te długie widelce, to już robota własna. Można też tu znaleźć części od junaka i WSK, tylko ładnie poniklowane. To nic takiego, ten chopper.

Chopper w wolnym tłumaczeniu z angielskiego znaczy maszynka do mięsa. Ale choppery prezentują się elegancko w letnim słońcu. To właśnie ich dziwne kształty i błyszczący lakier powodują, że stale widać przy nich tłum ciekawskich.

Małe zamieszanie wśród organizatorów. Andrzej nie przyjechał na zlot Harleyem, lecz jednocylindrowym NSU. Nie będzie przez to mógł wziąć udziału w planowanych konkursach. Zostaje uznany gościem zlotu. Jego motocykl wędruje na parking organizatora, gdzie stoją już inne dziwne maszyny, jak np. Victoria 1200, z silnikiem od Zaporożca. Stoją tam także jeepy i willysy.

Niedługo potem zjechał na Bugaj gość niezwykły, bo zagraniczny. Przyjechał nowoczesnym, błyszczącym Kawasaki, wokół którego zaraz skłębił się ciekawy nowinek tłum. Przypomniałem sobie, że kiedyś w szkole uczono mnie języków, i tak z polska po angielsku zagadnąłem go o imię, skąd jest i gdzie dąży. Jasnowłosy Yuha chętnie podjął rozmowę.

Jest z Finlandii, w Polsce tylko przejazdem. Do Pabianic wpadł dosłownie na parę godzin, bo chce zobaczyć polskich harleyowców. Rankiem spodziewa się być w Krakowie, który chce zwiedzić. Celem jego podróży jest Budapeszt, gdzie odbywać się będzie Pannonia Meeting. Później przez Wiedeń i Hamburg wróci do domu.

Wykrztusiwszy to wszystko w języku dla odmiany fińsko-angielskim, wycofał się w stronę naszych weteranów. A tymczasem ich właściciele cmokali z podziwu nad jakimiś rewelacyjnymi szczegółami technicznymi Kawasaki. Dyletanci zaś podziwiali potężną sylwetkę, chromy i lakiery, no i licznik, na którym graniczna cyfra szybkości wynosiła... 230 km/godz.

Yuha rzeczywiście nie zabawił długo. Odmówił gościnnie zaproponowanego noclegu, wsiadł na swą japońską rakietę i pognał na południe. A my mówimy sobie dobranoc, bo północ za pasem. Jutro będziemy mieli ciężki dzień.

RAJD W UPALE

W nocy zjechało jeszcze kilku gości. Ledwie uporano się z załatwieniem formalności, znów zawarczały przy bramie silniki. Nowo przybyli kierowcy ostrożnie wprowadzają swe Harleye na teren zlotu. Od stóp do głów ubrani w skórzane kombinezony, twarze zakryte ciemnymi przyłbicami kasków. I tylko jeden szczegół świadczy, że ci dwaj, to istoty różnej płci. Na baku pięknego, białego Harleya leży... damska torebka. Niektóre kobiece zwyczaje nie zmieniają się w żadnych warunkach. Za chwilę, po zdjęciu kasku, widać miłą, dziewczęcą buzię i długi, jasny warkocz. A po kilku minutach, gdy Ewa (sic!) wystąpiła w kostiumie kąpielowym, nie było wątpliwości, kto zostanie miss zlotu.

Rozpoczęły się przygotowania do rajdu nawigacyjnego. Kierowcy otrzymali karty rajdowe, tzw. itinerery, według wskazań których mają przejechać wyznaczoną trasę. Po drodze muszą wykonać kilka zadań oraz odszukać ukryte punkty kontroli przejazdu. A gdyby ktoś zabłądził, może szukać ratunku w specjalnej kopercie, w której znajduje się adres ukrytej mety. Organizatorzy lojalnie uprzedzają, że otwarcie takiej koperty kosztuje 1000 punktów karnych. Tak dużo kosztuje jeszcze tylko przekroczenie przepisów ruchu drogowego. Nie licząc oczywiście mandatu.

Rajd odbywa się w narastającym upale. Toteż poszczególni zawodnicy prezentują coraz to dziwniejsze stroje, których elementami składowymi są przeważnie: głęboki kask z przyłbicą i... slipy. Niektórzy występują nawet bez butów.

Po zakończeniu rajdu wspólny obiad. Kotlet (oficjalnie — kwatermistrz zlotu) postarał się wcześniej o długie stoły, a nawet białe obrusy. Toteż i obiad i wszystkie inne posiłki przebiegają w rodzinnej niemal atmosferze. Bo i smakowało jak u mamy. Ajent, który podjął się przygotowania posiłków wychodził ze skóry, by dogodzić swym klientom. Udało mu się to w pełni. Świadczyły o tym roześmiane twarze i wymiecione do czysta talerze. Organizatorzy nie posiadali się z radości. Najedzeni i zadowoleni goście to przecież połowa sukcesu.

Druga połowa to realizowanie założonego programu. O ile oczywiście, program też jest atrakcyjny. Wiele zależy od znajomości środowiska i jego potrzeb. Wiadomo, że właściciele starych motocykli to ludzie, którzy pragnęliby pochwalić się swymi maszynami, zyskać aprobatę i uznanie społeczeństwa. No bo któż z nas nie ma w sobie ani odrobiny próżności?

WIELKA PARADA ULICAMI PABIANIC

Zaraz po obiedzie rozpoczęło się przygotowywanie maszyn. Tu i ówdzie warknęły sprawdzane silniki. Ale przede wszystkim przygotowania polegały na polerowaniu blachy do olśniewającego połysku. Wreszcie padło z dawna oczekiwane hasło. Ryknęły wszystkie silniki. Gapie stojący najbliżej ogłuchli. Pierwsza zza ogrodzenia wytoczyła się nyska z Automobilklubu, ogłaszająca przez głośniki na dachu, co się dzieje i dziać będzie. Za nią ustawił się jeep, do którego wgramoliła się ekipa telewizyjna. A później... chyba żadne pióro tego nie opisze. To był naprawdę wspaniały widok. Stare graty, za które, gdy stały na parkingu, wielu nie dałoby i złotówki, pokazały, na co je stać. Z głębokim pomrukiem silników, majestatycznie biorąc ostre wiraże, gnała kolumna przez główne ulice Pabianic.

W sobotnie, upalne popołudnie nie było na ulicach zbyt wielu ludzi. Tyle, co kot napłakał. Przyjemna niespodzianka czekała jednak na placu Obrońców Stalingradu. Ledwie ucichły silniki, kilkaset, może tysiąc osób wprost rzuciło się na maszyny. Każdy chciał obejrzeć z bliska, dotknąć. Dzieci pchały się na siedzenia motocykli. Nikt im tego zresztą nie zabraniał. Kierowcy udzielili wszelkich możliwych informacji począwszy od daty wyprodukowania, na cenie rynkowej skończywszy. Tu niespodzianka. Okazało się, że te z pozoru nieefektowne maszyny (z wyjątkiem chopperów, oczywiście) na motocyklowej giełdzie kosztują o wiele więcej niż nasze motocykle współczesne.

— Coś w tym musi być — mruczeli zaskoczeni widzowie, oglądając po raz drugi i trzeci, tym razem już z uwagą i niemal szacunkiem szacowne zabytki.

Gdy już wszyscy napatrzyli się do syta, ogłoszono rozpoczęcie zawodów. Trzeba przejechać wyznaczony odcinek trasy w... jak najdłuższym czasie. Śmiechu co niemiara. Nie taka to prosta sprawa jechać wolno. Tu wychodzą na jaw umiejętności kierowcy. Zawody takie znakomicie wyrabiają poczucie równowagi, uczą doskonałego opanowania motocykla. Znakomity pomysł szkoleniowy.

Po konkursie widzowie znów oblegają motocykle. Rozpoczęły się pokazy indywidualne. Rozbiegane oczy kilkunastoletnich miłośników motoryzacji niedwuznacznie wskazują, że ich właściciele, gdyby mogli, rozdwoiliby się i roztroili. Tyle tu ciekawych rzeczy do obejrzenia. Niestety, nie zdążą zobaczyć wszystkiego. Goni nas czas. Komandor dał hasło do odjazdu.

Dawniej, gdy ruch harleyowski raczkował, wymagania miłośników nietypowych motocykli były inne niż dzisiaj. Przede wszystkim chodziło o to, żeby mieć maszynę ciężką, o dużej pojemności.

— Pięć lat temu obśmiałbym się, gdyby ktoś na zlot przyjechał dwieście pięćdziesiątką — mówi Adaś, zwany Zdrajca. — Ale teraz to co innego. Każdy dba o to, by mieć przede wszystkim motocykl jak najbardziej wierny oryginałowi. Poszukuje się autentycznych detali, dba, żeby maszyna miała wartość zabytkową. Niektórzy mają na przykład, czterdziestoletnie świece!

— Jak tak dalej pójdzie, to w konkursie na najbardziej oryginalny motocykl trzeba będzie liczyć szprychy — dorzuca Besa.

TEN KONKURS

dla prawdziwego miłośnika motocykli, to najważniejsza rzecz na zlocie. Trzech jurorów, z komandorem zlotu na czele, wyrusza na obchód. Nie omijają żadnego motocykla. O przepraszam, ominęli. Motocykl komandora. Na jego własne życzenie. Powiedział mi później:

— Wiesz, nie wypada stawać do konkursu wiedząc, że mogę zagarnąć pierwszą nagrodę. Niech lepiej przypadnie ona któremuś z gości.

Ale maszyny gości też trzeba obejrzeć dokładnie. Konkurs przeciąga się do wieczora. W międzyczasie ogłoszono inny — teoretyczny. Zdrajca egzaminuje chętnych ze znajomości historii motocykla. Pytania są i łatwe, i trudne, poważne i śmieszne. Zawodnicy pocą się ze zdenerwowania, publiczność usiłuje podpowiadać. Tak mija czas do kolacji.

Zapadła ciemność. Tylko nad stołem, przy którym niedawno jedliśmy kolację, zapalono mocną żarówkę. Za stołem — zdenerwowany Czesław (komandor). Za chwilę wręczać będzie dyplomy i nagrody. Napiętą, sztywną nieco atmosferę rozładowali goście. Każdemu nagrodzonemu przypinają jakąś łatkę, dowcipnie komentują zasługi kierowców i maszyn. Ogólny śmiech. Po rozdaniu nagród Czesław zapowiada pieczenie kiełbasek na ognisku. Na stół wjeżdża olbrzymi gar. Jego zawartość zostaje błyskawicznie rozdzielona i nabita na patyki.

Ale z ogniskiem bieda. Mokre, świeżo ścięte drewno nie chce się za nic rozpalić. Ponad godzinne wysiłki kończą się jedynie uzyskaniem ogromnej chmury dymu. Dopiero później, gdy większość kiełbasek jest już w żołądkach, ktoś umiejętnie rozpala mały ogieniek. Zasiada przy nim niewielka grupka najwytrwalszych. No i po chwili zaczynają się „długie Polaków rozmowy". Oczywiście o motocyklach, rajdach, zlotach.

Idziemy z Piotrem nad staw. Uff, co za rozkosz wsadzić nogi do chłodnej wody! Wreszcie bez pośpiechu. Można pogryźć przypieczoną właśnie kiełbasę, pogadać.

— Piotrze, właściwie dlaczego nazwano cię BESA?

— O, ta historia to już historia. Dawno temu miałem motocykl marki BSA. Byłem wówczas fanem tej firmy. Wszyscy mieli Harleye, a ja nie. No i nazwali mnie Besa. I tak zostało.

— A powiedz mi, dlaczego wy i reszta klubów z całego kraju preferujecie Harleye? Jest tyle innych marek...

— Wywodzi się to z ogólnoświatowego ruchu harleyowskiego. Powstał on, oczywiście, w Ameryce. A dlaczego? Spójrz na Harleya! Potężny, niski, przeważnie jednoosobowy. Siedzi się na nim zupełnie inaczej niż na naszych motocyklach. Wygodniej. Sylwetka jeźdźca podobna jest do jeźdźca na koniu. I o to chodzi. Siadasz na siodle, podobnym nieco do końskiego, nogi opierasz na podnóżkach, podobnych nieco do strzemion, po bokach masz sakwy. Nieomal Dziki Zachód. I któż ci zabroni marzyć, że jesteś oto zdobywcą prerii, wolnym jeźdźcem? Jest to bardzo romantyczne...

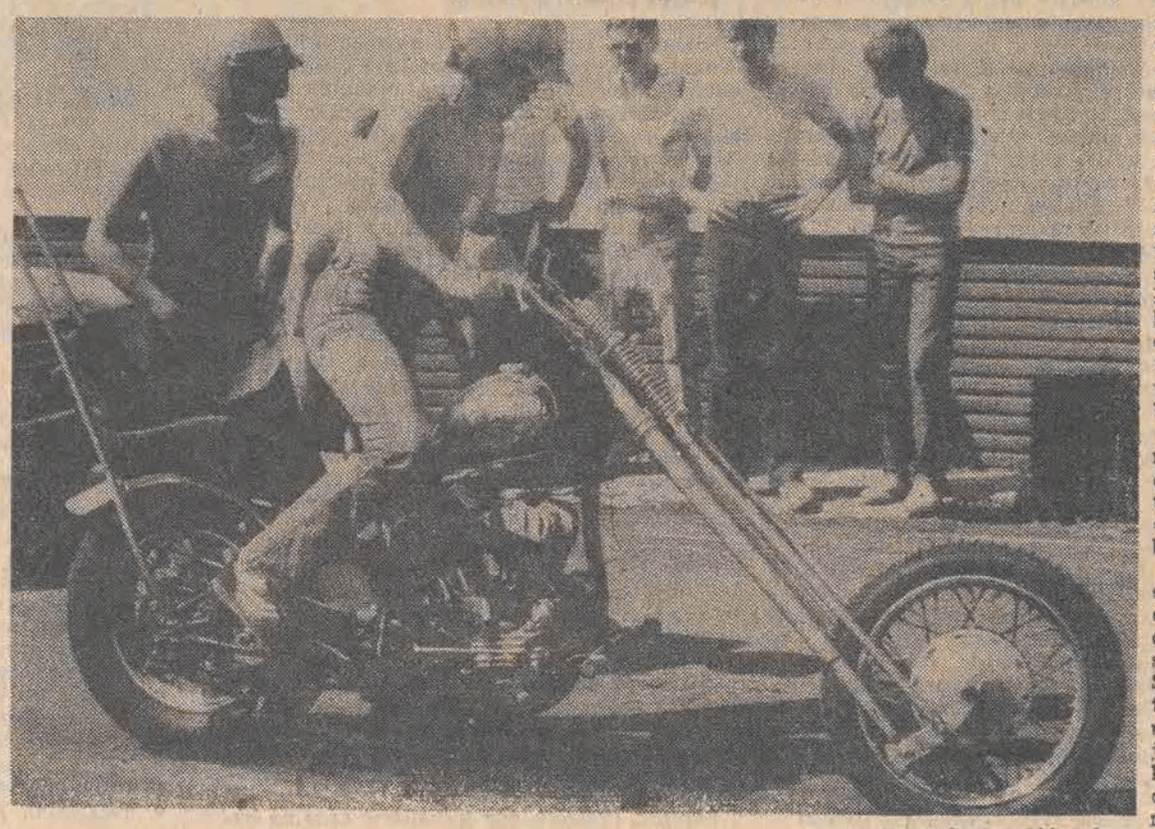

Foto: Stefan Jóźwiak

Polemiki • Listy • Opinie

SPORU POETÓW KOLEJNY ODCINEK

Prosimy o wybaczenie, lecz uważamy prowadzenie z Wami dalszej polemiki za niecelowe. Dlaczego? — Dyskutować można tylko z ludźmi kulturalnymi. W innym przypadku nie jest możliwym znalezienie płaszczyzny porozumienia. Przerywamy „spór", który przekroczył pewne dopuszczalne granice i staje się po prostu bezsensownym odbijaniem piłeczki.

Pragniemy na zakończenie ustosunkować się do obrażającego nas zarzutu. Otóż nie próbujemy reklamować się na Waszych plecach: jeśli już to tylko na własnych. Grupa posiada tak bogaty dorobek, że nie musi imać się podobnych chwytów. Przykro nam, że koledzy w swoim zacietrzewieniu mylą podstawowe zasady dobrego wychowania z... propagandą. Uważamy, iż należało przedstawić się i zrobiliśmy to. Koledzy natomiast nie uczynili tego do dziś.

Przykro jest nam również z kilku innych powodów. Nie potraficie szanować słowa. Tak! Słowa właśnie. Manipulujecie nim dowolnie i to zarówno swoim jak i cudzym. Jest to zupełnie nie fair

Wypadałoby troszeczkę spuścić z tonu. Naprawdę nie jesteście pępkiem świata. Krytykujcie kogo chcecie — Różewicza, Przybosia, „Radar", nas, ale róbcie to w sposób KULTURALNY!!

I jeszcze jedno. Nie znamy być może poezji tak dobrze jak Wy, lecz tak się złożyło, że zetknęliśmy się z pojęciem Statyzmu już u Godfrieda Benna (G. Benn, Poezje wybrane, LSW, 1982). Myślimy iż należałoby to wyjaśnić. Uzurpujecie sobie przecież, w dotychczasowych publikacjach, prawa autorskie do Statyzmu twierdząc, że to Wasz pomysł.

Życzymy wielu sukcesów i dziękujemy za dotychczasową wymianę poglądów.

MIROSŁAW PISARKIEWICZ
(IV rok historii)
JAN KRZYSZTOF SZCZĘSNY
(IV rok historii)

P.S. Napisaliśmy, że „Trwanie wciąż się porusza tworząc czas i historię". Twierdzicie iż jest to tautologizm. Oto odpowiedź. Piszecie w swojej egzegezie — „czas to trwanie", „historia to trwanie". Wypaczacie w ten sposób nasze słowa. Na dowód dajemy przykład: Poeta tworzy wiersz. Stosując teraz Waszą metodę napiszemy — Poeta to wiersz. Sami widzicie — bzdura.

Wierzcie nam, do rozumnego krytykowania trzeba dorosnąć.

Z poważaniem:
M. P.
J. K. S.

„MAŁO INFORMACJI KULTURALNEJ"

W odpowiedzi p. Zdzisławowi Lewandowskiemu ze Zgierza („*Mało informacji kulturalnej*" — Odgłosy nr 36 z dn. 8.IX.br. w dziale „*Polemiki. Listy. Opinie*") uprzejmie informujemy, że Łódzki Oddział Towarzystwa Kultury Teatralnej dysponuje pełnym serwisem informacyjnym dotyczącym repertuaru wszystkich łódzkich teatrów z 4-tygodniowym wyprzedzeniem.

Wystarczy zatelefonować pod nr 32-58-87 lub odwiedzić sekretariat TKT w godz. 9—16, mieszczący się przy ul. Moniuszki 5, II p., aby dowiedzieć się „co, gdzie i kiedy".

Ponadto od października br. wznawiamy druk dwutygodniowego repertuaru, który — lekko przetartym już pod koniec ubiegłego sezonu szlakiem — trafi przede wszystkim do hoteli, biur „Orbisu", domów kultury i szkół — członków TKT.

Łączymy wyrazy szacunku

Prezes
mgr KRYSTYNA BOBROWSKA

UWAGI NA TEMAT „KTO CIEBIE TAK WYCHOWAŁ"?

Z dużym zainteresowaniem przeczytałam artykuł p. Grzegorza Matuszaka w 38 numerze „Odgłosów" z dnia 22.9.84 pt. „Kto ciebie tak wychował?"

Pragnę zabrać głos w sprawie, której ocenę autor pozostawia do rozstrzygnięcia Czytelnikowi. Dotyczy „mianowanego przez nauczyciela samorządu klasowego, złożonego z uczniów posłusznych i grzecznych".

Uważam, że „mianowane samorządy" jeśli istnieją w szkołach są wypaczeniem instytucji samorządu, który już na tym poziomie ma spełniać ogromną rolę wychowawczą. A nauczyciel, który taką formę samorządu klasowego wprowadza, nic nie zrozumiał z naszych przemian ustrojowych w naszym kraju i należałoby cofnąć go do powtórki, celem pogłębienia swoich wiadomości o świecie i kraju.

Niechaj mi tu wolno będzie podzielić się uwagami na temat samorządu szkolnego, który w moim pojęciu można przyjąć za wzorzec godny naśladowania, a był wprowadzony w szkole pół wieku temu.

W roku 1932 ukończyłam państwowe gimnazjum żeńskie im. Emilii Szczanieckiej w Łodzi, w którym właśnie taki samorząd działał. Całe gimnazjum stanowiło gminę szkolną, której zarząd wraz z przewodniczącą był wybierany jawnie raz do roku na walnym zgromadzeniu. Wybierano oczywiście uczennice wyróżniające się pilnością, dobrymi ocenami w nauce, ale przede wszystkim wyróżniające się zaangażowaniem społecznym. A takich uczennic w tym gimnazjum było bardzo dużo, bo dyrekcja miała wysokie wymagania w stosunku do swoich wychowanek. Wybór do zarządu był zaszczytem. I ja go dostąpiłam w ostatnich dwóch latach nauki. Na tych samych zasadach wybierane były na lekcjach wychowawczych samorządy klasowe, a przewodnicząca niekiedy prowadziła lekcje z koleżankami na zadany temat w wypadku nie zaplanowanej nieobecności nauczycielki i nie było zastępstwa na tę godzinę lekcyjną. W samorządzie istniały koła zainteresowań, a więc: przyrodnicze, geograficzne, historyczne, turystyki i sportu. Była drużyna harcerska, Koło Czerwonego Krzyża, samopomocy koleżeńskiej, a również Hufiec Przysposobienia Wojskowego. Praca w zespołach traktowana była bardzo poważnie. Z tego gimnazjum rekrutowały się działaczki społeczne, bohaterki walki podziemnej z okupantem, wiele działało w tajnym nauczaniu, w którym i ja miałam swój udział.

Na bardzo wysokim poziomie postawiony był sport. Drużyny piłki koszykowej i siatkówki rozgrywały mecze międzyszkolne organizowane przez samorząd i zajmowały I miejsca w tych dyscyplinach. I tak np. drużyna siatkówki zdobyła mistrzostwo okręgu łódzkiego, rozgrywając swój zwycięski mecz przed Prezydentem Ignacym Mościckim w Spale w 1931 roku. Dumna byłam otrzymując z Jego rąk dyplom dla całej drużyny, której byłam kapitanem. Samorząd szkoły działał oczywiście pod czujnym ale dyskretnym okiem ciała pedagogicznego, któremu niech mi tu będzie wolno wyrazić słowa najwyższego szacunku i czci. Całoroczny dorobek pracy samorząd przedstawiał na wystawie zorganizowanej na końcu roku szkolnego. A więc były tu zbiory kamieni, zielniki z zasuszonymi kwiatami, ziołami i liśćmi, barwne motyle, rysunki, kolorowe mapy świata z naklejanymi warstwicami wycinanymi z tektury. Organem samorządu było pisemko „Młodzieńczy Lot", redagowane przez uczennice wszystkich klas. Pisano w nim reportaże z wycieczek, z wakacyjnych obozów, zamieszczane były komunikaty z życia szkoły. Tu znajdował się też kolorowy kącik dla utworów poetyckich i opowiadań pisanych przez uczennice, próbujące swoich sił.

Na pytanie „Kto ciebie tak wychował?" rozumianym w pozytywnym znaczeniu treści śmiało mogę odpowiedzieć: moja szkoła, w której działał dobrze zorganizowany samorząd, który wyrabiał w nas postawy obywatelskie, kształcił osobowość, rozwijał zainteresowania, przygotowywał do samodzielnej pracy w dojrzałym życiu. No i oczywiście rodzinny dom, skąd wynosiło się wzorce uczciwej pracy, ładu i porządku, współżycia z sąsiadami z kamienicy swojej dzielnicy.

Pan Grzegorz Matuszak pozostawił Czytelnikowi do rozstrzygnięcia problem samorządu klasowego z „mianowania", a jednocześnie swój artykuł zatytułował pytaniem „Kto ciebie tak wychował?" Pytanie jakże często dziś stawiane nie tylko niesfornym nastolatkom, ale niestety i wielu dużo starszym obywatelom PRL. Urodzeni już po wojnie weszli w samodzielne życie z ciężkim bagażem cech osobowych trudnych do akceptowania w społeczeństwie, które po zawierusze wojennej wkroczyło na nowe drogi ustrojowe.

Gen. Jaruzelski na ostatnim Plenum KC PZPR, które odbyło się w Łodzi, w końcowym słowie między innymi powiedział: „Jedynym celem i najwyższym prawem jest dobro narodu i ojczyzny".

Pół wieku temu w mojej szkole, w której zdobywaliśmy wiedzę i która nas wychowała i przygotowywała przez dobrze zorganizowany samorząd do samodzielnej pracy, w klasach pięknym gotykiem wypisane było hasło „Salus rei publicae suprema lex esto". A my swoją nauką, samokształceniem, społeczną pracą napełnialyśmy je treścią, która stała się sensem naszego dojrzałego, godziwego życia.

MARTA SOBOCKA

SCHODZENIE NA PSA

Autor listu „Mondo cane!" („Odgłosy" nr 38), zatajając nawet swoje inicjały przed czytelnikami, jednocześnie nie kryje antypatii do właścicieli psów i do samych psów (niechaj nikogo nie myli werbalne nazywanie ich „sympatycznymi"). Tęskni do czasów, gdy „lokator bloku jeżeli chciał kupić psa musiał mieć zgodę pozostałych lokatorów".

Gdyby zasadę „posiadania zgody pozostałych" wprowadzić w czyn, wówczas pies stałby się prawdziwą rzadkością w mieście. Istnieje bowiem coś takiego w ludzkiej naturze, jak bezinteresowna zawiść — której celem jest sprowadzenie wszystkich do jednego mianownika, ściągnięcie wszystkich do jednego poziomu, aby każdego i wszystkich można było podciągać pod jeden strychulec. Posiadanie psa uważane jest za ekstrawagancję, za luksus, za wynoszenie się nad innych, za szkodnictwo gospodarcze (pies żre mięso!) itp. Chce ten zadzierający nosa Malinowski z IV piętra jeszcze mieć psa, do tego co już ma? No to go nie będzie miał — mówię JA, Kowalski Jan, zameldowany na piętrze trzecim!

Aby docenić w co byśmy się wpakowali — wprowadźmy powyższą zasadę „posiadania zgody współobywateli" do wszystkiego, co potencjalnie i faktycznie zakłóca tzw. dobrze zasłużony odpoczynek po pracy współlokatorom lub co kłuje ich zazdrosne oczy i rani pazerne serca. Chce ktoś wyremontować mieszkanie? — Niech uzyska zgodę wszystkich współlokatorów (na stuki i huki, gruz i smród lakierów, a także na podniesienie standardu kafelkami w łazience i boazerią sosnową w przedpokoju). Chce ktoś kupić samochód? — Niech uzyska zgodę współmieszkańców (na smrodzenie z rury i rozjeżdżanie, na wydawanie dewiz na zakup ropy oraz złotówek na budowę parkingów i szos w miejsce trawników oraz łanów). A przede wszystkim — chce ktoś mieć dziecko, które kwili po nocach jako niemowlę, zrywa ze snu sygnałem karetki pogotowia, wrzeszczy i hałasuje podczas zabaw na podwórku jako przedszkolak, wybija szyby piłkami, puszcza big-bity do uwiądu uszu, płata „psie figle" jako uczeń, pije „jabcoka" na schodach i wystaje po bramach, zawiązuje gangi i latami jest dotowane oraz wspierane zamówieniami rządowymi — ten niechaj uzyska zgodę współlokatorów!

I tak dalej: w odniesieniu do wszystkiego, co „zakłóca sen i odpoczynek", tj. co razi prosto w serce: zawistne i skrajnie nietolerancyjne. Gdy powyższą zasadę „posiadania zgody" współlokatorów, współmieszkańców, współobywateli, słowem rodaków — konsekwentnie wprowadzimy w czyn, wówczas rzeczywiście będzie czyściutko oraz cichutko, a także równiutko — jak na cmentarzu! Wreszcie będzie szczerze egalitarnie, jednakowo smętnie, cmentarnie.

I na tym należałoby zakończyć tę wypowiedź. Należałoby — gdyby sprawa nie miała szerszego horyzontu, zwanego także ukrytym dnem. Otóż wiedząc, że jak się psa chce uderzyć, to kija zawsze się znajdzie — po uruchomieniu wyobraźni (na temat dalekosiężnych skutków postulatów dzisiejszych) — dochodzi się do wniosku, że lepiej nie dawać współlokatorom (rodakom!) zbytnich prerogatyw do decydowania, co my — indywidualni Malinowscy — mamy robić we własnych mieszkaniach, na własnych śmieciach oraz jak mamy robić i kiedy (pomijam sprawy oczywiste, jak przestrzeganie ogólnych zasad społecznego współżycia). Lepiej nie domagajmy się akceptacji i zgody ze strony współmieszkańców i współobywateli (rodaków!) na urządzanie własnego prywatnego życia. Tym zaś, którzy domagają się prawa do ingerencji w życie innych warto uświadomić, że dokładnie to samo dotyczyć będzie ich samych. Po pewnym zaś czasie będzie jednakowo, czyli wreszcie sprawiedliwie, ponieważ każdy z osobna czyli wszyscy razem — na psy zejdą!

Każdy kij ma dwa końce. Chcąc się na krótką metę „odegrać" na sąsiedzie, dostarczamy sąsiadom tegiego kija na własny grzbiet. Brońmy prywatności i rozszerzajmy jej zakres nie tylko o wolność posiadania psa z wolnego wyboru, a potrzeby serca. Jeżeli dziś zakaże się posiadania psa „bez zgody" — jutro nie będzie wolno słuchać radia i pisać na maszynie! Co zresztą już było lecz, jak się wydaje, wielu niczego nie nauczyło?

JAMNIK

PIOSENKA STUDENCKA

Studencki Teatr „CYTRYNA" Akademii Medycznej w Łodzi oraz Akademicki Klub Turystyczny PTTK „DO CELU" przy AM — Łódź, **ORGANIZUJĄ: I SPOTKANIA PIOSENKI STUDENCKIEJ „MIXTURA 84".**

W terminie: 29 listopada — 2 grudnia 1984 r.

Pragniemy zaprosić wielkie nazwiska, które swą karierę zaczynały z legitymacją studencką w kieszeni, tych, którzy już coś znaczną w kulturze studenckiej i tych, którzy dopiero rozpoczynają swą przygodę z piosenką. Wszystkich, którzy chcą śpiewać i rozmawiać o kulturze studenckiej powojennego czterdziestolecia. Chcemy skonfrontować opinię mistrzów i początkujących, porównać dorobek lat minionych z tym, co dziś dzieje się w klubach studenckich. Chcemy w dyskusjach zastanowić się nad kierunkami, ideą rozwoju kultury studenckiej.

Chcemy zaprosić do udziału w jury uznanych twórców piosenki studenckiej: Wojciecha Młynarskiego, Jana Pietrzaka, Marcina Wolskiego, Piotra Hertla. A jeśli nie odmówią nam swego udziału Elżbieta Adamiak, Jacek Zwoźniak, Jan Kaczmarek i wszyscy ci, których jedynie z braku miejsca tu nie wymieniamy — ale którzy poczuwają się do wspólnoty w świecie studenckiej kultury — **BĘDZIEMY SZCZĘŚLIWI!!**

Proponujemy program:

1 dzień — piosenka satyryczna
2 dzień — piosenka liryczna i ballada
3 dzień — piosenka turystyczna
4 dzień — koncert laureatów

A poza tym — rzecz jasna — recitale gwiazd!!

REGULAMIN:

1. Zgłoszenia są przyjmowane do 5 listopada 1984 r.;
2. Zgłoszenie winno zawierać: teksty i nuty utworów (lub nagranie) sposób wykonania, czas trwania poszczególnych utworów, dane osobiste i adres, także — zajęcie zgłaszającego się (zawód, kierunek studiów);
3. Można zgłaszać dowolną ilość utworów;
4. Zawiadomienie o zakwalifikowaniu do spotkania będzie wysyłane pocztą;
5. Uczestnicy powinni się zgłaszać w biurze organizacyjnym dnia 28 listopada, w godz. 6.00—12.00;
6. Organizatorzy zapewniają bezpłatne zakwaterowanie i wyżywienie w czasie całego spotkania.

ADRESY: Utwory oraz wszelką korespondencję prosimy nadsyłać: AKADEMIA MEDYCZNA w ŁODZI, ALEJA KOŚCIUSZKI 4 90-419 Łódź, — „MIXTURA 84"; tel.: 33-01-28, 32-51-00 wew. 61-62.

Biuro organizacyjne czynne od 20.11.84 do 2.12.84 r.; STUDENCKI TEATR „CYTRYNA", ul. Zachodnia 81/83 90-725 Łódź, tel.: 32-18-59.

SYMPOZJUM ANTYNIKOTYNOWE

W dniach od 9 do 11 października 1984 r. odbędzie się w Łodzi Przeciwtytoniowe Sympozjum Krajów Socjalistycznych nt.: Ochrona dzieci i młodzieży przed paleniem tytoniu.

Konferencję organizuje Krajowy Ośrodek Zwalczania Palenia Tytoniu, Polskie Towarzystwo Higieniczne, Polskie Towarzystwo Przeciwtytoniowe przy współudziale Swiatowej Organizacji Zdrowia, Międzynarodowej Unii Walki z Rakiem.

W Sympozjum wezmą udział znani eksperci w dziedzinie zwalczania palenia tytoniu polscy i zagraniczni. Uczestnikami Sympozjum będą goście z Australii, Bułgarii, Czechosłowacji, Finlandii, Francji, Holandii, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Republiki Federalnej Niemiec, Szwecji, Węgier, Włoch i Związku Radzieckiego.

Około 300 uczestników Sympozjum obradować będzie w gmachu Naczelnej Organizacji Technicznej w Łodzi, plac Komuny Paryskiej 5. Będzie to już drugie Sympozjum poświęcone zwalczaniu palenia tytoniu, zorganizowane w Polsce. Poprzednie odbyło się także w Łodzi, w 1980 roku i poświęcone było „Głównym kierunkom zwalczania palenia tytoniu".

Nałóg palenia tytoniu jest przez współczesną naukę traktowany jako jeden z głównych czynników epidemicznych istotnego ograniczenia aktywności życiowej ludzi i zwiększenia liczby przedwczesnych zgonów. Palenie tytoniu jest zarazem czynnikiem, który — jeśli wysiłki instytucji zawodowo zobowiązanych do działalności przeciwtytoniowej oraz odpowiednich organizacji społecznych mają charakter zintegrowany — może być znacząco ograniczony.

Ograniczenia takie, jak dowodzą tego doświadczenia wielu krajów, pociągają za sobą wyraźnie korzystne zmiany w zakresie stanu zdrowotnego ludności.

Pośród środków warunkujących sprawność realizacji programów przeciwtytoniowych, ochrona dzieci i młodzieży przed paleniem ma znaczenie specjalne; prowadzi do wychowania pokolenia bez nałogu. Tej właśnie sprawie poświęcone jest Sympozjum.

GAZ NA RETKINI

W związku z notatką zamieszczoną w Waszym piśmie nr 31 w dniu 4.VIII.84 r. pt. „Z Retkini list pełen niepokoju", Dyrekcja Mazowieckiego Okręgowego Zakładu Gazownictwa informuje o stanie prac, związanych z wykonaniem decyzji 1/84 Prezydenta Miasta Łodzi.

ZG-Łódź opracował harmonogram prac obejmujących „wyprowadzenie" zasilania średnim ciśnieniem z budownictwa wielorodzinnego.

W osiedlu Retkinia postanowiono zmienić generalnie system zasilania ze średniego ciśnienia na niskie, z uwagi na sprzyjające warunki techniczne. Pozostałe osiedla założono przeprojektować pod względem zasilania tak, aby gaz średniego ciśnienia był tylko w sieci rozdzielczej (poza obrysem budynku).

Projekty przeróbek miały wykonać: dla osiedla Retkinia ZG-Łódź, dla pozostałych osiedli — Inwestprojekt i Miastoprojekt. Wykonanie prac sieciowych przedsiębiorstwa specjalistyczne z terenu Łodzi. Wykonanie montażu stacji redukcyjnych i spięcie sieci rozdzielczej z instalacją wewnętrzną ZG-Łódź.

Inwestorami miały być administracje budynków, tj. Spółdzielnie Mieszkaniowe i Dyrekcja Inwestycji Miejskich.

Zapewnienie materiałów specjalistycznych (rury, kurki, zasuwy itp.) przyjął na siebie ZG-Łódź (w porozumieniu z MOZG).

I etap przebudowy osiedla Retkinia na zasilanie niskim ciśnieniem wykonał ZG-Łódź do dnia 30.IV.1984 r.

Od dnia 1.V.1984 r. ok. 80 bloków osiedla (tzn. Retkinia Południe Zachód) jest zasilane gazem niskiego ciśnienia. Materiały zostały zamówione i dostawy są realizowane. Dokumentacja opracowana przez ZG-Łódź umożliwia prowadzenia dalszych prac na Retkini.

Przebudowa nie jest jednak kontynuowana, ponieważ do chwili obecnej nie zostali powołani inwestorzy ze strony spółdzielczości mieszkaniowej. Nie ustalono również ostatecznie kwestii finansowania modernizacji systemu zasilania.

ZG-Łódź (w uzgodnieniu z MOZG) od początku stawiał jasno kwestię, iż nie może finansować modernizacji.

System zasilania był projektowany na zlecenie inwestorów, przez nich wybudowany a przejęty na stan środków trwałych ZG-Łódź w warunkach obowiązującego Zarządzenia nr 62 Min. Budownictwa i Mat. Budowlanych z 1970 r. ZG-Łódź bieżąco informuje władze miasta o stanie realizacji harmonogramu (ostatnio pismem z dnia 13.IX.1984 r., skierowanym do wiceprezydenta Z. Polita).

Sytuacja ekonomiczna zakładu nie pozwala na prowadzenie jakichkolwiek prac, które obciążają koszty, a nie mają podstaw do refinansowania.

Dyrektor mgr inż. RYSZARD BZDAK

Poker z Hamletem 4

JAN KALICH

Kolejna terapeutyczna pogadanka pani ordynator. „Mama" — tak ją tu nazywają — dzisiaj nie w humorze. Przypomina po raz nie wiadomo który o naszej podłej kondycji. O tym, jak nisko upadliśmy, jacy potrafimy być podli dla naszych najbliższych, jak znikomy pożytek ma z nas społeczeństwo, które przecież łoży na nasze utrzymanie i długotrwałe, a przecież tak wątpliwe w skutkach leczenie.

Wszyscy są przeciwko wam — mówi „Mama" — społeczeństwo, milicja, dość często wymiar sprawiedliwości, nawet wasze rodziny. Jesteście porozwodzeni z żonami, a jeśli tam który pozostaje jeszcze w związku małżeńskim, to związek ten wisi na włosku. Własne dzieci się was wstydzą i boją. Kto jest po waszej stronie? Tylko my, ja i personel oddziału. To my was odtruwamy, kiedy przywożą was tutaj schlanych, albo skacowanych, to my występujemy z różnymi interwencjami u waszych pracodawców, my was bronimy w sądach.

Próby dyskusji pani doktor torpeduje.

Wreszcie koniec. Idziemy do ogrodu ze zwieszonymi głowami. Od rana popsuła nam humor.

Wystąpienie pani ordynator poruszyło mnie. Nie zgadzam się z taką argumentacją, nie mogę się zgodzić z taką metodą terapii. Sądzić to my się potrafimy sami. Bardzo surowo... Wiem, bo wysłuchałem tu już kilkudziesięciu spowiedzi. Nie było usprawiedliwiania, nie było wybielania się. Dlaczego wciąż odwoływać się tylko do naszego wstydu? Dlaczego nie poszukać w naszej jaźni tego, co w niej jeszcze zostało dobrego? Wszyscy mamy tak wiele nadziei, tak wiele dobrej woli. Jeśli uczonego ma cechować optymizm poznawczy, jeśli nauczyciel nic nie jest wart bez tego co się nazywa optymizmem pedagogicznym, to chyba lekarz i pacjent mogą osiągnąć pozytywne wyniki tylko w przypadku, jeśli obaj mają choć minimum optymizmu terapeutycznego. Zwłaszcza w dziedzinie psychiatrii...

Surowa krytyka ze strony pani doktor budzi przekorną krytykę pacjentów. To jest leczenie? — mówią moi koledzy — anticol i cześć. A potem nuda... Co tu robi ten personel? Pielęgniarki, w porównaniu z koleżankami z innych oddziałów, mają słodkie życie. Pewnie, na czterdziestu paru chorych jest ich zdecydowanie za mało, ale też ilu z nas wymaga stałej opieki pielęgniarskiej? Salowe i salowi nie robią literalnie nic, jeśli nie liczyć te trochę roboty przy posiłkach. Dwie terapeutki nudzą się jak mopsy — jedna sprawdza czystość w salach, druga wydaje zmiany bielizny, pościeli i ubrania robocze.

Oddziałowy socjolog raz na parę dni przeprowadzi jakiś wywiad. Na co dzień zajmuje się mieszaniem drewnianą szpatułką anticolu w kieliszkach, albo przynosi chlubę pięknej gałęzi wiedzy humanistycznej, której jest reprezentantem, biorąc z zapałem udział w „kipiszu" — rewizji łóżek i szafek.

Psychologa nie ma wcale. Kiedyś była pewna starsza pani, której porady psychologiczne udzielane pacjentom ograniczały się do zachęcania ich do brania udziału w nabożeństwach w pobliskim kościele.

A do tego takie pogadanki, jak dzisiejsza. Człowiek zaczyna wątpić w wyleczenie. Ba, traci na leczenie ochotę... A przecież możliwie silna motywacja do leczenia jest koniecznym warunkiem wyleczenia. Silna motywacja i niemniej silna wola, chęć wyleczenia się.

To samo mówił mi terapeuta — hipnotyzer, doktor Piotrowski.

HIPNOZA

Przed rokiem, kiedy małżeństwo z Aliną zaczęło się rozsypywać, kiedy nie udała się kolejna próba z esperalem — piguły wylazły ze mnie i kwita — jak ostatniej deski ratunku chwyciłem się hipnozy.

Doktor Piotrowski po dłuższej rozmowie i próbie podatności na hipnozę zgodził się mnie leczyć, nie przejmując się nawet tym, że mówiłem mu o swoim sceptycznym stosunku do hipnozy. Sceptycyzm zresztą prędko ustąpił.

Spotykaliśmy się co drugi dzień w jego gabinecie. Najpierw dłuższa rozmowa — o hipnozie, o najróżniejszych przypadkach wyleczeń, o alkoholizmie. Rozmowy napawały optymizmem. Sama fizjonomia doktora Piotrowskiego napawała optymizmem: szeroki uśmiech, łagodne spojrzenie uśmiechniętych, niebieskich oczu. Nazywałem go — niech mi to wybaczy, ma przecież poczucie humoru — „wesołym szympansem". Potem seans hipnotyczny. Doktor wprowadzał mnie w stan hipnozy klasycznymi metodami: leżałem, rozluźniony, na leżance, on pochylał nade mną twarz, patrzył mi w oczy sugestywnie i powoli liczył do dziesięciu. Zamykałem oczy, doktor liczył do dwudziestu i byłem w stanie hipnozy. Płytkiej hipnozy, bez wyłączenia świadomości.

Potem wygłaszał dość banalny tekst, brzmiący mniej więcej tak: *„Zdaje pan sobie sprawę z tego, jak wiele zła w pana życiu spowodował alkohol. Chce się pan uwolnić od nałogu, nie chce pan być jego niewolnikiem. Potrafi pan to, jest pan w stanie. Jest pan w stanie zrzucić z siebie ten ciężar. Ciężar, który przez wiele, wiele lat, utrudnia panu życie.*

Nie chce pan pić. I nie będzie pan pił! Nie będzie pan pił, bo zdaje pan sobie sprawę z tego, że to jest już ostatni moment, w którym można coś zrobić, aby wydobyć się z tej przepaści, w którą pan wpadł.

Alkohol jest silną trucizną. Trucizną, która niszczy cały organizm, ale przede wszystkim niszczy mózg, prowadzi do degeneracji kory mózgowej.

Nie chce pan pić. Nie będzie pan odczuwał potrzeby picia. Jednocześnie nie będzie pan mógł. Będzie pan coraz silniejszy, coraz bardziej odporny psychicznie. Wytworzy się w panu rosnąca zdolność sterowania samym sobą.

Jest pan człowiekiem młodym, inteligentnym. Przed panem całe życie. Nie chce pan tego życia zmarnować. Jest pan w stanie otrząsnąć się z tego — nie jest najważniejsze to, że czasami ktoś upadnie. Najważniejsze jest to, żeby chciał się podnieść. A pan przecież chce się podnieść... Nie będzie pan odczuwał chęci wypicia alkoholu, potrzeby picia. Wręcz odwrotnie. Odruch warunkowy, który się w panu wytworzy, będzie uniemożliwiał panu picie. Każda, nawet najmniejsza dawka alkoholu, będzie wywoływała u pana bicie i kołatanie serca, nudności, wymioty. Po co narażać się na te nieprzyjemne sensacje?

Ale najważniejsze jest to, że ten odruch warunkowy działa także w sferze psychicznej. Działa tak, że odczuwa pan niechęć do alkoholu, nie ma pan potrzeby alkoholu. Pańska siła woli jest coraz większa, coraz łatwiej potrafi pan powiedzieć: nie, nie wypiję. Nie ma takiej siły, która potrafiłaby mnie zmusić do wypicia.

Będzie pan unikał różnych takich sytuacji, które sprzyjają piciu. Będzie pan unikał sytuacji, powodujących wzmożone napięcie i stanowiących pretekst do picia. Przecież alkohol nie uspokaja. Człowiek, w zdenerwowaniu sięgający po kieliszek w istocie rzeczy szuka pretekstu. Nie chce pan pić, nie będzie pan pił. Zdaje pan sobie sprawę z tego, że to już ostatni dzwonek, że znalazł się pan w sytuacji bardzo trudnej. Ale w tej chwili jeszcze można z tej sytuacji wyjść. A pan chce z niej wyjść.

Nie może pan jednak reagować tylko biernie. Musi pan czynnie przeciwstawiać się alkoholowi.

Choroba alkoholowa jest bardzo trudna do wyleczenia. Ale można ją wyleczyć i wspólnymi siłami jesteśmy w stanie usunąć, zlikwidować nałóg. Nie chce pan być niewolnikiem nałogu, nie chce pan być zależny od alkoholu. Wytwarza się w panu coraz większa wewnętrzna siła, siła, która pomoże panu przezwyciężyć nałóg".

Potem doktor liczył do trzech i wyprowadzał mnie z hipnotycznego snu. Tekst, jaki wygłaszał, właściwie nie zawiera niczego szczególnego. Ale wygłaszany wówczas, kiedy byłem w stanie hipnozy prześlizgiwał się tylko przez moją świadomość. Hipnoza otwierała wrota podświadomości i tam był kierowany, tam miał się wryć tekst hipnotyzera. Wierzyłem w to święcie, po każdym seansie czułem się świetnie, jakbym się przespał ze dwie godziny, a nie dwanaście do piętnastu minut, bo tyle trwał seans hipnotyczny.

W końcowym okresie serii seansów hipnotycznych zdarzyło mi się wejść do knajpy na obiad. Barmanka rozlewała wódkę do kieliszków. Zajechało wódczanym odorem. Straciłem apetyt, pośpiesznie opuściłem lokal. Hipnoza działała! Szwankowało tylko jedno: atmosfera w domu. Telefony do Aliny, nie budzące wątpliwości co do osoby dzwoniącego. Jej coraz częstsze wyjazdy... I co tu mówić o „unikaniu sytuacji powodujących wzmożone napięcie".

Wreszcie koniec cyklu seansów. Następny cykl za trzy miesiące. Jak dotąd wszystko idzie bardzo dobrze, pacjent szczerze zaangażowany w leczenie. Nastrój optymizmu. I wtedy doktor Piotrowski rozwalił wszystko to, co z takim trudem razem budowaliśmy. Powiedział: — Przez te trzy miesiące koniecznie i bezwzględnie musi pan używać codziennie anticol. Tu jest recepta.

Anticol? Jeśli mam brać anticol, to znaczy, że doktor mi nie wierzy, że ja sam sobie nie mogę wierzyć. To wszystko jest humbug. Żadna podświadomość, żadne odruchy warunkowe, żadne umacnianie woli. Anticol, ordynarny kaganiec na pijacką mordę... Jeśli mam brać anticol, to po co hipnoza?

Nie poszedłem już do hipnotyzera. Po niecałym miesiącu schlałem się. Fakt, jakiś odruch chyba był, bo po drugim kieliszku zwymiotowałem...

Wreszcie rozwód i jeszcze tego samego dnia kolejny esperal. Alina wzięła swoje manatki i wyjechała ostatecznie. Kiedy zagoiła się już blizna po esperalu, robię eksperyment: obok telefonu umieszczam kartkę papieru z dużym, wypisanym mazakiem, numerem telefonu pogotowia. Siadam, wypijam szklankę piwa. Bez reakcji. Po godzinie wypijam następną szklankę, też bez reakcji. Idę do sklepu, kupuję pół litra. Wypijam kieliszek. Po godzinie idę spać. Resztę wódki wypijam następnego wieczora. Idę w korek...

SŁODKIE IGRASZKI MINIONEGO LATA

Przez ostatni rok mój nałóg skrystalizował się. Przedtem były okresy — trzy, czasem czterodniowe — ostrego picia, potem abstynencja. Pełna abstynencja trwająca z reguły sześć do ośmiu tygodni. Sam tego nie zauważałem, ale Alina mówiła mi później, że po kilku tygodniach trzeźwości byłem rozdrażniony i przygnębiony, wyczuwała, że znów pójdę w tango.

Od czasu tego feralnego dnia, kiedy podsłuchałem przypadkowo jej rozmowę telefoniczną, mój styl picia zmienił się radykalnie. Piłem sam. Okazji nie brakowało, Alina wciąż wyjeżdżała. Wiadomo do kogo. A ja, jakbym tylko na to czekał. Do sklepu po wódkę!

Dawniej też pijałem sam. Sporadycznie, jakieś niewielkie ilości koniaku czy whisky. Nigdy się samotnie nie upiłem. Teraz piłem nieomal wyłącznie sam. Upijałem się w pośpiechu, z samobójczą determinacją. Bardzo mi utkwiła w pamięci definicja alkoholizmu, którą pani ordynator cytowała za jakimś klasykiem alkohologii: „Alkoholizm to kosztowny i długotrwały sposób popełnienia samobójstwa".

Kiedy Alina wracała, byłem w korku. Wynosiło mnie z domu, szukałem najgorszych melin, najgorszego, łaziornego towarzystwa. Byłem zwolniony od obowiązku konwersacji przy kielichu. Nie miałem ochoty na rozmowy, na zwierzenia. Piłem w milczeniu, czasem opowiadałem jakieś kawały.

Żaden alkoholik tak naprawdę nie wie dlaczego pije. Dlaczego spośród milionów ludzi, którzy mniej lub bardziej regularnie piją, pewien — mniej więcej stały procent — popada w zależność od alkoholu? Nigdy nie wiedziałem, dlaczego piję. Pewien psychiatra powiedział mi nawet: — Pan nie powinien pić, pańska osobowość nie jest osobowością nałogowca, z tego co ja wiem o ludziach wynika, że pan nie jest ten typ.

Ja też nie wiedziałem. Wielokrotnie poddawałem się psychologicznej autoanalizie. Szukałem przyczyn w dzieciństwie, w życiu uczuciowym i seksualnym, w nieśmiałości, w rozwarciu między ambicjami intelektualnymi a realnymi możliwościami, w lenistwie wreszcie, w weltschmerzu, w poczuciu bezsensu życia. Nie znalazłem. Setki tysięcy ludzi przeżywało podobne rozterki duchowe, borykało się z podobnymi problemami. A nie pili...

Minionego lata i jesieni wiedziałem, dlaczego piję. A może to też był pretekst? Może odejście Aliny zbiegło się tylko w czasie z kulminacją choroby alkoholowej?

Nie wiem. Poker z Hamletem trwał...

NOWY LEKARZ

Pani ordynator idzie na długi urlop. Większość pacjentów cieszy się. Nikomu nie w smak rygory, jakie ona narzuca.

Ma przyjść jakiś młody psychiatra. Jaki będzie? Ktoś, Andrzej chyba, formułuje to lapidarnie: — Nowy lekarz będzie miał co najmniej dwie zalety — będzie młody i będzie mężczyzną.

I rzeczywiście. Doktor Tiszer jest młody, sprawia wrażenie zażenowanego.

W tym czasie dotychczasowy prezes samorządu pacjentów kończy kurację. Kandydatem na nowego prezesa jest pupil pani ordynator, emerytowany nauczyciel, niezbyt lubiany przez większość pensjonariuszy oddziału. Zakładamy lobby, na czele którego stoi Janek — energiczny, z doświadczeniem organizacyjnym. Robimy trochę zamieszania, klasyczny manipulacyjny chwyt. Nasze lobby bierze „władzę" w swoje ręce — prezesem jest Janek, ja wiceprezesem. Starego belfra wyimpasowaliśmy...

Nowy zarząd odbywa konferencję z lekarzem. Ustalamy limit przepustek, wyznaczamy „graniczną" godzinę zamykania oddziału — jest lato, możemy być na powietrzu do ósmej wieczór. Ale największym osiągnięciem jest brydż! Dotąd surowo zabroniony, pani ordynator mówiła, że wie z własnego doświadczenia, jak niewinny sportowy brydżyk przeradza się w ostrego pokera. Teraz będzie wolno legalnie, w świetlicy grać w brydża, co dla wielu z nas jest ogromną ulgą w torturze codziennej nudy.

Nowy lekarz tyra. Ma jakieś sprawy na swoim oddziale, ale większość czasu spędza na naszym. Zawsze ma czas na rozmowę z pacjentem, stara się pomóc i załatwić nawet takie sprawy, które wykraczają poza jego obowiązki i kompetencje — telefonuje do zakładów pracy, kiedy te wymyślają jakieś niezgodne z kodeksem pracy wymówienia — chcą się pozbyć niezdyscyplinowanych pijaków, którzy nie tylko nawalali w robocie, ale jeszcze pozwalają sobie na wielomiesięczne byczenie się w szpitalu psychiatrycznym.

Życzliwość i — co tu ukrywać — pewna miękkość doktora Tiszera spowodowała, że po raz pierwszy w życiu złożyłem donos. Było tak: Zbyszek urwał się do miasta, wrócił na bani. Był po anticolu, więc zrobił się czerwony jak dekoracja na święto państwowe. Nawet białka oczu miał czerwone. Na oddziale poprawił czajem i prochami. Gdzieś coś mętnie, zaczepiał przed pawilonem ludzi. Wyglądał strasznie, zacząłem się o niego bać. Jak mu pomóc?

Poszedłem do doktora, wyłuszczyłem sprawę i poprosiłem, żeby tylko nie wyrzucał Zbyszka. Udało się. Lekarz zaordynował mu jakiś zastrzyk i ukarał trzy- czy czterodniowym zakazem opuszczania pawilonu. Wszystko skończyło się dobrze, ale ja i tak przez kilka dni nie mogłem Zbyszkowi patrzeć w oczy. Ja, który nigdy nie naskarżyłem w szkole, który donosicielstwem brzydziłem się chyba bardziej niż kradzieżą, bom sam doświadczył sporo przez donosicieli, ja złożyłem donos... A ofiara donosu została ukarana. Najłagodniej, jak można było, ale ukarana...

AZYL

Zwykły, szpitalny dzień. Wstajemy o szóstej. Wychodzę na korytarz na pierwszego papierosa. Zenek stoi oparty na szczotce i przeklina przez zęby: — Wariatów tutaj skolko ugodno, ale jednego idioty, który chciałby za mnie pozamiatać korytarz, nie można znaleźć...

Sprzątanie oddziału, śniadanie, anticol. Idziemy do roboty. Brygadzistka, pani Tereska, krąży koło nas i ujada jak ratlerek. Dla niej wciąż zbyt wolno pracujemy, zbyt długie przerwy robimy na papierosa. Zmiłuj że się, babo rozwrzeszczana! Przecie jesteśmy pacjentami, chorymi ludźmi, których praca ma leczyć. My tu nie zarabiamy (jakieś grosze nam płacą, bodaj że sześć złotych za godzinę), my tu mamy poznać „radość tworzenia"! Ta robota, te trzy godziny dziennie, to terapia. Nasza wydajność nie ma znaczenia. Zasadnicze znaczenie ma rodzaj i miejsce pracy. Nie wysyłaj nas do noszenia ciężkich worków ze sztucznymi nawozami, pozwól pielić, kopać grządki, wiązać pomidory. Daj trochę czasu na powąchanie tego pola, popatrzenie na te roślinki...

Gadaj zdrów! Pani Tereska wie — praca to praca, nie takie tam obcyndalanie się...

Obiad, krótka drzemka i popołudnie — jedni grają w karty, inni podziwiają bezpłatny strip-tease w oknie żeńskiego pawilonu psychiatrycznego. Na boisku wielki mecz o mistrzostwo Wariatkowa. W gęstych krzakach przy ogrodzeniu — poker. Najlepszy gracz, kamieniarz Stasio spokojnie zagarnia kolejną ratę na małego fiata od Janka — prezesa. W krzakach po przeciwnej stronie Zenek prowadzi za rączkę Urszulkę. Wieczorem opowiada uradowany — w sobotę idę z nią na zabawę. W przyszłym tygodniu ona wychodzi. Ja za dwa tygodnie. Już się umówiliśmy, wprowadzę się do niej, pomieszkam parę tygodni. No i będę ją miał w łóżku. W tych krzakach to żadna frajda — stale jakieś czuby przeszkadzają.

Po kolacji i wieczornym apelu — długie, ciągnące się do późnej nocy pogaduchy. Pijackie opowieści i plany na przyszłość. Bardzo charakterystyczne — co drugi tu ma ochotę na prywatny interes. Niekoniecznie wielki, nie chodzi o pieniądze. Chodzi o święty spokój — żadnych dyrektorów, żadnych działów kadr. Nic dziwnego, każdy tu ma na sumieniu różne nawalanki, bumelki itp. Na swoim nikt ci słowa nie powie, że wczoraj nie byłeś w robocie, a dziś śmierdzisz gorzałą...

Ciekawy plan ma Józek: — Za cztery lata idę na emeryturę. Mam duże mieszkanie w śródmieściu. Jak tylko będę na emeryturze, założę luksusową melinę. Dla niewielkiej grupki, najwyżej kilkanaście osób, stałych klientów. Będzie wódeczka na wynos i na miejscu, będą zakąski. Tylko dla lepszych gości, prywaciarzy itp. Potrzebują popić, ale nie mogą afiszować się w knajpie, potrzebują zagrać w pokera, potrzebują panienkę przyprowadzić, proszę bardzo! A ja będę zgarniał forsę i kielicha też się napiję w kulturalnym towarzystwie...

Takie marzenia może mieć tylko alkoholik!

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.

CIA: TAJEMNICE „DEMOKRACJI" 3

Nowa krucjata

Administracja Ronalda Reagana wszczęła „krucjatę" przeciwko Związkowi Radzieckiemu, przeciwko socjalizmowi. „Krucjatę" w sensie dosłownym, bowiem poza wszystkim zmobilizowała przeciwko nam etyczne i różne normy chrześcijaństwa. Występuje pod sztandarem ideologicznym, na którym widnieje imię Boga. Obecna władza w Waszyngtonie opętana antykomunizmem wydaje się nie dostrzegać, że sama konstytucja USA, której zasady ci panowie chcieliby narzucić całemu światu, wskazuje z naciskiem, iż Kongres nie może wydawać żadnych ustaw, wprowadzających jakąkolwiek religię lub zabraniających jej swobodnego praktykowania. Tak głosi I poprawka do Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Ewangelizm polityki zagranicznej, prowadzonej przez administrację Cartera, podniesiony do n-tej potęgi przez ekstazę religijną reaganowców, zapędził amerykańskich znawców problemu w ślepy zaułek. Na konferencji zwierzchników kościołów w 1981 r. zabrał głos Y. Scherer, który wykłada historię kościoła w luterańskim college'u w Chicago. Z wieloznacznością zrozumiałą dla wtajemniczonych zatytułował on swoje fachowe wystąpienie: „Kiedy Kościół i Państwo udają się za granicę". Profesor-teolog wskazał, że „z całą siłą na plan pierwszy wysuwa się znowu sprawa oddzielenia kościoła od państwa" i dodał: „Tylko po starannym przestudiowaniu niekonsekwencji i sprzeczności między teorią a praktyką, występujących w ponad dwóchsetletniej historii, można mieć nadzieję, że oceni się należycie obecną politykę". Profesor doszukał się, jak sam mówi, „wielu przypadków brutalnego naruszania pierwszej poprawki" w przeszłości, kiedy to rząd USA wykorzystywał Kościół jako swoje narzędzie w polityce zagranicznej.

Ustaliwszy te okoliczności, bynajmniej nie pasujące do oficjalnych amerykańskich twierdzeń o „wolności" wyznania, profesor Scherer zapowiada: „W zależności od siły braterskich więzi łączących kościoły amerykańskie z ich partnerami za granicą, od systemu wartości, etycznego idealizmu i wierności teologicznej, rodzą się konflikty interesów między Kościołami amerykańskimi a rządem USA, między amerykańskimi Kościołami a obcymi państwami, które związały się z polityką rządu USA. Krótko mówiąc, Kościoły będą musiały powziąć bolesną decyzję, czy dochować wierności królestwu świeckiemu, czy też królestwu bożemu".

Jest to głęboko uzasadnione zatroskanie, które podziela każdy dobry pasterz, dbający o duchowe zdrowie swych owieczek. To, co najwyraźniej zasmuca serce profesora-teologa, dla liderów-fundamentalistów, którzy ostatnimi laty rozmnożyli się w USA, jest nic nie znaczącą drobnostką. Najbardziej chyba znany spośród nich, lider „moralnej większości", przyjaciel i wielbiciel Ronalda Reagana, przewielebny Jerry Falwell, zawyrokował: „Co to za sprawa — religia a polityka. Problem jest prosty i sprowadza się do tego, że ojcowie-założyciele, którzy napisali konstytucję, nie mieli na myśli oddzielenia Boga od państwa, myśleli jedynie o oddzieleniu religii od państwa". Najpewniej według Falwella poglądowi takiemu nie da się nic zarzucić, tyle że nie kto inny jak sam były prezydent, Jimmy Carter zalecał, aby do każdego jego słowa odnosić się, delikatnie mówiąc, z dużą ostrożnością. W swoich pamiętnikach, które ukazały się w listopadzie 1982 r., przestrzega on: „Jerry Falwell, przywódca moralnej większości, jest jednym z najgorszych konserwatywnych liderów religijnych, bowiem mając masowe audytorium odnosi się bezpardonowo do prawdy".

To, co usiłuje się obecnie krzewić w sferze duchowej, jest z gruntu sprzeczne ze znaną historycznie doktryną chrześcijaństwa. Pod koniec 1982 r. w Stanach Zjednoczonych zaoferowano wierzącym biblię w wydaniu skróconym: Stary Testament o połowę, zaś Ewangelię — o jedną czwartą. Inicjator tego przedsięwzięcia, wydawnictwo „Reader's Digest", oświadczyło, że celem skrótu jest przyciągnięcie czytelników, bowiem w USA jest wielu ludzi, którzy „nie zaglądają do Biblii, a teraz będą mogli przeczytać ją całą". Można też odnotować inną inicjatywę: wydano obecnie poradniki w sprawie seksu, oparte na Biblii. Jeden z członków kierownictwa „moralnej większości", B. Lechay, obstaje przy opinii, że są one bardzo pożyteczne, a chrześcijanie posłuszni Bogu zazwyczaj odczuwają większe zadowolenie, niż niechrześcijanie" itp.

Profesjonalni teolodzy w USA mają niejedno do powiedzenia w związku z tymi innowacjami. Są zdumieni faktem skrócenia Pisma Świętego i wprowadzeniem Biblii do małżeńskiej sypialni. Więcej — są tym poirytowani. Brak im też po prostu słów dla potępienia faktów cynicznego wykorzystywania wiary i nadużywania uczuć ludzi wierzących dla celów politycznych.

Dr James Stewart z pierwszego kościoła chrześcijańskiego w Glendorah (stan Kalifornia) napisał latem 1982 r. do redakcji miesięcznika „Playboy": „W ostatnich miesiącach opublikowaliście wiele krytycznych materiałów na temat moralnej większości oraz innych należących do „nowej prawicy" i w zasadzie ta krytyka była słuszna. Pragnę jednak powiedzieć waszym czytelnikom, że setki tysięcy głęboko wierzących i praktykujących chrześcijan nie popierają fanatyzmu Jerry'ego Falwella i jemu podobnych. Prawda, dzięki Bogu, polega na tym, że zdecydowana większość chrześcijan nie podziela etyczno-politycznego credo tych grup.

Mnie jako profesjonalnego teologa, studiującego Biblię, bardzo zainteresowały wszystkie te sprawy. Wierzę, że sam Jezus Chrystus byłby oburzony na „nową prawicę", bowiem są to współcześni faryzeusze. Główną cechą faryzeuszy był ich legalistyczny rygoryzm. Faryzeusze dla własnych celów mieszali ze sobą politykę i religię, i stopniowo pogłębiała się przepaść między przywódcami faryzeuszów a podstawową masą wierzących. Z czasem faryzeusze stanęli wobec reakcji zwrotnej, podobnej do tego, czego doznaje „nowa prawica", i koniec końców utracili wpływy. Mnie osobiście niepokoi jednak wielka szkoda, jaką „nowa prawica" wyrządza Ciału Chrystusa, którym jest Kościół".

Widzimy więc, chociaż tylko w najogólniejszych zarysach, jaką to doktrynę „religijną" faworyzuje obecnie oficjalny Waszyngton. Amerykańscy faryzeusze uważają, że jest ona przydatna dla ich celów, które nie mają w sobie nic szlachetnego. Chodzi przede wszystkim o wykorzystanie religii jako oręża w wojnie psychologicznej, przy czym oręża bardzo brutalnego.

Tak więc ci faryzeusze i sekciarze usiłują również z religii uczynić front walki, przenosząc go przy tym w granice krajów socjalistycznych. Przemilczają oczywiście fakt, że ich doktryny bynajmniej nie znajdują powszechnego uznania na Zachodzie, starają się natomiast używać religii jako klina, rozszczepiającego społeczeństwa w krajach socjalistycznych. Credo rosyjskiego kościoła prawosławnego jest znane. Jak to powiedział metropolita moskiewski Filaret, „kto nie może być obywatelem swego państwa, nieprzydatny jest również królestwu bożemu". Patriarcha moskiewski i całej Rusi, Pimen, stwierdził z całym naciskiem: „Istota rosyjskiego kościoła prawosławnego przejawia się najpełniej.. w działalności patriotycznej, pokojowej i ekumenicznej".

Wrogowie socjalizmu usiłują w religijnej otoczce przeforsować gloryfikację i akceptację kapitalizmu w jego najbrutalniejszej postaci. Można by oczywiście w związku z tymi dążeniami przypomnieć, jak to Chrystus biczem wyganiał ze świątyni. To powszechnie znana przypowieść. Ale cała sprawa jest znacznie bardziej ziemska niż interpretowanie Pisma Świętego, a powierzono ją w ostatnich latach przede wszystkim organizacji NTS (Narodno-Trudowoj Sojuz).

Od 1977 r. NTS zajął się wydawaniem zbiorków pod nazwą „Nadzieja", które polecone były nie obznajomionym ludziom jako zbiór materiałów religijnych. Dla NTS—CIA przedsięwzięcie to było szczególnie atrakcyjne, ponieważ przygotowania materiałów (przynajmniej częściowego) podjęła się niejaka Z. Krachmalnikowa, zamieszkała w ZSRR. Tu właśnie trudziła się ona na wybranej niwie, nielegalnie przekazując to, co zebrała, na Zachód, gdzie materiałom nadawano kształt publikacji, a następnie próbowano przemycać je do ZSRR.

W sierpniu 1982 r. położono kres burzliwej działalności Krachmalnikowej, która m. in. obejmowała przestępcze kontakty z agenturą zachodnich służb specjalnych. Natomiast rozległy się szalone krzyki arcybiskupa genewskiego i zachodnioeuropejskiego, Antonija: „Prześladują tych, którzy przygotowywali zbiorek, władza raz jeszcze zademonstrowała, że jej istotą jest walka z Bogiem". NTS dodał ponadto: „To, co stało się dziś, jest dowodem jawnej, otwartej nagonki, prześladowania za wiarę, za Chrystusa". Lamenty, mówiąc delikatnie, co najmniej obłudne. I kto protestuje? NTS! A przyczyną wcale nie jest prześladowanie wiary, lecz coś znacznie bardziej konkretnego. Bowiem w nr 1 tego zbiorku z 1977 r. było powiedziane: „Całą techniczną stronę edycji, ochronę praw autorskich osób, występujących w zbiorku, jego handlowy kolportaż za granicą i w miarę możności przekazywanie części nakładu do Rosji, zgodziło się wziąć na siebie wydawnictwo „Posiew". Niejednokrotnie już mieliśmy możność się przekonać, jacy to „chrześcijanie" kryją się pod dachem tej fabryki makulatury. To naturalne, że wpadli oni we wściekłość, bo przecież wzięła w łeb jeszcze jedna akcja w ich dywersyjnej działalności.

Treść zbiorku stanowi przekonujący dowód, że jego wydawanie i próby kolportowania miały taki właśnie charakter. Zawarte w nim „religijne" teksty często zawierały ładunek semantyczny, niezbyt zgodny z samą tylko wiarą. Nadał im ton artykuł anonimowego duchownego, zamieszczony w nr 1, zapewne jako przykład godny naśladowania. Z punktu widzenia prawosławia, człowiek ten głosi luterańskie herezje, zdecydowanie wymienia sumienie chrześcijańskie na kacerską walutę (zapewne dolary). Posłuchajmy: „Świat należał, należy i będzie należał wyłącznie do Boga, bez względu na to, jakie siły chwilowo na nim gospodarzą. Czy znaczy to, że człowiek nie ma i nie może mieć żadnej własności? Wręcz przeciwnie, własność ludzka ma swe niezaprzeczalne uzasadnienie w tym, że istnieje własność w ogóle. Znaczy to, że własność może być dana, jeżeli jest prawdziwy gospodarz. Jakież to pole, jakież głębokie uzasadnienie dla prawdziwego władania... Własność jest przekaźnikiem miłości boskiej i ludzkiej".

To kazanie adresowane jest do ludzi w kraju, gdzie dokonała się rewolucja, która zlikwidowała własność prywatną i położyła kres wyzyskowi człowieka przez człowieka. Oto, jakie „chrześcijańskie" prawdy zaczęto głosić w „Nadziei"!! Kto skłania ku nim ucho i kto powinien przekuwać słowa w czyn? „Chrześcijańskie" słowa w „Nadziei" splatają się ściśle z nader konkretnymi usiłowaniami przeprowadzenia dywersyjnej roboty przez zachodnie służby specjalne, które dostrzegły tych, co — ich zdaniem — przyjmują te słowa jako swój oręż. Przez cały rok 1982 w NTS toczyła się dyskusja o problemach gospodarczych ZSRR, a ściślej o tym, jak reaktywować — jeżeli jest to w ogóle możliwe — elementy kapitalistyczne.

Gdy przyjrzymy się bliżej dosłownie każdej kampanii, wszczynanej na Zachodzie w związku z „prześladowaniem" wierzących, to zawsze trafimy na zwykłe przestępstwa. Wiosną 1982 r. zachodnie „głosy radiowe" z wielkim smutkiem donosiły, że w Moskwie pociągnięto do odpowiedzialności gorliwych „chrześcijan". Znów prześladowania za wiarę! W rzeczywistości zaś nie chodziło bynajmniej o wiarę, lecz o to, że w latach 1979—1982 kilka osób, na czele z niejakim Burdiugą, głównie nie mających żadnego określonego zajęcia, dla zysku trudniło się nielegalną wytwórczością. Wybrali oni w tym celu wydawanie literatury o treści religijnej. Dochodzenie w tej sprawie, z konieczności bardzo pracochłonne, wykazało, że sami ci ludzie zagarnęli zysk w wysokości 43 600 rubli, a za korzystanie z siły roboczej wypłacili około 164 000 rubli. Ta wielka afera skończyła się w grudniu 1982 r. skazaniem przestępców w myśl artykułu 162, części II Kodeksu RFSRR. Nie było w tym żadnej „polityki", najzwyczajniejsze przestępstwo pospolite. Jeden z podsądnych, niejaki Rozanow, został jeszcze skazany z artykułu 88 wspomnianego kodeksu, traktującego o naruszaniu przepisów dewizowych.

Zachodni rzecznicy „wolności" religii szczególnie wiele uwagi poświęcają tym, którzy, ich zdaniem, mogliby konkurować w naszym kraju z rosyjskim kościołem prawosławnym. Znany skądinąd kardynał Slipyj nosi się z zamiarem utworzenia „Kijowsko-galicyjskiego patriarchatu katolickiego", którego jurysdykcja rozciągałaby się na całą Ukrainę. Ten zbrodniarz wojenny, który swego czasu udzielił błogosławieństwa dywizji SS „Galizien", w żaden sposób nie może pogodzić się z decyzją lwowskiego soboru kościelnego z 1946 r., likwidującą kościelną unię brzeską, w wyniku czego przestał istnieć unicki kościół grecko-katolicki na Ukrainie.

Slipyj posyła do naszego kraju emisariuszy. Jeden z takich przypadków jest nader pouczający. 30 maja 1979 r. na przejściu granicznym Szeginia w obwodzie lwowskim zatrzymany został czarny Mercedes. Zasiadającego za jego kierownicą włoskiego duchownego, Bernardo Vincenzo, aresztowano. Postawiono go w stan oskarżenia na mocy artykułu 70 Kodeksu Karnego USRR, traktującego o przemycie. Mało czcigodny sługa bozy jechał do ZSRR już po raz czwarty, a przy poprzednich podróżach cichaczem przewoził znaczne sumy radzieckich pieniędzy i przekazywał je pewnym osobom. Tym razem znaleziono u niego około 13 000 rubli, schowanych w przemyślnej skrytce, a także kilka walіz z damską garderobą.

Mając przed sobą realną perspektywę kary więzienia za przemyt, Vincenzo przyznał się do prawdziwej winy. Okazało się, że jechał do ZSRR w celu zbierania danych o „prześladowaniu" tych, którzy popierają kościół unicki. Jak oświadczył Vincenzo, polecenie takie dał mu kardynał Slipyj. Powiązania tego ostatniego z CIA nie ulegają najmniejszej wątpliwości. Vincenzo miał nadzieję, że otrzyma od kardynała „jakieś wynagrodzenie". Oto i cała sprawa.

Jak widzimy, Vincenzo nie wykonał powierzonego mu zadania. Wyraziwszy skruchę w śledztwie, zwrócił się do Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z prośbą o darowanie kary. „Gotów jestem — pisał — paść na kolana przed każdym i prosić o przebaczenie za wszystko, co zrobiłem we Lwowie". Oczywiście podczas poprzednich swoich podróży. I jeszcze uronił łezkę: „Mógłbym zrozumieć, czym jest komunizm, jeżeli uzyskam przebaczenie i wyjdę na wolność. Zrozumiem, być może, że komunizm jest sprawiedliwszy i bardziej humanistyczny niż inne systemy polityczne i niż sam kościół katolicki".

Na konferencji prasowej, z której materiały zostały opublikowane w „Lwowskiej Prawdzie" 3 listopada 1979 r., Vincenzo mówił: „Umożliwiono mi zapoznanie się z dokumentalnymi dowodami, w tym z dokumentami filmowymi z czasów drugiej wojny światowej, będącymi świadectwem ścisłej współpracy Josifa Slipego i innych duchownych unickich z faszystami i przywódcami burżuazyjnych nacjonalistów ukraińskich. Zobaczyłem, jak przy ich poparciu i za ich błogosławieństwem hitlerowcy i nacjonaliści terroryzowali ludność Ukrainy, zabijali spokojnych mieszkańców, w tym także dzieci, kobiety i starców... Zrozumiałem, że zostałem wciągnięty do akcji politycznej, której duch i cele są całkowicie sprzeczne z moimi przekonaniami jako człowieka i duchownego. Nie tylko nie usprawiedliwiam antyradzieckich poczynań Slipego i Ortyńskiego (który bezpośrednio wyprawiał go w podróż — przyp. aut.), lecz jestem oburzony, że wykorzystali mnie oni jako narzędzie dla wykonania takiej brudnej roboty jak przemyt, w tym także kontrabanda polityczna. Czuję wyrzuty sumienia i skruchę z powodu tego, że działałem na szkodę państwa radzieckiego".

No cóż, lepiej późno niż wcale. Na mocy decyzji Prezydium Rady Najwyższej ZSRR z 31 października 1979 r. Vincenzo darowano karę i wydalono go z terytorium Związku Radzieckiego.

Ci, którzy opowiadają się za kościołem unickim (a ich to właśnie miał w danym przypadku szukać emisariusz Slipego i CIA), rekrutują się obecnie z grona fanatycznych sekciarzy. Rok po opisanym wyżej nieudanym wojażu włoskiego duchownego, prokuratura Drohobycza, a więc miasta w pobliżu Lwowa wszczęła sprawę karną w związku z bezprzykładnym wręcz wydarzeniem. Zimową nocą 19 stycznia sekciarze, nazywający siebie pokutnikami, przez 14 godzin prowadzali boso po śniegu 26-letnią K. — ekspedientkę z miejscowego sklepu, a następnie urządzili jej „chrzest wodny": siłą trzymali ją w lodowatej wodzie rzeczki Tismenica. W rezultacie K. trzeba było amputować obie odmrożone nogi. Od niej samej nie udało się uzyskać rozsądnych odpowiedzi, ponieważ po tym, co przeżyła, znajdowała się w stanie reaktywnej psychozy. Jednakże stopniowo udało się dojść po nitce do kłębka — do jednego z przywódców sekciarzy, niejakiego Skałycza, urodzonego w 1920 r., z wykształceniem 4 klas. Był to człowiek nigdzie nie pracujący, włóczęga, który miał już za sobą karę długoletniego więzienia za działalność antyradziecką.

Otóż, co głosił on wśród ciemnych ludzi, ściśle według instrukcji przywódców sekty: „Jeżeli nasi wrogowie powiedzą, że jesteś przeciwko władzy, trzeba odpowiadać; podlegam władzy, która jest nad nami, a nad nami władza jednego mocarstwa, jednej siły, pana naszego Chrystusa... Zapytają, gdzie jesteś zameldowany — odpowiadaj, że jesteś zapisany w księdze Chrystusa; zapytają o dowód — odpowiadaj: nie mam radzieckiego poddaństwa, żyję w religijnych rozmyślaniach. Ojcowie moi nie mieli dowodu, a wszyscy nosimy na piersi krzyż święty. Dowody są dla koni, ja nie koń, ani kobyła, nie ma mnie co pytać o dowód. Mam dowód Chrystusowy". Fanatyzm? Ciemnota? Oczywiście! Jednakże uniccy orędownicy szukają właśnie takich, bo mogą się nimi posłużyć do najnikczemniejszych celów.

Po to, aby „udowodnić" domniemane „prześladowanie" za wiarę, różnego rodzaju organizacjom międzynarodowym, jak np. ONZ, czy sekretariatowi spotkania madryckiego podsuwano listę osób, które rzekomo gorąco pragną zaznać „wolności" wiary na Zachodzie. Pod koniec 1982 r. sprawdzono wybiórczo w terenie nowe „prośby", które figurowały na listach przedstawionych międzynarodowym gremiom. Mieszkanka wsi Kwitniewo w okolicy Lwowa, baptystka A. Striełkowa ze zdumieniem ujrzała swoje nazwisko na liście „prześladowanych". W oświadczeniu dla rady wiejskiej z 7 grudnia 1982 r. wyraziła oburzenie z powodu dokumentów przypisanych jej autorstwu. „Widzę je po raz pierwszy — pisała — Podpis pod tymi dokumentami też nie jest mój, a kto się za mnie podpisał, nie wiem. Chciałabym, żeby autora, tego złoczyńcę i fałszerza, znaleziono i pociągnięto do odpowiedzialności". Inna baptystka, L. Piszak, zamieszkała w tej samej wsi, pisała tegoż dnia: „Nie odczuwam żadnego ograniczenia swoich praw jako osoba wierząca. Przedstawiony mi tekst, w którym jest mowa o wyjeździe poza granice ZSRR, widzę po raz pierwszy". Małżonkowie Seraficzanie, mieszkający w Czernihowskiem, 12 grudnia 1982 r. nazwali oszczerstwem podanie wystosowane jakoby w ich imieniu i domagali się, aby „znaleźć człowieka, który posługując się naszym nazwiskiem oczernia nasze państwo — ZSRR".

Opisana wyżej dywersyjna robota, która zatruwa stosunki międzynarodowe i radziecko-amerykańskie, nie przewyższa jednak swym znaczeniem poczynań awangardowych sił imperializmu wspierających się na rakietowo-jądrowym potencjale Stanów Zjednoczonych. Jak to zostało ustalone w dyrektywach służby bezpieczeństwa narodowego już w drugiej połowie lat czterdziestych i od tej pory potwierdzane było wielokrotnie, potencjał ten zostanie uruchomiony, jeżeli kiedyś ogólny układ sił przechyli się na korzyść imperializmu. Proklamowane przez administrację Reagana programy rozbudowy potencjału militarnego nie pozostawiają w tej kwestii najmniejszych wątpliwości, są one bowiem obliczone przede wszystkim na przełamanie parytetu strategicznego.

Ponieważ taki właśnie jest obecnie deklarowany oficjalnie cel Waszyngtonu, ci, którzy prowadzą dywersyjną robotę przeciw ZSRR, poczuli się niepotrzebni. W rzeczy samej, co za sens tracić siły na „rozwalanie" ZSRR od wewnątrz, jeżeli amerykański imperializm jest gotów rozstrzygnąć historyczny spór między dwoma przeciwstawnymi systemami społecznymi drogą fizycznego unicestwienia narodów Związku Radzieckiego. Do takiego wniosku doszedł w każdym razie np. zajadły przeciwnik władzy radzieckiej, Sołżenicyn. W maju 1982 r. nie poszedł do Białego Domu, na obiad u Reagana, dokąd prezydent sprosił słynnych odszczepieńców. W ten sposób, znaczy się, Sołżenicyn „wyraził protest".

Wątpliwe, czy władcy USA zauważą w ogóle ten bunt na kolanach. Mimo to CIA wyciągnęła wnioski co do Sołżenicyna. We wrześniu 1982 r. wypuszczono go z USA w pierwszą podróż od czasu katastrofalnego wojażu po Europie w 1979 r. Wypuszczono pod konwojem — sześciu ludzi z ochrony podczas trzytygodniowego mniej więcej pobytu w Japonii — pod przybranym nazwiskiem Aleksandra Fossa. O tym, że Sołżenicyn jest w ich kraju, Japończycy dowiedzieli się z informacji na konferencji prasowej, przeprowadzonej pod koniec jego pobytu, przy czym samego Sołżenicyna na tej konferencji nie było! Oczywiście CIA nadal korzystać będzie dla swoich celów z jego nazwiska, ale także nadal nie popuści mu smyczy. Taka właśnie jest rzeczywista sytuacja tego, który swego czasu wyobrażał sobie, że na Zachodzie udostępnią mu wysoką trybunę.

Jest to zupełnie zrozumiałe. CIA to organizacja klasowa, utworzona i pracująca wyłącznie w interesie wielkiego kapitału, a kierują nią jego wybrani przedstawiciele. Wnieśli oni do pracy CIA obyczaje obowiązujące wśród elity ludzi pieniądza. W tym, co dotyczy konkretnej roboty, o zachowaniu nie decydują wykoncypowane normy etyczne, wierność chrześcijaństwu i temu podobnym szczytnym zasadom, lecz patologiczna żądza bogacenia się, zachowania, ochronienia i pomnażania własnych kapitałów. Z taką zapamiętałą żądzą, powodując się brudnymi motywami, kierownictwo CIA prowadzi robotę dywersyjną na całym świecie. Podłe cele decydują o nie mniej podłych metodach.

Oficjalne stanowisko Waszyngtonu, który otwarcie potwierdza obłudę i kłamstwo, jest podstawą polityki państwowej. Nasuwa się z tego nieodparty wniosek: zawsze i wszędzie oceniać należy tylko według czynów, a w żadnym przypadku według słów tych, co rządzą w USA. Po to jednak, aby wnioskować prawidłowo, konieczna jest czujność i jeszcze raz czujność. Jest ona wypróbowanym, orężem naszej partii, naszego narodu. W przeszłości czujność była niezmienną przesłanką naszych sukcesów i zwycięstw. Tak będzie również w przyszłości.

NIKOŁAJ JAKOWLEW

W kręgu fantastyki

ANDRZEJ MERCIK

Raptularz XIII Laboratorium

Zapis ósmy

Działalność XIII Laboratorium w zasadzie nie była znana szerokim kręgom społeczeństwa. Wiadomości o dramatycznych zmaganiach z tajemnicami przyrody, o niezwykłych odkryciach czy eksperymentach rzadko wykraczały poza obręb pracowni naukowych; nawet nieliczne publikacje w specjalistycznych periodykach z reguły uchodziły uwagi ich czytelników. Wyjątkowym w tym względzie był Dział Medycyny Niekonwencjonalnej który swego czasu wzbudził zainteresowanie opinii publicznej nie mniejsze od rozgrywek o prymat w lidze futbolowej.

Kierował owym działem doktor Dromaderus, z wykształcenia psychiatra, były dyrektor jednego z mniejszych szpitali dla psychicznie chorych. Podobnie, jak w przypadku innych naukowców, jego przejście do XIII Laboratorium było wynikiem pechowego wydarzenia o nieprzyjemnych konsekwencjach. Mianowicie, po usilnych kilkuletnich zabiegach Dromaderusa Towarzystwo Psychiatryczne postanowiło swój kolejny zjazd odbyć w jego szpitalu. Doktor do tego ważnego wydarzenia przygotowywał się długo i starannie. Scenariusz opracował w najdrobniejszych szczegółach; był w nim nawet przewidziany koncert orkiestry kameralnej złożonej z uzdolnionych muzycznie pacjentów. Ale pech ma to do siebie, że w żaden sposób nie można się przed nim ustrzec. Na dzień przed otwarciem zjazdu przyjechał jeden z wiceprzewodniczących TP, aby skontrolować stan przygotowań, a nie stwierdziwszy żadnych, najmniejszych nawet uchybień wyraził ochotę na zwiedzenie szpitala. Dromaderus zajęty ustalaniem szczegółów menu powitalnego bankietu przeprosił gościa, że nie może mu towarzyszyć. Zatelefonował do lekarza dyżurnego, aby w jego zastępstwie pełnił honory gospodarza i wskazał panu wiceprzewodniczącemu drogę do izby przyjęć. Czy to w wyniku ogólnego zamieszania, czy też nieporozumienia, dostojny gość został przyjęty nie przez dyżurnego lekarza, a przez dwóch barczystych pielęgniarzy, którzy grzecznie zaproponowali mu kąpiel i zamianę garnituru na flanelową piżamę. A że pan przewodniczący bardzo gwałtownie odrzucił tę propozycję dla uspokojenia potraktowano go jeszcze lodowatym biczem wodnym i zaprowadzono na oddział.

W czasie zjazdu jakoś nikogo nie zaniepokoiła nieobecność pana wiceprzewodniczącego. Sądzono, że wyjechał nagle z istotnych przyczyn osobistych i dopiero w tydzień później, w czasie lustracji szpitala Dromaderus z przerażeniem stwierdził, że wybitny psychiatra poddawany jest intensywnej kuracji. Szczerze mówiąc, pan wiceprzewodniczący nie powinien był mieć pretensji do Dromaderusa; dzięki zdobytemu doświadczeniu opublikował wkrótce kilka znakomitych artykułów na temat deontologii lekarskiej, ale widać uznał to za niedostateczną rekompensatę doznanych przykrości, bo od tego czasu systematycznie skreślał nazwisko doktora z list uczestników wszystkich konferencji i zjazdów, aż w końcu Dromaderus zniechęcony szykanami definitywnie pożegnał się z psychiatrią. Zajął się medycyna niekonwencjonalna i tym zwrócił na siebie uwagę dyrektora Fusa.

Początki pracy Dromaderusa w XIII Laboratorium były trudne. Niby opanował wszystkie paramedyczne techniki terapii, od leczenia bioprądami po operacje w stylu magów filipińskich, ale nie mógł ani stosować, ani rozwijać tych metod z powodu braku pacjentów. W sąsiedztwie XIII Laboratorium działało kilku uzdrawiaczy o ustalonej renomie cudotwórców i Dromaderus nie potrafił pokonać tej konkurencji. W walce o pacjentów imał się różnych sposobów. Ogłosił, że będzie leczył za darmo, lecz to nie odniosło skutku. Ludzie przywykli do tego, iż każda usługa kosztuje, a wysokość honorarium „bywa nawet miernikiem jej jakości, więc bezinteresowny uzdrawiacz sprawia wrażenie partacza albo oszusta. Hałaśliwa reklama, w której Dromaderus dowodził naukowości swej sztuki też nikogo nie przekonała. Uzdrawiaczy odwiedzają chorzy oczekujący cudu; kto chce się leczyć naukowo, zgłasza się do kliniki. Tak więc poczekalnia dla pacjentów w XIII Laboratorium świeciła pustką, a doktor coraz częściej myślał o powrocie do swojego dawnego szpitala, ale już nie w charakterze lekarza.

Dyrektor Fus, dostrzegając oznaki załamania doktora, energicznie przystąpił do przeciwdziałania temu niepokojącemu zjawisku. Najpierw przeprowadził z Dromaderusem długą rozmowę, a potem wysłał go do Egiptu z poleceniem orzestudiowania starożytnych metod leczniczych. Był to krok brzemienny w skutkach, bo chociaż doktor nie zgłębił tajemnej wiedzy kapłanów Amona, wrócił zafascynowany piramidami.

Jak wiadomo, archeologowie mają swoją teorię genezy gigantycznych budowli nad Nilem, ale jakże stojąc przed kamiennymi górami uwierzyć, że wzniesiono je tylko po to, aby służyły faraonom jako grobowce? A nawet gdyby podjęto jedynie w tym celu niewyobrażalny ogrom pracy, to czyż przypadkiem jest, iż obwód piramidy Cheopsa podzielony przez jej podwójną wysokość jest równy liczbie „pi"? Że jej wysokość pomnożona przez miliard odpowiada średniej odległości Ziemi od Słońca? Astronomowie europejscy tę odległość zmierzyli dopiero w XIX wieku! A długość „łokcia piramidalnego", a masa sarkofagu Cheopsa, a samo jej ustawienie według stron świata z precyzją, jakiej nie powstydziłby się żaden współczesny inżynier! Nie, to nie są przypadki. Szczegółowe pomiary i obliczenia wskazują, że w Wielkiej Piramidzie zakodowane są wszystkie parametry wszechświata, cała jego historia i przepowiednia przyszłości, a jak twierdzą niektórzy specjaliści nawet znacznie więcej.

Dromaderus nie próbował nawet ogarnąć wszystkich aspektów piramidologii, ograniczył się do zgłębienia funkcji monstrualnych ostrosłupów. Pod jego kierunkiem w ogrodzie na tyłach XIII Laboratorium wzniesiono kopię piramidy Cheopsa w dziesięciokrotnym pomniejszeniu i w nie to stało się tematem wielu złośliwych uwag, bo w dwa tygodnie później Dromaderus zapuścił brodę. Wprawdzie doktor twierdził, że eksperyment przebiegał znakomicie i tylko ktoś złośliwy w nocy ukradł żyletkę z piramidy, ale nikt w to nie uwierzył. Drugie doświadczenie również zakończyło się fiaskiem. Chodziło o to, że zgodnie z orzeczeniem niektórych badaczy piramid nie były one grobowcami, a czymś w rodzaju hibernatorów. Doczesne szczątki faraonów w stanie odwracalnej śmierci miały w nich spoczywać do czasu powtórnych odwiedzin Ziemi przez kosmitów, a wówczas przywróceni do życia władcy Egiptu mieli zdać sprawozdanie z wykonania poleceń, jakie kosmici wydali im podczas poprzedniej bytności na naszym globie. Wynika stąd wniosek, że wszelkie substancje organiczne w piramidzie nie powinny ulegać rozkładowi, a przynajmniej rozkładać się wielokrotnie wolniej. Aby sprawdzić tę hipotezę Dromaderus w swojej budowli zgromadził spore ilości mięsa, ryb, serów, warzyw i owoców. Lato było upalne i po miesiącu do piramidy można się było zbliżyć tylko od nawietrznej. Pracownicy XIII Laboratorium, szczególnie ci z niższych pięter gmachu zażądali przerwania eksperymentu grożąc strajkiem. Dromaderus apelował o cierpliwość; jego zdaniem odór z czasem powinien zelżeć, aż przeciągające się pertraktacje przerwała interwencja stacji sanitarno-epidemiologicznej. Doktor pod groźbą wysokiego mandatu w masce tlenowej przez trzy dni czyścił piramidę i dezynfekował jej wnętrze.

Te dwie porażki nie zahamowały postępu badań. Doktor nie zamierzał się poddać i przystąpił do trzeciej fazy eksperymentów. Chodziło w niej o ustalenie, jaki wpływ na organizmy żywe ma przebywanie we wnętrzu piramidy. W tym celu powiększono nieco centralną komorę i ustawiono w niej łóżko polowe. Dromaderus, jak przystało na prawdziwego naukowca, rozpoczął doświadczenia od siebie. Codziennie od ósmej do trzynastej owinięty w prześcieradło, z rękami złożonymi na piersiach jak mumia leżał w piramidzie, a po każdym seansie poddawał się kompleksowym badaniom których wyniki miały stanowić materiał do analizy i wniosków.

Już po paru tygodniach doktor stwierdził u siebie znaczną poprawę zdrowia. Ciśnienie krwi opadło do poziomu niemal idealnego, rytm serca unormował się, wątroba i nerki funkcjonowały bez zarzutu. Wprawdzie doktor Żużel z właściwą sobie zgryźliwością oświadczył, że takie efekty wystąpiłyby u każdego, kto by się codziennie przez pół dnia wylegiwał i to niekoniecznie w piramidzie, ale Dromaderus zignorował tę uwagę. Pewien dobroczynnego wpływu piramidy na organizm człowieka zaproponował leczenie znerwicowanemu Bezmózgowowi. Docent sceptycznie nastawiony do całej sprawy opierał się dosyć długo, lecz uległ w końcu namowom. I rzeczywiście terapia odniosła skutek. Wystarczyło sto dwadzieścia pięciogodzinnych seansów, aby wyczerpany pracą Bezmózgow powrócił do swej normalnej kondycji psychofizycznej.

Wieść o rewelacyjnej metodzie leczniczej Dromaderusa rozeszła się lotem błyskawicy i wkrótce XIII Laboratorium zostało dosłownie oblężone przez pacjentów szturmujących bramę wejściową. Nie mogąc w żaden sposób opędzić się od tej masy ludzkiej, doktor najpierw skracał czas seansu, a że przepustowość piramidy i tak okazała się za mała, został zmuszony do uruchomienia drugiej, a w końcu i trzeciej zmiany tak, że przez całą dobę kolejka pacjentów krok za krokiem przesuwała się w stronę kamiennego ostrosłupa.

Wszyscy okoliczni uzdrawiacze zgrzytali zębami, bo stracili klientów, a tym samym źródło sporych dochodów. Napisali nawet donos na Dromaderusa do urzędu skarbowego, ale doktor z łatwością odparł zarzuty: od seansu w piramidzie nie pobierał żadnej opłaty. Z pacjentami szło mu jednak gorzej niż z urzędem. Tysięczny tłum napływał już z odległych nawet stron kraju i tak jak kiedyś doktor nie wiedział, jak zdobyć pacjentów, tak teraz nie wiedział, jak ograniczyć ich ilość. Chciał się w tej sprawie poradzić dyrektora laboratorium, ale docent Fus wyjechał na urlop nie zostawiając adresu. Wszyscy członkowie rady naukowej byli bardzo zajęci i w efekcie Dromaderus został sam ze swoim problemem.

Nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło, gdyby nie pogłoska — podobno jej autorem był doktor Żużel, ale nigdy się do tego nie przyznał — że własności uzdrawiające ma nie tylko piramida, ale również kamienie, z których została zbudowana. Efekt tej plotki był natychmiastowy: pacjenci zaczęli ukradkiem wyłamywać ze ścian budowli najpierw mniejsze, a potem i większe kamienie. W dzień kolejkę można było jeszcze jakoś upilnować, lecz w nocy proces rozbiórki postępował w zastraszającym tempie. Po tygodniu piramida Dromaderusa przedstawiała opłakany widok, a w parę dni później, na skutek osłabienia ścian, zawaliła się centralna komora i terapeutyczne seanse trzeba było przerwać. Doktor machnął ręką; ruin nie było już sensu pilnować, a w opuszczonym ogrodzie rozbiórka trwała tak długo, aż pozostał tylko jeden głaz z fundamentów, którego bez dźwigu nie sposób było ruszyć.

I taki był finał sensacyjnych wydarzeń, bo funduszy na budowę drugiej piramidy doktor Dromaderus już nie uzyskał.

Komunikatywny humanoid

MICHAIŁ PUCHOW

Ryba w zasadzie nie brała. Słońce odbijało się w jeziorze już półtorej godziny, a ja siedziałem bez połowu. Zresztą w łowieniu ryb ważny jest sam proces łowienia. By coś złapać trzeba się zaszyć w głuszy, gdzie pod zatopionymi pniami drzew stoją nieruchomo szczupaki, a na dnie poruszają wąsami sumy. Ale do takich miejsc można dojechać tylko podczas urlopu.

Raptem jakiś cień przesłonił słońce. Zmrużywszy oczy popatrzyłem w tej stronę i zobaczyłem aparat latający w kształcie talerza, aparat z tych z jakimi, moim zdaniem, stykało się wielu. Dysk szybko zbliżał się. Po jego gładkiej powierzchni spływała cienka warstewka mgły.

No cóż, to sprawiedliwe. Jeśli mieszkańcy jakiegoś prowincjonalnego miasteczka prawie że codziennie spotykając przybyszów dochodzą z nimi do pełnego porozumienia, to czy my mamy być gorsi? Osobiście zawsze wierzyłem w latające talerze i inne NOL-e.

Dysk wisiał już bezpośrednio nad moją głową. Mgła spływała po jego opływowym dnie niczym para z burt gotowej do startu rakiety. Potem proces ten ustał i dysk miękko runął w krzaki w odległości jakichś trzydziestu metrów ode mnie.

Oczywiście stałem już na równych nogach zapomniawszy o wędce. Spoza dysku wyłonił się humanoid, naprawdę bardzo podobny do człowieka i skierował się w moją stronę.

— Dzień dobry — powiedział zupełnie poprawnie i obejrzał się na swój latający aparat. W burcie dysku widniało duże wgniecenie, które zauważyłem dopiero teraz. **— Przez przypadek nie pamięta pan gdzie okaleczyłem swoje magado? I dlaczego jestem sam?**

Naturalnie z lekka speszyłem się wskutek niespodzianki jaka mnie spotkała. Jednakże nie chciałem się zbłamować. Odpowiedziałem jak tylko można najspokojniej:

— Nie wiem.

— A więc nie spotykaliśmy się wcześniej — wyciągnął wniosek humanoid. **— Tak też przypuszczałem. To znaczy, że nie będzie pan w stanie poinformować mnie, czy od dawna znajduję się na tej planecie.**

Nie było na to co odpowiedzieć. Zresztą odpowiedzi nie było. Milczałem, zbierając myśli.

Humanoid stał obok mnie i patrzył na nieruchomy spławik.

— W ogóle nie bierze?

— Skąd pan wie? — zdziwiłem się.

— Zaraz poinformuję **mnie pan o tym** — spokojnie wyjaśnił humanoid. Logiki w tej wypowiedzi nie znalazłem. Tyle, że istota nie miał racji.

— Tak — powiedziałem. **— W ogóle nie bierze. Normalna sprawa.**

I chwyciłem za wędkę, **by wyjąć ją z wody. Żeby nie odwracała uwagi.**

— Niech pan zaczeka — powiedział humanoid. **— Zaraz złapie pan rybę.** Podciąłem. Wędka wygięła się. Coś takiego nie zdarzyło mi się przez całe lato.

— Ryba!...

— Teraz można ciągnąć — powiedział humanoid. **— Więcej niczego dzisiaj pan nie złapie.**

Podporządkowałem się. Wierzyłem humanoidowi. **Nie pamiętał,** ile czasu spędził na Ziemi, ale przyszłość przepowiadał jak zawodowiec.

— Prawdopodobnie przebywa pan u nas dość długo — wyraziłem przypuszczenie.

— Dlaczego tak pan sądzi?

— Dobrze pan mówi po rosyjsku, a nasz język jest trudny do nauki. Logiczne?

Humanoid uśmiechnął się. Jego mimika też była całkowicie ludzka.

— Nie. Jeśli nieźle mówię po rosyjsku, to nie dlatego, że kiedyś uczyłem się języka. W takim wypadku byłbym go oczywiście zapomniał.

— Nie rozumiem.

— Brzmi to dla pana niezwykle — zgodził się humanoid. **— Ale każda istota żyje nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Po to by móc określać swe miejsce w świecie dysponujemy specjalnymi organami zmysłów. Organy orientacji przestrzennej to oczy, uszy itd. Zmysły orientacji w czasie są dwa — pamięć i intuicja, czyli zdolność przewidywania przyszłości. Gdybyśmy ich nie posiadali, podobni bylibyśmy do martwej materii, dla której pojęcie czasu pozbawione jest sensu.**

— Przypuśćmy — powiedziałem. **— Jest to interesujący punkt widzenia, ale...**

— Zrozumie mnie pan — przepowiedział humanoid. **— Prawdopodobnie zauważył pan, że wasze zmysły czasu są niesymetryczne. Wy ludzie macie dobrą pamięć, ale prawie nie posiadacie zdolności przewidywania przyszłości. Jeszcze nie wiecie, że jest to uniwersalne prawo przyrody: z dwóch zmysłów czasowych jeden obowiązkowo dominuje. Prawo to odnosi się i do moich współplemieńców. Ale u nas nie jest tak jak u ludzi. Nasza pamięć jest słaba i nie pamiętamy swej przeszłości. Jest ona dla nas równie mglista, jak dla was przyszłość. Mamy za to rozwiniętą zdolność przewidywania, dlatego też znamy przyszłość.**

— Ale przecież to strasznie niewygodne! W jaki sposób radzicie sobie z życiem bez pamięci?

— Za to pamiętamy przyszłość. Zapewniam pana, że jest nie mniej wygodne. Na przykład, wygłaszając długie zdanie zawsze nie wie pan, jakimi słowami je pan zakończy, ale pamięta pan jego początek i pytanie, na które odpowiada. Ja natomiast pamiętam koniec zdania i następną replikę rozmówcy. Na przykład teraz zamierza pan powrócić do problemów językowych.

— Zgadł pan — zgodziłem się. **— Jaki związek wiedza ta ma ze znajomością języka?**

— Spędzę u was kilka dni — wyjaśnił humanoid. **— Bez wątpienia przez ten czas zdążę nauczyć się języka, a teraz jasno widzę cały proces nauki i dlatego z góry znam język. Ma się rozumieć, potem go zapomnę.**

Wyobraziłem sobie jak uczy się języka. W świetle tego co powiedział wyglądało to tak. Rozmawia ze mną, z innymi, a mówi coraz gorzej i gorzej. Im więcej mówi, tym gorzej zna język. Potem zasiada do podręczników i słowników, i definitywnie wszystko zapomina. Opuszcza Ziemię.

— Skąd pan przyleciał? — zainteresowałem się.

— Nie pamiętam.

— Aż tak? Nie pamięta pan, gdzie i kiedy się urodził?

— Naturalnie — powiedział humanoid. **— Nasza przeszłość podobna jest do waszej przyszłości. Wie pan kiedy umrze?**

— A pan to wie?

— Ma pan siebie na myśli? — Humanoid wzruszył ramionami. **— Oczywiście, że nie. Pan przecież też nie zna daty moich urodzin.**

Odpowiadać na to nie było sensu. Jak można walczyć z prawem przyrody? Wszystko jest symetryczne w czasie. Ani on, ani ja nie znamy dnia jego urodzin. I obaj nie możemy niczego powiedzieć o mojej śmierci.

— Pan pamięta swą indywidualną przeszłość — kontynuował. **— Ja znam swoją indywidualną przyszłość. Ale niech pan nie spodziewa się, że usłyszy ode mnie coś istotnego dla pana. Przyszłość, którą znam, jest dla pana nieciekawa. A dla mnie niewielki pożytek z pańskiej przeszłości, nawet jeśli opowie pan o niej ze szczegółami.**

Miał rację. Przypuśćmy, że zażądam od niego kombinacji cyfr, które wygrywają w „Sportloto". Tylko, że on nie zna tej kombinacji. W przyszłości nawet do głowy mu nie przyjdzie zerknąć na tablicę. A jeśli poproszę go, by to zrobił, zaraz zapomni o mojej prośbie.

Ostatecznie ja przecież również nie pamiętam, jakie cyfry wygrały w ostatnim losowaniu.

— Przeszłość spowija mrok — powiedział humanoid. **— Gdyby pan wiedział jakie to smutne. Kto opowie mi o mej przeszłości? Dlaczego jestem sam? I skąd przybyłem?**

— Gdzieś stamtąd. — Pokazałem w górę.

— Dziękuję za informację — podziękował. **— W zamian za to poinformuję pana o czymś z pańskiej przyszłości. Kiedy odlecę — a to nastąpi lada moment — będzie pan stać z zadartą głową i patrzeć w ślad za mną. Bardzo wyraźnie widzę ten obraz.**

Obaj milczeliśmy.

— A propos, co pan tu robił? — zapytał niespodziewanie.

— Łowiłem ryby — odpowiedziałem. **— Potem pan przyleciał. Stamtąd, od strony słońca.**

W rozmowie dał się zauważyć przełom. Przedtem pytania zadawałem ja, teraz robił to on. Nic dziwnego: moja pamięć wzbogacała się, jego zdolność przewidywania ulegała zmniejszeniu. Ja wiedziałem o nim coraz więcej, on o mnie coraz mniej. Teraz ja rozumiałem lepiej niż on, że żadnego pożytku z naszego kontaktu nie będzie.

Powiedziałem:

— A więc zaraz odleci pan swym magado.

— Skąd pan wie, że ono się tak nazywa?

— Sam je pan tak nazwał.

— Tak, możliwe. — Humanoid, uśmiechnąwszy się ponuro, popatrzył na mnie z nikłą nadzieją. **— A więc nie powiedzieliśmy jeden drugiemu niczego ciekawego?**

— Nie — powiedziałem.

— Niestety tak będzie zawsze — oznajmił. **— Żegnaj.**

— Szczęśliwej podróży.

Odwrócił się do mnie plecami i pomaszerował przed siebie rozsuwając krzaki. Spieszący w swą przyszłość humanoid już mnie nie pamiętał. Po dysku popłynęła włóknista mgła i aparat bezgłośnie wzbił się w czyste poranne niebo. Stałem na brzegu jeziora i zadarłszy głowę patrzyłem w ślad za nim. Jeszcze teraz bardzo wyraźnie widzę ten obraz.

Przekład: MICHAŁ SIWIEC

1

Nagłe zastępstwo

Fotoplastykon

Coś drgnęło w naszym handlu! Oto prasa doniosła, że wprowadza się stopniowo otwieranie sklepów w wolne soboty — na początek sklepy spożywcze o kilkuosobowej obsadzie. „Docelowo" (ładne słowo z ministerialno-telewizyjnego słownika) — wszystkie soboty handlowe!

Kto by to przypuszczał! Sklepy otwarte w soboty! Cud jakiś albo co? A przecież w większości cywilizowanych krajów soboty są nie tylko „handlowe", ale nawet bardzo handlowe! Jedna z weekendowych rozrywek Francuzów czy Amerykanów to właśnie shoping. No, oczywiście Rockefellery shopingu nie uprawiają, oni spędzają wolne soboty i niedziele w górach, nad morzem, na własnej farmie itp. Nasz handel zachowywał się dotąd jakby w Polsce były same Rockefellery, co to w piątkowy wieczór siadają w swoje Rolls-Royce i mkną do swych letnich pałaców. Tymczasem, jak skądinąd wiadomo, Polska ma wolną sobotę po to, żeby mieć prawdziwą wolną niedzielę, mianowicie pierze, sprząta, pitrasi, ceruje itd. *Ale kupić nic nie może! Co to, to nie...* Handel przeciętną Polkę traktuje jak damę i nie pozwala jej w wolny dzień postać w kolejce.

Może to pierwszy krok na drodze do uznania, że nie ma u naszym kraju żadnych wolnych sobót. Że mamy zmniejszony czas pracy, pozwalający nam na dodatkowe dni wolne w tygodniu. Wolne czwartki czy wtorki, czy soboty. Jak tam komu to wynika z organizacji pracy. A z organizacji pracy w sklepie, w kinie, w tramwaju i autobusie — wynika akurat, że trzeba pracować w soboty. *Jeśli to* komuś nie odpowiada, *to można zmienić* zawód.

Jeszcze większe wrażenie zrobiła na mnie innowacja handlowa, którą przedstawił dziennik TV w dniu 25 września. Osłupiały telewidz dowiedział się mianowicie, że stołeczne Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego znalazło sposób za zapełnienie pustych wnętrz sklepów sprzedających pralki, lodówki i zamrażarki. Sklepy te zamieniono w wystawy tego sprzętu. Stoją sobie rzędami różne typy pralek i lodówek, można popatrzeć, nawet dotknąć... tylko kupić nie można! Takie muzeum, galeria czy jeszcze coś innego...

Stoi toto i tylko denerwuje klienta. Brak tylko wielkiej dłoni zaciśniętej w „figę", która w tych sklepach winna zdobić wystawy.

Pomysł jest przedni i pewnie wkrótce zostanie przeniesiony do innych branż: w sklepie mięsnym wielka galeria smakowitych wędlin. Właściciel dwu i półkilogramowego przydziału kartkowego niech sobie popatrzy na ogromne, dziesięciokilowe szynki, na kilometry kabanosów, na gigantyczne schaby. Nie dotykać eksponatów! Muzeum mięsa, a w nim wernisaż wystawy pt. „Jak Polacy jadali".

W sklepie z odzieżą, zamiast sprzedaży byle jakich ciuchów — nie ustająca rewia mody. Smukłe modelki, przystojni, wysocy chłopcy — modele. A na nich wszystko to, co chcielibyśmy nosić, a czego nosić nie będziemy. Płaszcza, kiecki, garnituru, pidżamy. Wielka rewia non stop od dziesiątej rano do szóstej po południu! Wiele atrakcji, najnowsze kolekcje Telimeny, Mody Polskiej itp. itd. Na zakończenie rewii prezenter zgina rękę w łokciu w znanym na całym świecie geście:

— Dobranoc państwu, zapraszam na jutro! Jutro znów popatrzycie!

Ja ten pomysł też kupuję. Od dawna zastanawiam się, z czego będę żył, jak mój szef dojdzie do wniosku, że wypisuję w felietonach same nieprawomyślne bzdury i wyrzuci mnie definitywnie i bezapelacyjnie na bruk. Otóż w takiej sytuacji rozgoryczony Polak zakłada prywatny interes — może być butik albo sklep warzywny, może być ajencyjna kafejka. A ja założę prywatne biuro podróży, groźną konkurencję dla Orbisu — fotoplastykon mianowicie założę! A w nim, jak w czasach mego dzieciństwa, programy: „Piramidy Egiptu", „Rzym i jego zabytki", „Dżungla nad Amazonką". „Architektura mauretańska na półwyspie iberyjskim", „Drapacze chmur w Nowym Jorku" itd. itp. Bez wiz i dewiz! Tylko u mnie rozkosze prawdziwej, zagranicznej turystyki za dychę! Uczniowie i żołnierze służby zasadniczej płacą połowę!

ANDRZEJ KAROL

PS. Korzystając z tego, że dzierżawię w redakcji „Odgłosów" ćwierć kolumny druku, pozwalam sobie zamieścić dzisiaj felieton nieco krótszy. Resztę miejsca poświęcam na ogłoszenia:

Mam pomysł, poszukuję wspólnika z gotówką, ew. pożyczki na godziwy procent.

Kupię lub wydzierżawię lokal w śródmieściu, koniecznie na parterze.

Zakupię każdą ilość kolorowych przeźroczy przedstawiających pejzaż i architekturę z różnych krajów świata.

Zatrudnię elektryka — oświetleniowca.

Zatrudnię pannę o miłej powierzchowności w charakterze kasjerki.

Oferty pod „Andrzej Karol — „Odgłosy".

A. K.

2

Spojrzenie znad szachownicy

Rzucam myśl, a Wy ją łapcie

Na wstępie chciałbym się raz jeszcze zastrzec, choć czyniłem to już podobnymi słowy w przeszłości. Otóż: opinie zawarte w tych tekścikach imitujących felietony nie wyrażają poglądów redakcji „Odgłosów", a jeżeli nawet, zbieżność jest czysto przypadkowa i niezamierzona przez autora.

Jesteśmy niezależnym, samorządnym, a nawet samofinansującym się Jerzym P. i nikt nam nie będzie dyktował, co mamy pisać i z kim wchodzić w ewentualne konszachty. Zarazem nikt też — gdyby narobiła się z tego jakaś draka — nie musi za nas nadstawiać tyłka.

Co rzekłszy mogę już przystąpić do rzeczy.

1.

Zadeklarowawszy się jako stały odtąd czytelnik, a w przyszłości nawet prenumerator „Veta", uzyskałem — jak mniemam przynajmniej — prawa szacownego klienta, z których zamierzam bez zwłoki skorzystać. Zarazem nie jestem taki, iżby przychodzić w gości z pustymi rękami. Rzucam oto myśl, a nawet parę myśli, a Wy je, jeśli ochota, łapcie. Może któraś się akurat nada — będzie mi przyjemnie. Może wszystkie okażą się do bani — tys piknie. Zawsze przecież — patrz tekst sprzed tygodnia — możemy zagrać w szachy, a choć wiem, że przeważnie wszystko wiecie trochę lepiej, to wiem też, że prawdopodobnie gracie nieco gorzej...

2.

CO DO ALKOHOLIZMU. Władysław Broniewski — arzkolwiek w wąskim gronie prywatnym i prozą — powiedział kiedyś nie bez złości: „Moim zdaniem najlepszą formą walki z alkoholizmem jest dobra zakąska".

Z kolei pewien lekarz, specjalizujący się w problematyce tak zwanego odwyku, zwykł powiadać nie całkiem jeszcze zidiociałym i rokującym pewne nadzieje pacjentom: „Jeżeli zacznie za panem „chodzić" wódka", proszę kupić i zjeść tabliczkę czekolady. Jest duża szansa, że trafi pan grzecznie do domu i jeszcze kupi żonie po drodze kwiaty..."

Sposób jest wypróbowany i wcale dobry, a czekolada — nawet kupowana w prywatnym sklepie — to razem z kwiatkami mniej więcej tyle, co pół litra. Pierwsze pół litra, a przecież po nim pójdą inne...

Zarazem jeżeli „Veto" chce propagować kulturę picia — w czym pismu szczerze życzę powodzenia — radzę nie zapominać o zakąsce. Małe opakowania to pół sprawy, zawsze można skoczyć po następne, natomiast co zakąsimy — to nasze. I dopiero nazajutrz zaczyna się odczuwać różnicę pomiędzy piciem na pusty żołądek, a piciem powiedzmy, pod golonkę.

4.

CO DO ZAKĄSKI. Po wszystkich mocnych, agresywnych artykułach, jakimi „Veto" częstuje czytelnika, rad bym na zakąskę przeczytać taki prosty, liryczny niemal kawałek, objaśniający mnie, niedouczonego humanistę, jak to u nas właściwie jest z tą rodziną.

Pewien świeżo upieczony magister łatwej do odgadnięcia specjalności powiedział bowiem przy ludziach całkiem bezceremonie, iż „współcześnie rodzina jest nieopłacalna ekonomicznie" a nawet zaczął to argumentować, ja zaś zapomniałem języka w gębie. Uprzejmie proszę więc o solidne kontrargumenty.

Typek powiedział, że jeżeli *kocha się kobietę*, to nie wolno jej robić *takiego świństwa*, jak ożenek. Bo jeżeli ona przypadkiem miała coś w rodzaju mieszkania i my mieliśmy coś w rodzaju mieszkania, to teraz zamiast dwóch będziemy mieli jedno. Jeżeli zaś ona nie miała, a my mieliśmy, to my zostaniemy przy swoim, a ona przesunie się do przodu w kolejce po nowe, zwłaszcza jeżeli tej swojej ukochanej kobiecie zrobimy dziecko. Alimenty wprawdzie będziemy płacić, ale ona i tak dostanie pożyczkę — potem umorzą w większej części — bo przecież to panna z dzieckiem.

Opłaty za przedszkole, czy dopłaty do wczasów pracowniczych wylicza się wedle dochodu na członka rodziny, jednak podatek wyrównawczy już nie; obniża się wprawdzie podstawę wymiaru w przypadku żony całkiem niepracującej, lecz nie daruje ani centa w przypadku żony zarabiającej źle. Łatwo wyrachować, że ekonomicznie kochanka opłaca się lepiej.

No i tak dalej, i tak dalej — ten facet wręcz twierdził, że gdyby wziął ślub, jego promotor dostałby ataku apoplaksji, zaś ci, którzy dali mu dyplom magistra ekonomii, powinni mu takowy odebrać, degradując do prostego maturzysty, albo i jeszcze niżej.

Szanowny redaktorze Nałęcz-Jawecki, nie żartuję, ja naprawdę nie umiałem rozgromić w dyskusji nosiciela tych głęboko cynicznych poglądów, ale wierzę, że ma Pan pod ręką kogoś, kto to potrafi. I ten ktoś zechce mi udzielić porady, jak z podobnym draniem polemizować (jeżeli — z przyczyn towarzyskich — nie chcemy lub nie możemy dać po prostu bydlakowi w mordę).

3.

CO DO SZACHÓW. A w ogóle byłoby najpiękniej, gdyby „Veto" wprowadziło dział szachowy, ale taki z biglem, bo u nas w szachowym światku letnia woda i ktoś powinien koniecznie tę wodę podgrzać. Z podobnego działu byłoby tysiąc i jeden pożytków; tysiąc pominę, a tysiąc pierwszy wygląda tak, że widząc w składzie redakcji porządnego szachistę nie ośmielałbym się tak zuchwale rzucać wyzwania do pojedynku z racją czy bez racji.

Kreślę się z szacunkiem pełnym imieniem i nazwiskiem

JERZY PANASEWICZ

3

Sport

Dobrze, ale nie beznadziejnie

Ogląda człowiek mecz piłki nożnej, wyrabia sobie opinię o grze obu drużyn, a następnego dnia czyta różne sprawozdania i komentarze i porównuje swoją opinię z innymi. Albo są zgodne, albo nie. Różnie to bywa. Tylko, że wtedy mniej się zwraca uwagi na pewne — powiedzmy — drobiazgi, ozdobniki, określenia, zastrzeżenia, obwarowania, uniki. Tym razem czytałam sprawozdania i komentarze szczególnie uważnie, nie było mnie bowiem dość długo w Łodzi, a chciałam wiedzieć, co i jak działo się na piłkarskich boiskach.

Urlop spędziłam w lesie, telewizji nie oglądałam, gazet nie czytałam, czasem tylko słuchałam wiadomości w radiu. Pełny relaks. A tu europejskie puchary, a tu mecz z Finlandią i Turcją. Wzięłam więc po powrocie gazety sportowe, aby dowiedzieć się, jak było i co nasze drużyny czeka w niedługim już czasie, kiedy przyjdzie stanąć do rewanżu. No i dowiedziałam się...

W „Piłce Nożnej" J. L. próbuje mnie zapewnić, że wszystko jest „w normie". Taki tytuł nosi jego komentarz. Więc się nawet ucieszyłam. Norma jest to pojęcie pozytywne. Można je uznać za synonim — jest dobrze.

To „dobrze" można odnieść do rezultatów Wisły i Widzewa, które to drużyny wygrały swoje mecze i mają szansę na awans do drugiej rundy. W piłce nożnej — o czym wie każdy kibic — zdarzają się jednak różne sytuacje i o awansie zadecydują dopiero następne mecze. Już nieraz widziałam jak pewniaki przegrywały. Ale skoro wszystko jest w normie, to można mieć nadzieję, że obie drużyny ze swej szansy potrafią skorzystać.

J. L. nie jest jednak o tym tak do końca przekonany, gdyż pisze, że „styl, w jakim polskie drużyny sięgnęły po zwycięstwa nie był najlepszy". Teraz i ja już nie wiem, czy „nie najlepszy styl" — to jest norma, czy nie? Byłabym skłonna raczej sądzić, że jest to poniżej normy i że te szanse na awans do drugiej rundy są raczej problematyczne. A może piłkarska norma polega na przegrywaniu pucharowych meczów, choć przecież wiem, że Widzew potrafił gromić utytułowanych przeciwników. Cóż więc jest normą?

Czytam dalej:

„Większego zaskoczenia jednak nie było. W normie są również przegrane Lecha z Liverpoolem w Pucharze Mistrzów i Pogoni z IFC Koeln w Pucharze UEFA. Potwierdzają one dystans dzielący nasze klubowe piłkarstwo od europejskiej czołówki".

Na wszelki wypadek sprawdziłam, czy nie pomyliłam pism i przypadkiem nie wzięłam „Szpilek" za „Piłkę Nożną". Ale, nie. Wszystko jest w porządku. Zatem normą w polskiej piłce nożnej jest przegrywać i mieć dystans do europejskiej czołówki. Dziwna to norma.

J. L. nie ma wątpliwości, że Lech pokona Liverpool na własnym boisku i przejdzie do drugiej rundy. I słusznie. Natomiast uważa, iż szczecińska Pogoń ma „realną możliwość startu także w drugiej rundzie". A to niby dlaczego, skoro przegrała 1:2? Ano dlatego, że „wystarczy tylko wygrać w Szczecinie 1:0!". Daj im Boże! Ale przecież wyczytałam, że ta bramka dla Pogoni była podarkiem od piłkarza z Kolonii, który strzelił ją własnej drużynie. Więc szczecinianie w Kolonii nie strzelili przeciwnikowi ani jednej bramki. Jak mają ją strzelić w Szczecinie? Chyba, że będziemy mieli cud nad Odrą.

Nie koniec na tym. J. L. w swoich rozważaniach postanowił pójść na całość. Przekreślił wszelkie szanse Lecha, ale doszedł do wniosku, że tylko „pewne zastrzeżenia budzi postawa zawodników Lecha". Czyżby tak walecznie poczynali? Nie. „Oni jakby z góry pogodzili się z przegraną, jakby uznali, że w obecnej sytuacji żadna siła nie jest w stanie zrównoważyć wielkiego doświadczenia i wyższej w Europie pozycji Liverpoolu". I to są te „pewne zastrzeżenia". To przecież są całe zastrzeżenia, główne, generalne i zasadnicze. Bojaźliwa postawa Lecha ma być piłkarską normą?

A nasze reprezentacyjne zuchy?

„Przegląd Sportowy" ogłosił w tytule, że „reprezentacja nareszcie na dobrej drodze", ale zaraz w tekście wyjaśnił, że „Finlandia, jak i Turcja, to drugi rzut europejskiego futbolu, niemniej widać poprawę w grze reprezentacji". Gratulacje. Tylko wcale nie mam pewności, czy Albania nie sprawi nam lania, Grecja nie poprawi, a ja potem dowiem się, że „większego zaskoczenia jednak nie było".

Tego rodzaju sposób komentowania ktoś kiedyś trafnie sparodiował powiedzeniem: jest dobrze, ale nie beznadziejnie. Czyli w normie. A nie byłoby prościej i uczciwiej napisać, że z naszą piłką nożną nadal jest źle, że nasi grają niemrawo, nie potrafią strzelać, że mamy słabą drugą linię, że Antoni Piechniczek ciągle jeszcze buduje narodową reprezentację i nie wiadomo czy ją w ogóle zbuduje, że pucharowe rozgrywki ujawniają wszystkie słabości naszej pierwszej ligi? Może i prościej, tylko zaraz rozlegną się głosy o czarnowidztwie, rzucaniu kłód, krytykanctwie i tak dalej. Więc lepiej udawać, że jest dobrze, ale nie beznadziejnie.

BOGDA MADEJ

4

Lewym okiem

Kto chce płacić podatki?

Przypadkowo wpadł mi w ręce stary, bo sprzed półwiecza, artykuł o Szwajcarii (w miesięczniku „Droga" z 1935 roku). O sytuacji prawnej w tym kraju. Artykuł stary, ale — o ile wiem — konstytucja szwajcarska nie uległa w tym czasie istotnym zmianom, a w każdym razie nadal stanowi przykład najdalej posuniętej demokracji bezpośredniej.

Bezpośredniość demokracji szwajcarskiej polega na tym, że każda ustawa i uchwała parlamentarna, aby zyskać moc obowiązującą, musi być poddana powszechnemu referendum — za wyjątkiem tych uchwał, które zostaną uznane przez parlament za szczególnie nie cierpiące zwłoki. No i cóż się okazuje?

Projekt ustawy o powszechnym, bezpłatnym nauczaniu upadł w ogólnozwiązkowym referendum, bo obywatele słusznie przewidywali związane z bezpłatnym szkolnictwem zwiększenie powszechnych obciążeń podatkowych. Po cóż mam płacić większe podatki, skoro nie mam uczących się dzieci? — rozumował logicznie Szwajcar, wypełniając kartki odpowiednich formularzy. Z analogicznych powodów padła ustawa o emeryturach dla urzędników i robotników Związku Szwajcarskiego; była uchwalona jednogłośnie przez obie izby parlamentu, ale nie przeszła przez głosowanie powszechne.

Przepadła ustawa o zwalczaniu epidemii wśród ludzi, chociaż parę lat wcześniej przeszła ustawa o zwalczaniu epidemii wśród bydła. Wprowadzenie jakichkolwiek nowych obciążeń z reguły napotykało na opór społeczeństwa — co zresztą jest zrozumiałe i ludzkie. Nie można było wprowadzić żadnego nowego podatku: podatków nikt nigdzie nie płaci z ochotą, zawsze jest tu potrzebny przymus, a referendum w sprawach podatkowych to przecież zjawisko sprzeczne z pojęciem przymusu. Można było uchwalić wyjęcie konkretnej sprawy spod paragrafu o głosowaniu, ale taka uchwała musiałaby... przejść przez referendum. Kółko się zamknęło.

Jeśli mimo to ukazało się w Szwajcarii wiele mądrych, sprawiedliwych i postępowych aktów prawnych, to dlatego, że rząd i parlament nadawał im formę uchwał (nie ustaw), a jednocześnie ogłaszał, że dotyczą one spraw nie cierpiących zwłoki. W ten sposób korzystano z „wyjątku", przewidzianego w konstytucji, i nie odsyłano sprawy do referendum. Oczywiście — było to postępowanie niezgodne z konstytucją, bo jakiż to na przykład podatek „nie cierpi zwłoki"?

Przytoczenie szwajcarskich przykładów wydało mi się pożyteczne w związku z przygotowywaną u nas ustawą o konsultacjach społecznych. Jasne: konsultacja to nie referendum, chociaż i ta druga instytucja ma swoich zwolenników. Konsultacja to po prostu zwrócenie się do niektórych instytucji, grup społecznych, organizacji, może i do niektórych obywateli — z pytaniem: co o tym myślicie? Odpowiedzi nie wiążą ustawodawcy w żadnym stopniu, nic od nich nie zależy, one najwyżej „dają do myślenia". Ale to wcale nie jest mało. I może się zdarzyć, że poprawka do projektu ustawy zostanie wniesiona wcale nie dlatego, że żądała jej większość indagowanych; być może zaproponował ją ktoś jeden albo jedna tylko komórka społeczna — ale była to uwaga istotna, mądra, wskazująca na jakiś bardzo ważny, a nie dostrzeżony przez ustawodawcę element.

Referendum — to znaczący, ale ryzykowny krok w stronę demokracji bezpośredniej, nierealnej w swej idealnej postaci w licznym, wysoko zorganizowanym społeczeństwie nowoczesnym. Konsultacja społeczna to krok w stronę zbliżenia rządzących i rządzonych, otwarcia oczu i uszu na skomplikowane zjawiska społeczne, to oznaka dążenia do sumiennego przygotowania najważniejszych dla społeczeństwa decyzji.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

ZBIGNIEW NIENACKI

Raz w roku w Skiroławkach 38

O tym, że nie tylko rozpusta, ale i cnota złość ludzką wzbudza

Spoglądając w lustro Luiza zwróciła uwagę, że usta ma mocno zaciśnięte. To dlatego, że po pożegnalnej uroczystości powie wizytatorowi już całkowicie zdecydowanie a nawet stanowczo, że służbowego mieszkania w Skiroławkach nie zostawi i nie przeniesie się do Trumiejek. Trudno, niech ta młoda nauczycielka dojeżdża codziennie z tak daleka, ona nie opuści miejsca, gdzie żyła tyle lat. Tu zna wszystkich ludzi i wszyscy ją znają, w sklepie otrzymuje produkty poza kolejką, bo Smugoniowa była jej uczennicą. Z okien mieszkania widać drogę przez wieś, a także dróżkę do starego młyna. To przecież dzięki temu, że okna jej mieszkania wychodzą także i na stronę młyna, wypatrzyła ten ohydny zwyczaj chodzenia tam po to, aby gromadnie i po omacku raz w roku w gęstych ciemnościach zażywać wspólnej rozkoszy. Ilu ludziom już zwierzyła w tajemnicy tę sprawę? Niektórzy mieli ją za starą wariatkę, ale na przykład pani Renata Turoń, kobieta niezwykle wykształcona, całą tę historię dokładnie opisała w swoim czerwonym brulionie. Zdarzało się potem, że różni ludzie z Trumiejek, a nawet z Bart pytali ją dyskretnie, czy to prawda, że w Skiroławkach raz w roku wszyscy żyją z wszystkimi jak zwierzęta. I ona, niestety, musiała ten fakt potwierdzić, choć zastrzegła się, że nie zna dokładnych szczegółów. Nie bywała tam przecież, a ci, co brali udział — rzecz jasna — nie chwalili się. To oni właśnie nazywali ją starą wariatką. Ludzie w Skiroławkach są źli, zepsuci, rozpustni — odpłacają złym za dobre, potrafią każdego, nawet ją — oplotkować i obrzucić oszczerstwami. Ale przywykła już do nich i do swego małego mieszkania na piętrze szkoły. Z okien domu w Trumiejkach widać było tyły jakiejś brzydkiej szopy, a tu — i drogę, i ścieżkę w stronę starego młyna. Polubiła ów widok, potrafi godzinami siedzieć w oknie i patrzeć kto i dokąd idzie, domyślać się, jakie sprawy ludzi prowadzą w różne strony, ponieważ znała wszystkich i ich sprawy. W Trumiejkach tego nie będzie. Zresztą, czy młoda nauczycielka zechce tutaj pozostać na dłużej? Przejmie mieszkanie po starej nauczycielce, a potem pozna jakiegoś mężczyznę i przeniesie się z nim w drugi koniec kraju. Ile takich już widziała w szkole, zanim kierowniczką nie została pani Halinka? A zresztą, czy pani Halinka była lepszą? Nie uciekła z drwalem jak tamta przed piętnastu laty, ale też porzuciła męża i przeniosła się do malarza Porwasza, który jak spojrzy na kobietę swoimi pałającymi oczami, to aż dreszcze strachu ją przeszywają. Tamta, przed piętnastoma laty, ładna i inteligentna, zakochała się w zwykłym drwalu, tyle że mężczyźnie dość przystojnym, rosłym i czarniawym na twarzy. Najpierw cichaczem prowadzali się po lasach i młodnikach, gdyż ona mieszkała w wynajętym pokoiku na piętrze domu Widłągów, on miał we wsi żonę i dwoje dzieci. O czym tych dwoje mogło ze sobą rozmawiać, skoro ona była wykształcona a on prostak. I że ich nie obchodziło, co też ludzie powiedzą o ich wspólnych spacerach po lesie i schadzkach w młodnikach! Potem ona zaszła w ciążę i razem uciekli gdzieś hen, aż nad zachodnią granicę. Pozostała we wsi żona drwala i dwoje dzieci, które przez długi czas nie wiedziały, gdzie jest ich ojciec. A tamtych dwoje niedługo cieszyło się swoim szczęściem. Ona urodziła, znowu w jakiejś szkole uczyła, on pracował jako prosty robotnik. Po jakimś czasie za ciemny i za głupi się dla niej okazał, rzuciła go dla kierownika szkoły i z nim podobno do dziś żyje, i ma jeszcze dwójkę dzieci. Takiej los sprzyja, zazwyczaj dostaje mężczyznę porządnego, niepijącego, kulturalnego, podczas gdy inne, te uczciwe i porządne, muszą przez życie przejść samotnie. Drwal wrócił do Skiroławek, do żony i dzieci, później z nimi przeniósł się do innego nadleśnictwa. Albo ta druga, która na Luizie natychmiast zrobiła wrażenie nieposkromionej w swych żądzach. Przybyła do Skiroławek z dwojgiem dzieci, jako rozwódka. Brzydka, brzuchata i przecież nie taka znowu młoda. Na obiady do siebie zapraszała młodziutkiego stażytę leśnego, chłopaka dwudziestotrzyletniego, chyba jeszcze niewinnego, bo spojrzenie miał czyste i rumienił się na widok dziewcząt. Obiady mu robiła i tak go do siebie ośmieliła, że świata za nią nie widział, i wreszcie się ożenił, z nią starszą od siebie kobietą z dwojgiem dzieci. Jako inżynier leśnik razem z nią wyjechał w inne strony, gdzie z czasem stał się nadleśniczym, a ona panią nadleśniczyną. Sztuczkami miłosnymi musiała go do siebie przywiązać, że ani spojrzał na młode dziewczyny, tylko za tamtą, brzuchatą i starą bez przerwy łaził, łasił się do niej, w oczy zaglądał, każde życzenie spełniał. Myślała o tych sztuczkach Luiza, chciała poznać całą ich okropność. Mieszkała ta nauczycielka w dwóch pokojach z kuchnią na parterze w dużym domu Kurta Webera. Którejś nocy Luiza zakradła się pod okna jej mieszkania i przez szczelinę w niedokładnie zasuniętych firankach widziała ich w świetle nocnej lampki. Robili to przy świetle, nadzy, na podłodze, na stołku, na stole. Luiza pierwszy raz w życiu zobaczyła, co potrafi z mężczyzną czynić kobieta wyzuta ze wstydu, lubieżna, opanowana przez żądze. Pod ich oknem trzęsła się ze wstrętu i upajającej ciekawości, co noc chodziła pod to okno, dopóki Kurt Weber nie sprawił sobie głośno ujadającego kundla. Wiele nocy zastanawiała się potem Luiza, czy i ona zdolna byłaby do podobnych postępków. Niekiedy miała przekonanie, że tak — mogłaby, po [illegible] i z kimś bardzo młodziutkim, który [illegible] nie zdawał sprawy, że robi z nią coś zdrożnego i wstydliwego. Tylko że już jej było czterdzieści pięć lat i nie znajdowała odpowiedniego partnera. Upatrzyła sobie trzynastoletniego chłopca w swojej klasie i na wycieczce szkolnej wzięła go pod swój koc pod pretekstem, że zmarzł. Ale dziewczyny z klasy to wypatrzyły, a może się domyśliły (nie ma na świecie bardziej złośliwych istot niż dojrzewające dziewczęta), drwiły z chłopaka i on zaczął od niej stronić. Nie próbowała z nim nawiązać ponownych kontaktów, bo bała się, co ludzie o tym powiedzą. Aby dowieść dziewczętom, że chłopaka nie faworyzuje, o mało nie pozostawiła go na drugi rok w tej samej klasie. Lecz i tak właśnie z tego powodu plotkowano, a ona się tymi plotkami gryzła. Rzadko ludziom dawała temat do plotek, a przecież wciąż o niej złośliwie mówiono, ponieważ żyła bez mężczyzny. Nawet kiedy małego pieska, jamnika, kupiła, zaczęto we wsi gadać, że przyuczyła go do miłosnych uciech. Musiała psa oddać znajomym — i potem długo za nim tęskniła. Ludzie są źli i nigdy im się nie dogodzi, choćby nie wiem jak uczciwie się żyło. To prawda, za pewnej ciemnej nocy zdecydowała się pójść do starego młyna, tak jak wszyscy we wsi. Ale to chyba nie była ta noc — nikt oprócz niej do młyna nie przyszedł. I na szczęście nikt we wsi o tym nie dowiedział się, znowu mogliby na jej temat sączyć jadowite plotki. Inne kobiety nie bały się ludzkiego gadania — dlaczego, nie wiedziała. Choćby ta ostatnia nauczycielka, ta, która przed panią Halinką była. Czy to mało razy widział rybak Gustaw Pasemko, jak z pewnym żeglarzem nago pływała jachtem po jeziorze? Nic sobie nie robiła z ludzkiego gadania, choć miała męża zatrudnionego w urzędzie gminnym w Trumiejkach. Potem mąż jej dostał posadę kierownika dużego gospodarstwa rolnego i przenieśli się w inne okolice. Luiza pozostała. Niczego sobie w życiu nie miała do wyrzucenia, niczego się nie musiała wstydzić. Jej nagiego ciała nie dotknął nigdy żaden mężczyzna — mogła być stawiana za przykład dla innych kobiet. A przecież we wsi śmiano się z niej właśnie z tego powodu. Dlaczego ludzi drażni tak samo rozpusta jak i cnota?

Od dzieciństwa miała dość rzadkie włosy. Znajomi radzili matce, żeby jej włosy obcinała krótko, to zgęstnieją. Ale matka nigdy na to nie chciała się zgodzić „Co ludzie na to powiedzą? — tłumaczyła małej Luizie. — W naszym miasteczku wszystkie panienki z dobrych domów noszą włosy splecione w warkocz, a rozpuszczone na Boże Ciało, kiedy kwiaty księdzu pod nogi sypią". Marzyła o czerwonej sukience z bufiastymi rękawami i dużym dekoltem. „Nie uszyję ci czegoś takiego, bo inne dziewczynki noszą sukienki batystowe, żółte albo białe. Co ludzie powiedzą, jak cię w takim stroju zobaczą?" Potem przyszła wojna i ojciec zginął na froncie jako oficer. Matka nosiła się na czarno. Luizę także na czarno ubierała. Luiza była już dorosła, chłopcy prosili ją na potańcówki, lecz matka zakazywała: „Twój ojciec zginął na froncie. Nie możesz się bawić, bo co ludzie na to powiedzą". To samo gadanie słyszała, kiedy zaczęła studiować. Matka kazała jej nosić warkocz upięty na głowie w koronę, a inne dziewczęta nosiły krótkie włosy, niektóre się tleniły. Te, co się tleniły, miały największe powodzenie. Jej korona z warkocza tylko śmieszyła. „Pomyśl, ludzie powiedzą — że gonisz za mężem albo — co gorsza — jesteś puszczalska. Musisz się ubierać skromnie, bo tylko wtedy zwrócisz na siebie uwagę jakiegoś uczciwego człowieka". Ale gdzie ona miała na siebie zwrócić uwagę, skoro zabaw studenckich unikała z tego powodu, że nigdy nie nauczyła się tańczyć? Na każde wakacje wyjeżdżała tylko z matką, z nią także chodziła do znajomych. Zawsze była przy niej matka. Nawet na swoją pierwszą posadę do Skiroławek przyjechała z matką, która jej gotowała, sprzątała, szyła stroje. „Pamiętaj, że żyjesz na wsi, jesteś nauczycielką, ludzie bacznie cię obserwują i nie możesz sobie pozwolić na jakiekolwiek plotki" — ciągle ją upominała. Nie pozwalała malować ust, policzków, przyczernić rzęs i brwi. Szyła sukienki zakrywające kolana, bluzki, które nie uwydatniały piersi. „Młodzi chłopcy na ciebie patrzą, Luizo. Nie wolno ci im pokazywać kolan i tego, że jesteś kobietą. Nauczycielka, którą uczniowie traktują jak kobietę, nie ma nigdy autorytetu". I tak nawykła do tych pouczeń, że z czasem nawet bez udziału matki strofowała się sama na każdym kroku. Matka umarła, kiedy Luiza miała trzydzieści siedem lat. Wtedy obcięła włosy, umalowała się, wyjechała latem na wczasy nad morze i tam poznała mężczyznę w tym samym wieku, rozwiedzionego. Zakochała się w nim, odbywała długie nocne spacery po plaży, całowała się. Na nic więcej mu nie pozwalała, ale zaprosiła do siebie do Skiroławek. Przyjechał do niej z daleka, całą noc przestał w zatłoczonym pociągu. Był zmęczony i śpiący, ale mu nie dała u siebie spać, bo strach ją obleciał, co mogliby ludzie we wsi powiedzieć. Ona panienka, a obcy mężczyzna u niej śpi, i u gajowego Widłąga pokój mu wynajęła. Przez cały dzień ją molestował, aby mu się oddała. Bała się tego, dlaczego, sama nie wiedziała. Myślała, że wszystkie porządne kobiety muszą się tego bać, a dopiero ślub odbiera im strach i daje odwagę. Chcąc się obronić przed jego natarczywością, pokazała mu fotografię swego ojca w mundurze oficerskim. „To był mój narzeczony, który zginął podczas wojny. Jestem mu wierna i kocham go". Tak mówiła, bo chciała temu mężczyźnie zaimponować i wytłumaczyć, dlaczego aż do tej pory jest cnotliwą. I aby wiedział, że będzie mu tak samo wierną. Ale to go jak gdyby zniechęciło. Następnego dnia odjechał i listu do niej nigdy nie napisał, ona zaś była zbyt dumna, żeby mu o sobie przypomnieć. Od tego czasu zawsze fotografię swojego ojca pokazywała jako narzeczonego, który zginął podczas wojny, a ona mu pozostała wierna. Tak było ładniej, zresztą sama przywykła do myśli, że to był jej narzeczony i ona jest ofiarą wojny. Jako niemal wdowa po zabitym oficerze znów zapuściła włosy, przestała się malować, wydłużyła sukienki, na ciemno ubierała się jak matka. Ale czy ludzie potrafią ocenić takie poświęcenie? Jej koleżanki puszczały się na lewo i prawo, ta z drwalem, tamta ze stażystą, inna z żeglarzem. Ale to ona znajdowała pod progiem swego mieszkania paczuszki ze świecą i nabazgranym liścikiem: „jak nie masz czym, to świecą gromniczną". Nie darowali jej trzynastolatka, którego tylko wzięła pod swój koc i trochę rozgrzała. Albo psa jamnika. Inne mogły wyrabiać co chciały i z kim chciały — plotkowano o nich bez końca. Ona by umarła ze wstydu od tylu plotek. Ale czy ją plotki omijały? Nastała moda krótkich sukienek, dziewczęta w szkole i inne nauczycielki nosiły tak krótkie sukienki, że im majtki w kroku było widać i nikogo to nie obchodziło. A ona zaledwie przykróciła spódnicę, a zaraz gadano w sklepie: „Patrzcie no, jak to ją przyparło. Już kolana pokazuje". I zaraz spódniczkę przedłużyła. Ludzie są bowiem wstrętni, nigdy niczego dobrego nie docenią, wszystko wydrwią i spotwarzą. Wyrozumialsi bywają dla grzechu, dla rozpusty i rozwiązłości, niż dla cnotliwego życia.

Jak powinna się ubrać na taką uroczystość jak dzisiejsza? Skromnie i godnie, poważnie i surowo. W lustrze widzi Luiza swoje gładko przyczesane siwe włosy i szare zimne oczy. Ale usta są trochę zbyt blade. Ma jeszcze szminkę koloru cyklamenu z dawnych czasów. Mogłaby pociągnąć nią wargi, podmalować trochę ołówkiem brwi. „Ale co na to ludzie powiedzą?" — pomyślała.

... Znowu zmierzch osypał szarością dłonie i kartki na stole pisarza Lubińskiego. Zniknął mu sprzed oczu widok lustra z twarzą Luizy. Nepomucen Maria był szczęśliwy, bo poznał ostatnie zdanie ze swej książki zbójeckiej.

Tego wieczoru, gdy znalazł się w łóżku obok swej żony, zapytał panią Basieńkę:

— Czy możesz mi wyjaśnić, dlaczego od pewnego czasu nie pytasz mnie nigdy, w jaki sposób doktor upokarza kobietę, zanim w nią wejdzie?

Po dłuższej chwili nastąpiła odpowiedź:

— Nie wiem, Nepomucenie. Wierz mi, że nie mam pojęcia, czemu ta sprawa przestała mnie interesować. Być może doszłam do wniosku, że doktor jest człowiekiem niezdolnym do miłości i stąd właśnie bierze się w nim potrzeba perwersji. Rozeszła się plotka, że miał romans z Justyną, a gdy się nią znudził, ona przyszła go zabić. Znałam tę kobietę, była prosta, a nawet prymitywna. To dla mnie dowód, że on nie jest zdolny do prawdziwej miłości.

— Mylisz się, Basieńko — cichuteńko roześmiał się Lubiński. — Podejrzewam, że kryje się z miłością, wielką miłością do pewnej kobiety. Nie wyjawi swych uczuć, dopóki jej nie złamie i nie upokorzy.

Żywiej zabiło serce pani Basieńki:

— Czy nie domyślasz się, co to za kobieta?

— Nie mam pojęcia, kogo kocha Niegłowicz. Ale tak jak astronom z ruchu widzianych planet na niebie potrafi domyślić się, że istnieje planeta, której zobaczyć nie potrafi, tak dla mnie całe postępowanie doktora świadczy, że kocha kogoś bardzo mocno.

— Mówisz, że ją kocha. Dlaczego więc chce ją poniżyć i upokorzyć? Tego się nie robi z ukochaną kobietą.

— Nic nie rozumiesz, Basieńko. Doktor już raz w swym życiu kochał kobietę bardzo mocno. Tak kochał, że rozum stracił, wyrzekł się swej osobowości, swej kariery. To była Anna, matka Joachima. Mówiono mi, że w tamtych latach zapowiadano mu wspaniałą karierę lekarską, a przecież został zwykłym wiejskim lekarzem w małej wiosce Skiroławki. Od tamtego czasu stał się nieufny wobec miłości i za tamtą, która zginęła i nigdy już do niego nie wróci, zaczął brać odwet na wszystkich kobietach. Wpierw musi kobietę poniżyć i upokorzyć, ugruntować w sobie poczucie bezpieczeństwa i własnej niezależności, zanim zbliży się na krótką lub dłuższą chwilę.

Odrzekła mu na to pani Basieńka:

— Wierz mi, Nepomucenie, że kobiecie, która kocha, nie tak znowu wiele potrzeba do szczęścia. Bo gdyby to nie było prawdą, czy tak długo żyłabym przy twoim boku?

O tym, jak Kłobuk złoto w chleb zamienił

Joachim przyjechał do Skiroławek w połowie grudnia. Ojciec listownie wytłumaczył mu się z faktu, że nie przyleciał na jego pierwszy zagraniczny koncert. Co prawda podał wyjaśnienia mało przekonywające, ale Joachim nie chciał wnikać w przyczyny. Nie pytał o nic i dawał do zrozumienia, że również nie pragnie być wypytywany, dlaczego, zamiast na same święta Bożego Narodzenia, pojawił się dużo wcześniej. Tylko Gertruda po swojemu, dzień po dniu o to i owo nagabując, domyśliła się, że Joachim przeżywa nie odwzajemnioną miłość. Za uprzednią bytnością w domu ojca wspominał o panience imieniem Małgorzata, teraz jeżył się, gdy mu przypomniała *to* imię. „Musisz zdobyć dla mnie Kłobuka, Gertrudo — oświadczył jej któregoś wieczoru w kuchni — Kłobuk przynosi szczęście". Makuchowa przytaknęła, ale dodała, że Kłobuk nie przynosi szczęścia w miłości, czego najlepszym dowodem jest jego ojciec. Najpiękniejsza kobieta w okolicy, Brygida, kocha go tak bardzo, że chciała samobójstwo dla niego popełnić, a on dwa razy w tygodniu jeździ do szpitala do Justyny; o Brygidzie nawet nie pomyśli. „I ma z nią dziecko" — wyżaliła się.

Ta historia zainteresowała Joachima. Po swoim pierwszym wielkim zawodzie miłosnym wzruszały go podobne sprawy, chciał komuś współczuć i samemu otrzymać odrobinę współczucia. Wybrał się więc pod kolejną nieobecność ojca do Trumiejek, razem z Gertrudą. Brygida przyjęła ich serdecznie, częstowała herbatą, kawą, winem, ciastem swojej roboty. Ale co wspomnieli o doktorze, zaraz miała łzy w swoich wielkich oczach. Joachim też się rozkleił — opowiedział o Małgorzacie, o tym, jak przez prawie rok spotykał się z nią, chodził na koncerty, aż w końcu ona mu powiedziała, że nie rozumie muzyki i koncerty ją męczą. Zdradziła Joachima dla chłopaka, który namiętnie grał w szachy. Joachim miał tę satysfakcję, że szachistę też zaraz rzuciła, ponieważ nudziły ją ciągle rozmowy o rozgrywkach szachowych. Zajęła się takim, który nie miał żadnych zainteresowań, całe dnie spędzał w kawiarniach i rozprawiał o głupstwach wyczytanych w gazetach. „Wiem, że jest głupia, ale co mam robić skoro te, co tak mądrze o wszystkim gadają, zupełnie mnie nie pociągają" — tłumaczył Brygidzie. Makuchowa potakiwała: „Jak jego ojciec. Tak samo jak Janek. Też nie lubi mądrych kobiet". Joachim był oburzony: „A moja matka? Ona nie była głupią kobietą" Makuchowa również potakiwała: „Ona kochała muzykę. Tylko muzykę. Nie wiadomo, czy była mądra czy głupia". Joachim zgadzał się, że do uprawiania muzyki nie tyle rozumu, ile serca trzeba. „Jesteś bardzo dobrym chłopcem — pocieszała młodzieńca Brygida. — Tyle dziewcząt chodzi po świecie. Za tydzień poznasz inną i natychmiast zapomnisz o Małgorzacie". Joachim zapytał ją: „A pani? Czemu pani nie potrafi zapomnieć?" Brygida popłakała się, a Joachim siedział z głową ponuro zwieszoną. Gertruda pocieszała go wedle swego rozumu: „Każda kobieta, Joachimie, jest głupia. Udaje mądrą, żeby zaimponować mężczyźnie, ale potem zaraz okazuje się głupia. Na ten przykład Brygida. Wykształcona i mądra, a przecież gdyby była tak mądra, już dawno miałaby twojego ojca za męża, a ciebie za pasierba. Dlatego ty, Joachimie, nie zrażaj się do tych mądrali, po prostu nie słuchaj jak się wymądrzają, rób z nimi swoje. Przekonasz się, jak przez ciebie zgłupieją". Brygida splatała i rozplatała palce swoich małych dłoni i wzdychała: „Tak, tak, jesteśmy bardzo głupie. Och, jakie głupie!"

Rys. Janusz Szymański-Glanc

c.d.n.